EX LIBRIS
Ks. M. Faliszek
Mis.-221
S V D

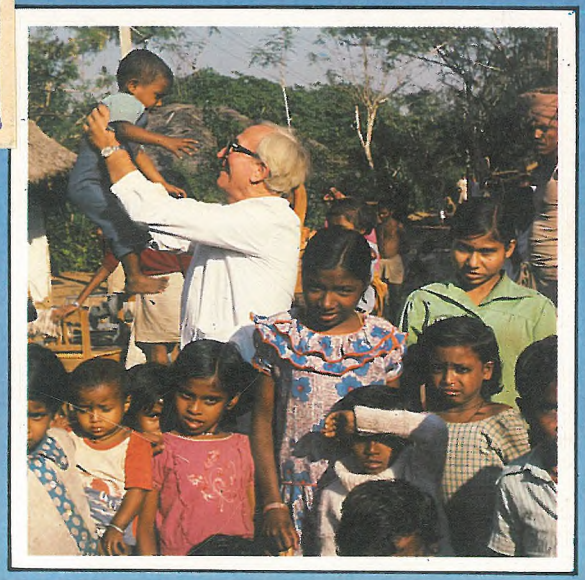

W świętym mieście Puri

Jerzy Krasicki

Verbinum

Jerzy Krasicki

W świętym mieście Puri

VERBINUM
Wydawnictwo Księży Werbistów
Warszawa 1988

© by Verbinum 1988

Redakcja: Matylda Wiśniewska
Redakcja techniczna: Mirosława Piotrowska
Projekt okładki: Janusz Golik

ISBN 83-85009-37-x

Przed Białą Pagodą

Ta chwila nie została utrwalona w żadnym dokumencie. Być może, istnieje jedynie we wspomnieniach ojca Mariana i w mojej wyobraźni. Ale musiała zaistnieć, chociaż nikt jej nie sfotografował, nie opisał, nie naszkicował w jakikolwiek sposób. Gdy brakuje materiału dowodowego, trzeba, odwołać się do imaginacji. Nie ma innego wyjścia. Chociaż wyobraźnia może jedynie uzupełniać prawdę historyczną i nie wolno stosować jej zamiast metody naukowej, często jednak bywa nieodzowna zwłaszcza tam, gdzie brakuje dokumentów. Właśnie tak jak w chwili, gdy ksiądz Marian, po przyjeździe do Puri, stanął po raz pierwszy przed głównym wejściem do hinduskiej świątyni zwanej Białą Pagodą, której patronem był i jest nie byle kto, bo sam wielki Dżagannatha - Pan Wszechświata.

Stoję właśnie w tym samym miejscu. W tym samym albo w jego pobliżu. Różnica kilku metrów nie ma znaczenia. Ważna jest jedynie panorama, jaką widzę. Ta sama, którą przed dwunastu laty widział ksiądz Marian. Mam wrażenie, że nawet patrzę jego oczami. Ponieważ nic tu się nie żmieniło, nasze wrażenia muszą być podobne: wysoka brama i stopnie prowadzące do wnętrza, zapewne wprost do sanktuarium. Mówię „zapewne", bowiem ta brama i ten wysoki mur po obu jej stronach, mur otaczający cały teren świątyni jakby to była twierdza, stanowi granicę, jakiej nie mogą przekroczyć obcy. Obcy, to znaczy innowiercy. Wstęp do środka zastrzeżony jest wyłącznie dla hinduistów. I to nie dla wszystkich. Jest taką świętością, że nie tylko niedotykalni nie mogą tu wejść. Nie wpuszczono do niej ani Indiry Gandhi, ani obecnego premiera Radżiva Gandhiego. Wpływową panią premier ukarano za to, że miała męża nie-hinduistę, zaś obecnego szefa rządu za to, że jego ojciec Feroze Gandhi nie był hinduistą, lecz parsi, i za to, że on sam ożenił się z nie-hinduistką. Mahatma Gandhi, Ojciec Narodu indyjskiego, uwarunkował wejście do świątyni od pozwolenia, ażeby „niedotykalni" mogli wejść do niej razem z nim. Niezłomność Mahatmy napotkała wrogą nieustępliwość *panelów*, kapłanów świątyni. Nie może być, ażeby *naris* (niedotykalni) weszli do środka w celach kultu; świątynia ta bowiem należy do najświętszych w całych Indiach. Została zbudowana w XII wieku. Jest czakramem, miejscem uprzywilejowanym przez bogów, ponieważ z ich woli emanuje kosmiczną energię, a więc jest takim punktem na mapie świata, którego prawowierni bramini mają obowiązek strzec przed profanami. Istotnie, nie tylko z powodu otaczających ją potężnych murów świątynia Dżagannathy jest

twierdzą, warownią, fortecą. Jej obecność urasta do rangi żywego symbolu. Dlatego nie może zostać skalana przez niedotykalnego albo przez kogoś, kto wyznaje jakąkolwiek inną wiarę.

Obok mnie kłębi się kolorowy, wielotysięczny tłum. Część ludzi wchodzi do świątyni, część ją opuszcza. Nie ma strony prawej i lewej. Nieustannym falowaniem pielgrzymów nie kierują żadne zasady prócz jednej: wejść tam, być najbliżej bóstwa i złożyć mu ofiarę, pokłonić się potężnemu Panu Wszechświata, zwierzyć mu swoje troski, prosić o siłę i trochę szczęścia w tym życiu, a może przede wszystkim o lepszy los po śmierci, w następnym wcieleniu, jeśli dusza - wyrokiem bogów - zostanie zmuszona do powrotu na ziemię, aby uzyskać kolejną szansę oczyszczenia i wspiąć się na wyższy szczebel doskonałości, skąd bliżej do absolutnego wyzwolenia i połączenia z Duchem Wszechświata. Właśnie: Wszechświata. Dżagannatha, pan tej świątyni, jest jego władcą. Uosabia kosmos, zaś my wszyscy i wszystko, co zostało stworzone, materialne i niematerialne, ruchome i nieruchome, żywe i martwe - stanowimy jego cząstkę, element, atom.

Oczami wyobraźni widzę księdza Mariana stojącego w tłumie. Wszyscy ludzie, którzy go otaczają, są w ruchu. Idą, przepychają się, wymijają, potrącają. On stoi. A więc przeszkadza tym, którzy idą do świątyni lub ją opuszczają. Nikt jednak nie zwraca na to uwagi. Pielgrzymi we wszystkich świętych miejscach w Indiach przywykli do turystów. Akceptują ich, ponieważ wiedzą, że turyści przynoszą dochód. Akceptują i tolerują, ale nie spuszczają z oka, zwłaszcza w takich miejscach, które są szczególnie strzeżone. Właśnie jak tu, przed świątynią w Puri, gdzie granica ciekawości turystów została wyraźnie ustalona i żaden z nich nie może jej przekroczyć. Ksiądz Marian z pewnością o tym wie. Wie, że może się posunąć w stronę wejścia jeszcze o kilka kroków. Ale nie dalej. Zresztą zostałby i tak natychmiast dostrzeżony przez specjalnych strażników i zatrzymany na tej nieprzekraczalnej granicy.

Obok mnie i mojej żony, zapewne jak wtedy obok księdza Mariana, stoi wielki słoń z pomalowaną „twarzą" i trąbą. Nie ma kłów. Jego potężny masyw, złożony z grzbietu i głowy, jakby z dwóch przylegających do siebie głazów, wznosi się nad ogromnym - takie mam wrażenie - impresjonistycznym obrazem namalowanym techniką puenty listy czną. Każda kropka to głowa jednego z pielgrzymów, jednego z żebraków, jednego z przekupniów, jednego z przechodniów, głowa albo odkryta, a więc czarna, albo przystrojona barwnym turbanem czy Zawojem mężczyzny lub kobiecym *sari*. Widzę wszystkie możliwe kolory i wszystkie możliwe ich odcienie. Gdy się całe to mrowisko obserwuje z tarasu sąsiedniej biblioteki, porównanie nasuwa się samo: oto mamy przed sobą

olbrzymią paletę boga Dżagannathy, przygotowaną do malowania wszechświata. Barwy i kształty są ruchome, jak ruchomy jest jego odwieczny rytm.

Bez obawy popełnienia błędu wobec praw fizyki można powiedzieć, że wszechświat zaczął się w momencie wyzwolenia z bezruchu, kiedy Bóg ożywił martwe ziarno atomu. Od tej chwili wszystko kręci się i zderza ze sobą tworząc nowe jakości. Podobnie dzieje się na ziemi, w środowisku ludzkim. Różne cywilizacje i kultury spotykają się ze sobą, walczą, pochłaniają się wzajemnie i wzbogacają, jedne giną, inne podążają dalej drogą swego przeznaczenia. Historia jest niczym innym jak opisywaniem tego nieustannego ruchu. I tylko od czasu do czasu w wyniku ogromnego wykrwawienia przystaje na chwilę, aby podsumować wnioski i zebrać siły na przebycie następnego odcinka swej odwiecznej marszruty.

Niewysoki chudy bramin stoi przy słoniu, dotykając ręką jego trąby. Człowiek ma na sobie jedynie białe *dhoti*, zakrywające go od pasa do stóp. Przez prawe ramię ma przewieszony *poita* - sznurek - oznakę przynależności do kasty. Od czasu do czasu gestem drugiej ręki zachęca pątników, aby skorzystali z okazji i przyjęli błogosławieństwo słonia. Odbywa się to tak: w chwili gdy bramin otrzyma ofiarę - jest nią najczęściej jedna rupia - słoń, niby od niechcenia, automatycznie podnosi trąbę i jej końcem, w którym znajdują się wilgotne nozdrza, dotyka głowy pielgrzyma. Ten gest ma zapewnić siłę i powodzenie w życiu. Pielgrzymi dają mu ryż, owoce i pieniądze. Ryż i owoce słoń zjada natychmiast, monety oddaje braminowi. Słoń co jakiś czas załatwia się. Pielgrzymi tylko na to czekają. Prawą ręką dotykają świeżych, parujących odchodów, podobnych do przegniłego siana, i śluzem, który pozostał na dłoni, smarują sobie czoła.

Czy bramin pilnujący słonia zachęcał ojca Mariana do skorzystania z takiego błogosławieństwa - nie wiem. Może tak, a może nie. Gdy ja się zbliżyłem, trzymając w rękach nastawiony aparat, bramin skinął dłonią, abym podszedł bliżej, i powiedział:

- Daj mi jedną rupię, a słoń cię pobłogosławi.

Jedna rupia to w przybliżeniu piętnasta część dolara. Drobiazg. Po przybyciu do Puri mieliśmy już za sobą kilka tygodni pobytu w Indiach i w Nepalu. W tym czasie odwiedziliśmy wiele świątyń i byliśmy kilkakrotnie błogosławieni przez słonie, zawsze składając tradycyjną daninę. Nie wiem, co mi się stało tego dnia, właśnie przed głównym wejściem do świątyni Dżagannathy, ale wyraziłem sprzeciw.

- Dziękuję ci - powiedziałem do bramina - nie chodzi o koszta ofiary, bo to jest drobiazg, ale, widzisz, ja należę do takiej religii, która nie żąda opłaty za błogosławieństwo Boga.

Bramin spojrzał na mnie z uwagą, w jego oczach wyczytałem lekkie zaskoczenie, zaś chwila milczenia była potrzebna do sformułowania jakiejś konkluzji. Podniósł rękę, położył na moim ramieniu i powiedział:

— W porządku. Ty masz rację.

Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy. I do tej pory nie umiem sobie wytłumaczyć nagłej akceptacji bramina dla mojego punktu widzenia na odpłatne błogosławieństwo.

Słoń z pewnością nie zrozumiał krótkiego dialogu, jaki nastąpił między nami, widocznie jednak zaakceptował gest ręki swego opiekuna, bo podniósł trąbę i dotknął nią mojej głowy.

To krótkie „ty masz rację", wypowiedziane przez bramina, to jeszcze jeden symptom przemian zachodzących w Indiach od prawie półwiecza. Statystycy obliczyli, że przez ostatnie czterdzieści lat, to znaczy od chwili uzyskania niepodległości, na terenie Indii dokonał się większy postęp niż w Europie przez ostatnie półtora wieku. Zawsze byłem i nadal jestem bardzo ostrożny w bezkrytycznym przyjmowaniu wszelkich wyliczeń statystyków, ale jeśli chodzi o Indie, przemiany te są z pewnością imponujące. Można je zauważyć i odnotować odwiedzając ten kraj nawet po dwóch latach nieobecności. Oczywiście, nie wszędzie, nie w każdej dziedzinie i nie w jednakowym stopniu. Są miejsca, które nie zmieniły się od lat kilkuset i z pewnością - wyłączając możliwości kataklizmu - pozostaną takie same przez następne wieki. Jednym z takich miejsc jest niewątpliwie świątynia Dżagannathy w Puri, gdyż jej fundamenty oparte są na dogmatycznym stwierdzeniu, na głębokim przekonaniu, że tego, co Bóg stworzył, nikomu zmieniać nie wolno, gdyż najmniejsza korekta mogłaby spowodować zachwianie stworzonej przez bogów równowagi wszechświata, zaś w konsekwencji-kosmiczną katastrofę całej jego logicznej konstrukcji. Niezachwianą siłę oddziaływania tego dogmatu na wiarę i umysły ludzi odczuwa się najbardziej w takich miejscach na mapie Indii, które tradycja i historia uznały i nadal uznają za święte.

Ten dogmat, ta zasada o niezmienności ludzkiego losu stanowi główny klucz, jakim można otworzyć najważniejszą bramę zbudowanego przed wiekami skarbca hinduskiej filozofii. Miała ona decydujący wpływ na wszystkie dziedziny życia ogromnej większości mieszkańców tego kraju. Miała i ma go jeszcze dzisiaj, pomimo wielkiego naporu współczesnej myśli technicznej, jaka od co najmniej dwustu lat, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięcioleci, tka z mozołem i nie bez oporu nowoczesne wzory na tradycyjnej tkaninie przyrody subkontynentu indyjskiego, od Himalajów na północy aż po przylądek południowy, poświęcony bogini Kania-Kumari, dziewczynie-dziewicy. Na tym to przylądku filozof Vivekananda,

słuchając odwiecznego szumu fal oceanu, usiłował zgłębić tajemnice własnego sumienia. To tam zapewne, jak wszyscy myśliciele, stawiał sobie pytania, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Bóg w rozmaity sposób przemawia do ludzi, a krzyże, jakie każe dźwigać każdemu z nas, mają rozmaite wymiary. Wierzą w to także Hindusi, chociaż wyobrażają je sobie inaczej, ponieważ ich świadomość wyrosła z innego niż nasze podglebia: ze stepów Azji, skał Himalajów oraz z żyznej doliny Gangesu i Jamuny.

Ksiądz Marian, stojąc w tłumie, wie o tym także. Zanim przyjechał do Puri, przebywał w Indiach wystarczająco długo, aby poznać i wsłuchać się w rozmaite rytmy tutejszego życia. Gdyby było inaczej - tak sądzę - nie znalazłby się tego dnia przed kamiennym zamczyskiem boga Dżagannathy, w cieniu potężnej, białej sikhary, wznoszącej się nad głównym sanktuarium. Czyżby myślał o tym samym, co i mnie w tej chwili przyszło do głowy, o tym mianowicie, że Pan Wszechświata, którego kult narodził się prawie tysiąc lat temu, właśnie tu, w Puri, o czymś zapomniał, że w jego kontaktach z ludźmi, w koncepcji ludzkiego losu pozostało jedno puste, choć bynajmniej nie peryferyjne miejsce. Miejsce na miłosierdzie, współczucie i litość?

I chyba już wiem, dlaczego ojciec Marian przybył do Puri. Nie po to, aby wielce tutaj czczonemu Dżagannathcie rzucić wyzwanie czy zaproponować mu filozoficzną dyskusję lub jakiś układ, a już z całą pewnością nie po to, aby odebrać mu kilku wyznawców. Ojciec Marian przybył tu, aby zapełnić to puste miejsce, aby swoimi ramionami i swoją wiarą w miłość człowieka do człowieka uzupełnić brakujące przęsło w tym moście, jaki kapłani hinduscy przed licznymi wiekami zbudowali pomiędzy Brahmą--stworzycielem i ludźmi, zapewniając sobie wyłączność w roli pośredników i wszelkie przywileje z tym związane.

Czy można pogodzić kult przeszłości z postępem?

Największą ilość konkretnych odpowiedzi na to niełatwe pytanie znalazłem właśnie tu, w Indiach. Powojenna rewolucja techniczna spowodowała kolosalne przyśpieszenie. Objęło ono także i ten kraj, wszystkie dziedziny życia, wszystkie gałęzie ludzkiej myśli. W zasadzie zdołano opanować głód, wzrosła produkcja żywności, zbudowano setki nowych szkół, instytutów naukowych, szpitali, wiele tysięcy domów, fabryk, dróg i mostów, uruchomiono też ogromną ilość publicznych ubikacji i zainstalowano miliony kranów z wodą pitną... I tak dalej, i tak dalej. Hindusi są bardzo zdolni, zwłaszcza w dziedzinie rękodzieła i mechaniki. Wioskowy kowal za pomocą prymitywnych narzędzi potrafi naprawić skomplikowane uszkodzenie samochodu, ręce pięcio- sześcio-

letnich dzieci, pracujących po kilkanaście godzin na dobę, skręcają liście tytoniowe nadając im kształt najtańszych cygaretek *bri*, hinduscy szoferzy, znani ze swego niezwykłego refleksu, prowadzili prawie cały transport w czasie wojennych operacji pod Monte Cassino... Nawiasem mówiąc, ci sami szoferzy, prowadząc pojazdy przez niewyobrażalnie zatłoczone ulice, jeśli zdarzy im się potrącić krowę, ratują się ucieczką, by ich nie rozszarpał fanatyczny tłum. Dla łatwiejszego zagubienia się w tłumie żaden z nich nie nosi munduru. Jeszcze jeden przykład zręczności Hindusów: mam w domu malutkie ziarenko fasoli — w jego środku znajduje się dwanaście słoni wyciętych ze skrawków kości słoniowej!

A oto przykład ilustrujący, jak w Indiach godzi się kult przeszłości z postępem: opodal elektrowni atomowej i nowoczesnego lotniska, na którym co godzinę lądują najnowocześniejsze samoloty świata, w pyle wiejskiej drogi siedzą garncarze. I jak wszyscy garncarze na świecie - robią garnki. Ale tutejsi nie wymyślili jeszcze koła garncarskiego. Palcami formują pacynę gliny, a brzuśce uzyskują klepiąc je drewnianym młotkiem. Jest to scena z epoki neolitu, z czasów przed wynalezieniem jednego z najstarszych urządzeń do wyrobu ceramiki. Ta scena i jej nowoczesne otoczenie symbolizują współczesne Indie. Jeśli się pominie ten przykład - Indie księdza Mariana wymkną się naszej wyobraźni.

A co się zmieniło w tym miejscu, w którym ciągle jeszcze stoi ksiądz Marian? Nic. I nie chodzi o zmiany widoczne na pierwszy rzut oka, o coś w rodzaju nowego domu na miejscu starej rudery czy o betonowy pojemnik zamiast wielkiego, dzikiego i tradycyjnego wysypiska śmieci przy południowym murze świątyni Dżagannathy, na którym to wysypisku pożywiają się krowy i podobne do szkieletów kozy oraz sparszywiałe psy. Nie. Chodzi mi o zmiany w świadomości ludzi, o coś, co wyraża nowoczesność zauważalną natychmiast nawet przez przeciętnego turystę. Otóż w umysłowości ludzi, którzy tu przychodzą, żadne zmiany nie zaistniały. Ani w umysłowości, ani w ubiorze, ani w zachowaniu. Bo ich umysłowość, strój i zachowanie, podobnie jak ich wiara, nie uległy współczesnej cywilizacji. Jedni się modlą, inni niosą zakupione ofiary, jeszcze inni jedzą lub zachwalają swój towar, proponują wróżbę, sprzedają horoskopy i drobne monety, wyplatają koszyki i haftują. Wśród nich kaleki, prawie nagi chłopiec, pomazany popiołem i obwieszony amuletami, wysuwa język przebity na wylot metalowym ostrzem; trędowaty z oczami zasłoniętymi bielmem popycha przed sobą drewniany wózek, na którym siedzi skurczony inny trędowaty, ukazując dłonie i stopy bez palców. Nieleczone rany gniją, przyciągając roje błyszczących much. Ktoś krzyknął z bólu, ktoś krzyknął ostrzegawczo, ktoś inny krzyknął w przystępie

nagłej radości. Jedni plują czerwonym sokiem *pano* przeżutego w liściu betelu, inni załatwiają się nie dbając o zachowanie dyskrecji, jeszcze inni sprzątają, dzieci i kobiety niedotykalnych zbierają rękami świeże krowie placki, aby je wysuszyć na opał, tłum faluje, chwilami gęstnieje lub się przerzedza, jeżdżą riksze rowerowe i motorowe, przeciskają się samochody, kilka krów leży spokojnie i przeżuwa spożyte odpadki, jedna rodzi, obok byk pokrywa krowę, dwa sparszywiałe psy gryzą się o porzucony ochłap, tłum rozstępuje się przed kroczącym powoli słoniem, w pobliskim warsztacie dwaj półnadzy chłopcy wyklepują zgniecioną karoserię samochodu, ktoś niesie radio nastawione na cały regulator, ale myli się ten, kto samochody i tranzystory uważa tu za akcenty nowoczesności, one się nie liczą, one niczego nie zmieniły w tym tłumie, ten tłum, to kłębowisko ludzi i zwierząt, jest czymś odwiecznym, trwałym i nieśmiertelnym.

Codziennie przybywa do Puri około dziesięciu tysięcy pielgrzymów, zaś w okresie święta Dżagannathy ich ilość wzrasta do miliona. Bóg gwarantuje im - po rytualnej kąpieli i złożeniu ofiary - odpuszczenie grzechów całego życia.

W tym reportażu występować będą dwaj główni bohaterowie: bóg Dżagannatha i ksiądz Marian. W prezentacji, jaka teraz nastąpi, pierwszeństwo daję bogu Dżagannathcie. To jasne. Ponieważ on był wcześniej o prawie tysiąc lat. Następnie przyjdzie kolej na księdza Mariana. A także na opis krajobrazu i tła, którymi przez cały czas będą Indie. Indie z całą swoją skomplikowaną, ale fascynującą strukturą i niepowtarzalnym kolorytem.

Na hinduskim Olimpie

Boga Dżagannathę trzeba poszukać na hinduskim Olimpie. Jest on ogromnie zatłoczony, gdyż przebywa tam kilka tysięcy bogów i bogiń, obdarzonych różnymi właściwościami i spełniających różne obowiązki. Najwyższym rangą, bo głównym stworzycielem nas wszystkich, jest Brahma, bezcielesne uosobienie kosmicznej energii kreatywnej. Brahma wraz z Wisznu i Siwą tworzą trójcę najważniejszych bogów. Ale znaczenie każdego z nich zmieniało się i zależało zarówno od epoki historycznej, interpretatorów-myślicieli, jak też od miejsca na mapie Indii. Współcześnie o palmę pierwszeństwa rywalizują ze sobą Wisznu i Siwa. Ich wyznawców można rozpoznać po innym sposobie malowideł na czołach. Ci, którzy uznają wyższość Wisznu, wyróżniają się znakiem podobnym do trójzęba,

w przeciwieństwie do śiwaitów, demonstrujących swój kult do Siwy za pomocą trzech poziomych kresek, namalowanych palcami, które przedtem dotknęły popiołu - pozostałości po spalonej ofierze. Wisznu jest opiekunem świata, zaś jego żona, Lakszmi, patronuje wszelkim formom ludzkiej pomyślności. Ich kult zapewnia człowiekowi powodzenie, dobrobyt i przychylność w realizacji zamierzeń. Siwa przedstawiany jest często jako mężczyzna o trzech twarzach. Symbolizują one trzy możliwości człowieka: tworzenie, niszczenie oraz troskę o to, co zostało stworzone. Małżonka Siwy, Parwati, ucieleśnia odwieczny ideał kobiecości. Nie posiada szczególnych atrybutów boskich, ale wyposażona została w najzupełniej wystarczające wartości: nigdy nie przemijającą urodę i młodość. O ile Siwa często bywa zagniewany, Parwati zawsze się uśmiecha.

Obaj ci bogowie, zarówno Wisznu, jak i Siwa, odznaczają się niezwykłą witalnością. Jedna osobowość im nie wystarczała, więc co pewien czas wcielali się w przeróżne postacie, tworząc tak zwane *awatary*. Wisznu, na przykład, dał życie aż ośmiu kolejnym bogom. Ostatnim był ciemnoskóry książę Kriszna, urodzony około tysiąca lat temu w Mathurze, pasterz-bohater w jednej osobie, bardzo sympatyczny dla Hindusów, ponieważ odznaczał się ogromną pobudliwością i fantazją erotyczną. Pewien współczesny odłam hinduistów wyniósł boga Krisznę na najwyższy w hierarchii piedestał, a nawet zyskał on pewną popularność w kręgach sfrustrowanej z przesytu młodzieży niektórych wysoko uprzemysłowionych krajów zachodnich, ponieważ wśród wszystkich ludzi cywilizowanych panuje ten sam rodzaj *horror vacui*. Hindusi wierzą, że wkrótce Wisznu znów powróci na ziemię, tym razem w postaci rycerza na koniu.

Być może - mówię „być może", ponieważ nie istnieją żadne źródła pisane, a przynajmniej ja do nich nie dotarłem - powstanie w Orisie kultu Dżagannathy spowodowało jakieś brakujące ogniwo w religijnej tradycji. Dżagannatha ma bliskie związki z księciem Kriszną. Jak prawie każdego hinduskiego boga, także i jego legenda łączyła w sobie pierwiastki ziemskie z mistycznymi. Pierwotnie czczony był jako Nila Madhava. Jak głosi legenda, dawno, dawno temu panował w centralnych Indiach, w Malwa, pewien król o imieniu Indradyumna. Słyszał on, że wielu Hindusów wierzy w trójcę kosmiczną, to znaczy w Brahmę, Wisznu i Siwę. Król Indradyumna zapałał niezwykłym i dziwacznym pragnieniem, aby zobaczyć boga Wisznu w jego najdoskonalszym kształcie. Pewnego razu, podczas snu, nabrał przekonania, że bóg Wisznu może się objawić w swej najwspanialszej postaci w Utkała - miejscu, które dziś nazywa się Orisa. Wysłał tam Vidyapati, brata królewskiego kapłana, aby znalazł to miejsce i żeby mu doniósł, czego się o nim dowiedział. Yidyapati po uciążliwym

poszukiwaniu odkrył, że bóg Wisznu, znany pod bardzo dziwnym nazwiskiem Nila Madhawa, był czczony gdzieś na górze, w gęstym lesie, pod postacią drewnianego posągu o niezwykłym połysku. Vidyapati dowiedział się również, że Nila Madhawa był rodzinnym bóstwem Viswavasu, naczelnika pierwotnego szczepu. Miejsce oddawania czci posągowi było otoczone tak ścisłą tajemnicą, że Viswavasu odmówił Vidyapati ujawnienia go nawet wtedy, gdy Vidyapati pojął za żonę córkę Viswavasu. W końcu, po długich naleganiach ukochanej córki, Viswavasu zawiązał zięciowi oczy i zawiódł go do pieczary na tym wzgórzu, gdzie był czczony Nila Madhawa. Gdy przechodzili przez las, udało się Vidyapati w jakiś sposób upuścić nasionka musztardowe. Po kilku dniach ziarenka wykiełkowały i Vidyapati z łatwością odnalazł drogę do samotnej pieczary.

Vidyapati powrócił do Malwa i opisał swoje przeżycia królowi Indradyumnie, który natychmiast udał się do Orisy. Niestety, gdy przybył do świętej ziemi, odkrył, że Nila Madhawa zniknął w niepojęty sposób. Pogrążony w ciężkim smutku Indradyumna otrzymał boskie polecenie, aby udał się nad brzeg morza w Puri. Stamtąd wyciągnie - głosiło tajemne przesłanie - na brzeg długi kawał drzewa, który będzie unosił się na falach. Z tej boskiej kłody miała być zrobiona figura Dżagannathy, który jest nikim innym, jak prawdziwym bogiem Wisznu.

Wszystko to dokonało się z boską wolą i kłoda drzewa, wyciągnięta z wody, była gotowa do wykonania z niej boga Dżagannathy. Ale kto miał być rzeźbiarzem? Ponieważ nikt nie mógł powiedzieć, że widział Wisznu, nikt też nie umiał powiedzieć królowi, jak bóg Wisznu ma być przedstawiony w swojej najdoskonalszej postaci. W końcu sam Wisznu zlitował się nad swoim wielkim czcicielem i ukazał mu się jako stary cieśla. Zgodnie z jego boską sugestią postanowiono, że będzie on z tą kłodą drewna przebywał w zamkniętym pomieszczeniu przez dwadzieścia jeden dni i wyrzeźbi postać boga. Cieśla dał wyraźne i surowe ostrzeżenie, że w żadnym wypadku nie może być niepokojony ani też drzwi pracowni nie mogą być otworzone. Po piętnastu dniach królowa Gundicza, mając bardzo czułe serce, nie mogła opanować pokusy i przekonała króla, aby drzwi otworzył, gdyż wydało jej się, że cieśla, być może, umarł, jako że najmniejsze nawet odgłosy nie dochodziły z wnętrza pracowni..Gdy na rozkaz króla drzwi otwarto, nie znaleziono cieśli, jedynie trzy drewniane figury w nie dokończonej postaci.

W takiej formie czci się do dzisiaj Dżagannathę, Balabhandra — jego brata i Subhadrę - jego siostrę. W miejscu pagórka z legendy stanęła świątynia Dżagannathy - Biała Pagoda w Puri.

Legenda ta jest zgodna z tradycją wedyjską. Bóg Dżagannatha jest czczony także jako Daaru Brahma. *Daaru* w sanskrycie znaczy „drzewo-kłoda", a *Brahma* znaczy „duch przenikający wszystko" - uniwersalna siła życia, bóg bogów, idol Dżagannathy jest zrobiony z kłody drzewa, jednak to nie postać wykonana w drzewie jest tak czczona. To, co jest „Brahma", jest w Dżagannathcie niewidoczne, znajduje się wewnątrz jego ciała-figury. W tej części pnia, która przedstawia środek figury, jest otwór, a w nim szkatułka zawierająca coś nieznanego. Dlatego drewniana figura mieszcząca w sobie Brahmę nazywa się „Daaru Brahma". I to jest największa tajemnica.

Mimo wielokrotnego zdobywania Puri przez obce wojska, święte figury nigdy nie zostały zniszczone, gdyż były, tunelem uznawanym za najdłuższy w kraju, prowadzącym do jeziora odległego o dwadzieścia kilometrów od Puri, przenoszone do bezpiecznych miejsc. W ten sposób chroniono je przed profanacją. W niektórych wypadkach, gdy trudno było przenosić figury, zabierano tylko „Daaru Brahma".

Istnieje wiele poglądów dotyczących tego „czegoś niewidocznego". Niektórzy mówią, że jest to ząb Buddy, inni, że to figura Wisznu zrobiona z kosztownego kamienia, jeszcze inni uważają, że jest to bardzo rzadka odmiana *saalagrama silla* - kawałek czarnego kamienia, czczonego jako odpowiednik boga Wisznu.

Ważny jest pogląd czwarty: na podstawie poematów, które powstały w Orisie przed pięcioma wiekami, a także na podstawie bardzo popularnej tradycji można uważać, że tajemnicą Dżagannathy jest „kawałek kości boga Sri Kriszna", który był spalony przez Pandawasa po śmierci zadanej mu przez Yara Sawara. Niektórzy więc wierzą, że w szkatule umieszczonej w brzuchu figury Dżagannathy są nie dopalone resztki Kriszny, zaś we wnętrzach figur Balabhandra i Subhadry może być *saalagrama* — czarny kamień.

Ojciec Marian tłumaczy tę tajemnicę po swojemu: jest to podświadome oczekiwanie Hindusów na przyjście prawdziwego Boga — Zbawiciela świata. W ich oczekiwaniu na kolejne wcielenie Wisznu jest coś z nadziei na przyjście Mesjasza.

Święto Dżagannathy przypada w czerwcu lub w lipcu. Cudowne wozy, pięknie dekorowane, są po zakończeniu uroczystości niszczone, bowiem to, co raz zostało ofiarowane bogu, nie może być użyte po raz drugi. Projekt, aby dla oszczędności zachowywać wozy, aby zbudować je raz na zawsze z konstrukcji metalowej — nie znalazł akceptacji społeczeństwa. Tradycja musi być zachowana, inaczej bogowie mogą się obrazić.

Jeszcze kilka słów o tajemnicy posągów Dżagannathy.

Co dziesięć, dwanaście lat wszystkie trzy drewniane figury są niszczone. Wrzuca się je do głębokiej studni w świątyni. Przed zniszczeniem robi się trzy nowe identyczne figury. Każda z nich ma na brzuchu coś w rodzaju fartuszka zakrywającego otwór. W środku znajdują się metalowe skrzynki, zamykane na trzy klucze. Klucze przechowują trzej najwyżsi kapłani świątyni. Co naprawdę jest w tych skrzynkach - nikt nie wie. Ale legenda mówi dalej, że kto choć raz dotknie tej tajemnicy, wkrótce umrze. Dlatego podczas uroczystości wymiany posągów kapłani wzywają trzech bardzo starych ludzi i im pozwalają dotknąć tego, co znajduje się w skrzynkach - ale bez prawa patrzenia na to. Starcy, którzy dostąpili zaszczytu za cenę świadomości, że ich życie się kończy, mówią, że „to coś" jest miękkie i jakby pokryte sierścią.

Przy świątyni Dżagannathy jest szesnaście kategorii pandów, czyli kapłanów, podzielonych według rodzaju zajęć. Są to rodziny, które tradycyjnie dziedziczą zajęcia przy świątyni. Zajęcia są różne: rytualne, gospodarcze, administracyjne, porządkowe, propagandowe. Pandowie są w kontakcie z ojcem Marianem, przychodzą do niego się leczyć. Jest ich przy świątyni wraz z rodzinami około szesnastu tysięcy, może nawet więcej. Jeden był wyrzucony z rodziny jako nienormalny. Ojciec Marian go wyleczył i teraz, gdy ojciec Marian przyjeżdża samochodem, chłopiec wykrzykuje radosne pozdrowienia.

Bardzo ważnym duchownym jest *pudżari panda* - kapłan od składania ofiar przyniesionych przez pielgrzymów. Każda wioska, każda okolica, nawet poszczególne, zwłaszcza bogatsze rodziny, mają w świątyni osobnego pandę. Pandowie przypominają o tym przyjeżdżającym pielgrzymom już na dworcu kolejowym czy autobusowym. Jako pośrednicy między ludźmi i bogiem cieszą się w społeczeństwie wielkim szacunkiem, mimo że zawsze żądają pieniędzy, nawet wtedy, gdy pielgrzym przynosi jako ofiarę kwiaty lub owoce. No cóż, utrzymanie szesnastu tysięcy kapłanów i ich rodzin kosztuje niemało. A pytanie, dlaczego kapłani nie udzielają się na polu charytatywnym, dlaczego nie pomagają w budowie szpitali, domów dla kalek czy szkół - jest co najmniej nietaktowne.

Ojca Mariana droga do Indii

A oto drugi bohater naszej opowieści: ojciec Marian.

Jakże wyraźnie widzę jego postać nie tylko na szachownicy ulic miasta

Puri, nie tylko wśród cudownego pejzażu stanu Orisa, nie tylko przy ołtarzu kościoła misji katolickiej, ale także na tle ogromnej mapy Indii, którą w ciągu sześciu miesięcy wraz z żoną przemierzyliśmy na trasie wynoszącej około dziewiętnastu tysięcy kilometrów. Temu krajowi ojciec Marian poświęcił całe swoje życie. Ten kraj stał się jego przeznaczeniem. A jak do tego doszło - niech opowie on sam:

„Urodziłem się dnia 30 stycznia 1918 roku w Palędziu pod Poznaniem. Byłem siódmym dzieckiem moich rodziców: Stanisława i Stanisławy Żelazków. Rodzina nasza składała się z szesnastu osób: rodziców, ośmiu synów i sześciu córek, a właściwie z osiemnastu, bo rodzice moi zaadoptowali jeszcze dwoje dzieci, sieroty. Mało sobie przypominam małego Tadzia i Terenię, którzy zmarli jako niemowlęta. W gromadce złożonej z rodziców i czternaściorga dzieci przeżyliśmy aż do wojny i przez cały czas jej trwania.

W rodzinie jest nas dwóch księży: starszy ode mnie o półtora roku Stanisław, zmartwychwstaniec i misjonarz w Brazylii, i ja, werbista. Już jako mały chłopiec chciałem być księdzem, zaś moje powołanie misyjne obudziło się, gdy byłem w pierwszej klasie gimnazjalnej u Marii Magdaleny w Poznaniu.

Mieszkaliśmy w odległości jednego kilometra od wioski Palędzie. Tatuś miał kawałek ziemi i wiatrak. Ponadto był przewodniczącym miejscowego Kółka Rolniczego. Powojenna inflacja zniszczyła go finansowo. W roku 1926 przenieśliśmy się do Poznania, gdzie ojciec prowadził detaliczny sklep spożywczy. Do sklepu schodziło się trzy stopnie w dół. Być może tylko dzięki temu, że interes był tak skromny, utrzymał się podczas wojny i jako »prywatna inicjatywa« także po wojnie.

W domu wszyscy mieli określone zajęcia związane z osobistą odpowiedzialnością. Starsi pomagali ojcu i matce w sklepie i w kuchni. Młodsi, podrastający, opiekowali się młodszym rodzeństwem. W wolnym czasie brali je na łąki za miastem. Gdy przyszła moja kolej opiekowania się młodszymi, uważałem to za bardzo ciężką pracę. Nie starałem się jednak wymigiwać. W naszej rodzinie obowiązek był obowiązkiem.

Teraz dopiero rozumiem, jak ciężko rodzice musieli pracować i jak wielu rzeczy się wyrzec, aby wychować i wykształcić wzrastającą gromadę czternaściorga dzieci. Dopiero po wojnie mamusia zwierzyła się synowi-misjonarzowi ze swego pewnego sekretu. Było to w roku 1930. Kiedyś mamusi nie było w domu przez całe trzy dni, a jej nieobecność była otoczona tajemnicą, którą wyznała dopiero synowi kapłanowi. Pewnego wieczora, z powodu sporej ilości klientów, sklep nie został zamknięty o przepisowej godzinie. Policjant zapisał mandat: karę stu złotych, co było

wówczas ogromną sumą, z zamianą na trzy dni więzienia. I mamusia poszła do więzienia. Potem powiedziała: - Tak mi było wstyd... przez całe trzy dni nic nie jadłam... - Moja dzielna i święta Mama. Po wojnie otrzymała medal za wzorową rodzinę. Powiedziała, że przypnie go po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy ja, jej syn, ukończę studia w Rzymie i przyjadę do domu jako kapłan.

Ale wrócę jeszcze do roku 1926. Gdyśmy się przenieśli ze wsi do Poznania, zostałem ministrantem w pobliskim kościele Zmartwychwstania Pańskiego. Nasze towarzystwo ministrantów składało się z dwustu chłopców. Duszą towarzystwa był brat Jan, zmartwychwstaniec, który swoją osobowością wywierał ogromny wpływ na całą naszą gromadę. Efekt był taki, że ponad dziesięciu chłopców zostało księżmi. Pewnego dnia w zakrystii kościoła spotkałem starego misjonarza, emeryta, który przez trzydzieści lat pracował w Argentynie, zanim powrócił na stałe do ojczyzny. Zostawił on w zakrystii czasopismo misyjne »Nasz Misjonarz«. Przeczytałem w nim, że chłopców, którzy zamierzaliby zostać misjonarzami, przyjmuje się do gimnazjum misyjnego w Górnej Grupie. Opłata miesięczna wynosiła sto złotych. Po rozmowie z rodzicami - zgłosiłem się. Tatuś napisał, że z powodu licznej rodziny może płacić tylko piętnaście złotych miesięcznie. Podanie zostało wysłane do Górnej Grupy, a ja spędziłem wiele godzin przed ołtarzem Matki Boskiej w naszym kościele, prosząc Najświętszą Panienkę, aby w Górnej Grupie nie przerazili się tymi piętnastoma złotymi i przyjęli mnie. Interwencja Matki Bożej okazała się skuteczna. Po dwóch tygodniach nadeszła wiadomość, że zostałem przyjęty.

Ponieważ pierwszą i drugą klasę zrobiłem w gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu, trzecią klasę rozpocząłem już w gimnazjum misyjnym w Górnej Grupie. Byłem zarówno dobrym uczniem, jak też sportowcem. Pięć lat spędzonych w Górnej Grupie zaliczam do bardzo szczęśliwych w moim życiu.

W roku 1937, już po skończeniu siódmej klasy, przełożeni zdecydowali, że nasza klasa powinna rozpocząć nowicjat. 8 września 1937 roku rozpocząłem nowicjat w Chludowie pod Poznaniem. Naszym mistrzem i opiekunem był ojciec Ludwik Mzyk, sprawiedliwy, ale surowy, wymagający wiele od nas, nowicjuszy, ale i od siebie. Profesorem filozofii, która zaczęła się w drugim roku nowicjatu, był ojciec Teofil Chodzidło, długoletni misjonarz w Brazylii. Obaj ci ojcowie wywarli wielki wpływ na całe moje późniejsze życie.

Dnia 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Dnia 4 września nasz kurs nowicjatu złożył pierwsze śluby zakonne. Następnego dnia nowicjat został opuszczony: ewakuacja w stronę Warszawy. Po trzytygodniowej uciążli-

wej drodze, przeważnie pieszo, wróciliśmy do Chludowa w trzech różnych grupach. Rozpoczęliśmy kontynuację studiów filozoficznych już w kraju okupowanym przez wrogie wojska.

W styczniu 1940 roku gestapo internowało księży w naszym zakładzie naukowym. 22 maja 1940 roku nadjechały zamknięte ciężarowe samochody i zabrały internowanych księży wraz z naszą grupą młodych werbistów — nowicjuszy i filozofów najpierw do fortu siódmego w Poznaniu, a następnego dnia - po upchaniu nas w wagonach kolejowych - do Dachau. To prawda, że przed wywiezieniem do Dachau dano nam możliwość wyjazdu do *General Gouvernement*, ale nikt nie chciał porzucić domu misyjnego i studiów. Nie wiem, jak byśmy postąpili, gdyby nam powiedziano, że jedyną alternatywą jest Dachau. Tegoroczne święto Bożego Ciała, przypadające dnia 25 maja, spędziliśmy w pędzącym pociągu, w wagonach o zamkniętych oknach, głodni i, przede wszystkim, spragnieni. Ale pomimo to zaaranżowaliśmy coś w rodzaju procesji. Tworzyły ją nasze modlitwy.

Od chwili zamknięcia się za nami bramy obozu koncentracyjnego w Dachau, my, młodzi werbiści, staliśmy się cząstką najbardziej znienawidzonej przez gestapo grupy *Pfaffów*, czyli księży. I tak za drutami obozu zaczął się nasz powtórny nowicjat. Trwał on pięć długich lat. Najdłuższych w moim życiu. Jedzenie było tak skąpe, że musieliśmy dokarmiać się modlitwą i nadzieją.

Ale nie były to lata stracone dla przyszłej pracy misyjnej. Tylko że ta »szkoła« została opłacona ogromnymi kosztami. Spomiędzy dwudziestu sześciu zabranych do obozu młodych werbistów dwóch zostało zwolnionych, ale czternastu złożyło życie w całopalnej ofierze za swój ideał kapłana-misjonarza i za Ojczyznę. Ocalało nas tylko dziesięciu. Obóz nasz został wyzwolony 29 kwietnia 1945 roku.

W nabożeństwie dziękczynnym tego dnia wieczorem najstarszy z więzionych księży powiedział w kazaniu: - Dzisiejszy dzień można porównać do trzech wydarzeń w historii świata. Do tego pierwszego, gdy Bóg wyrzekł *fiat lux* i ziemia zadrżała od siły i ciepła światła. Do tego drugiego, gdy aniołowie śpiewali *Gloria in excelsis Deo*, gdy Bóg się narodził, i do tego trzeciego, gdy Chrystus zmartwychwstał z grobu.

Chociaż wydaje się to paradoksem, pobytowi w obozie zawdzięczam głębsze zrozumienie życia i człowieka, niezłomną wiarę, że miłościwa ręka Boża kieruje losami człowieka, chociaż nieraz nam się wydaje, że jest ona nielitościwa, a nawet okrutna. Gdy widziałem ginących księży, rosło i umacniało się moje pragnienie, aby kiedyś - jeśli przeżyję - pracować nad młodzieżą i budzić wśród niej następców zmarłych kapłanów. Rosło i umacniało się też moje postanowienie, że gdy wyjdę z obozu, z wdzięczności za uratowanie mego doczesnego życia pójdę ratować życie wieczne dusz w krajach misyjnych.

Przykład ludzi dzielnych i odważnych, wspomnienia o sytuacjach, w których jeden poświęcał się czy narażał dla drugiego, głęboko zapadły w moje sumienie i często służyły pomocą w mojej pracy misyjnej, zwłaszcza w momentach specjalnie trudnych, bo powodujących chwilową gorycz zwątpienia. Często przypominam sobie słowa wiersza, jaki ułożył jeden ze współwięźniów, Włodzimierz Wnuk, i one mnie krzepią, dodają odwagi i otuchy, jak wtedy tam, w obozie. Wiersz zaczynał się tak:

Jesteśmy jak żywe kamienie,
Samotne, bezdomne skały:
Rzeźbiły nas zimne strumienie
I żarem ziejące upały.

A kończył tak:

I na nas, jak na opoce,
Powstanie gmach wspaniały,
Jak jasny piorun w pomroce,
Jak wieczny pomnik chwały.

I jestem tutaj, w Indiach, i staram się tak postępować, wiedząc dobrze, że każdy następny rok po obozie to korzystanie z »podarowanego« życia. Pan Bóg pozwolił mi też spełnić marzenie o pobudzaniu powołania wśród młodzieży. Gdy dnia 18 września 1973 roku obchodziliśmy mój srebrny jubileusz kapłaństwa, Mszę świętą koncelebrowało ze mną dwunastu rodzimych młodych kapłanów, wszyscy moi byli wychowankowie z gimnazjum misyjnego i ze szkoły apostolskiej, których byłem dyrektorem w latach 1950-1963. Niech będzie Bóg błogosławiony, niech będzie błogosławiona Najświętsza Maryja Panna, Matka Boża, która się mną opiekuje aż do dnia dzisiejszego.

Chcę teraz opowiedzieć o moim pobycie w Rzymie.

Jako chłopiec marzyłem, aby kiedyś być w Rzymie. Za zgodą przełożonych, razem z moim współbratem ojcem Koziełem, dołączyłem do grupy diecezjalnych kleryków i tak po latach spędzonych w obozie, w listopadzie 1945 roku znalazłem się w Wiecznym Mieście, w naszym werbistowskim kolegium. Dyplom ukończenia teologii uzyskałem w Instytucie *Anselmianum* na Monte Aventino. Studia w Rzymie pogłębiły nie tylko moją wiedzę teologiczną, ale przede wszystkim to, co Ojcowie Kościoła nazywają *Sentire cum Ecclesia* - czuć razem z Kościołem.

Święcenia kapłańskie przyjąłem dnia 18 września 1948 roku. Było nas dwóch byłych więźniów z Dachau: ojciec Bruno Kozieł i ja. Kościół był

prawie pusty. Nikogo z rodziny, nikogo z Ojczyzny. Stałem się »kapłanem na wieki«. Potwierdziła to samotna staruszka, Włoszka, która z końca kościoła powitała nas idących w procesji do zakrystii: *Benedetta la mądre di quei sacerdotti* - »Błogosławiona matka tych kapłanów«. Myślałem o mojej matce. Jej zawdzięczam, kim jestem obecnie. To ona cierpiała i modliła się za syna w obozie, szczególnie zaś wtedy, gdy dowiedziała się całej okrutnej prawdy o naszym losie od jednego z moich współbraci, który został zwolniony z Dachau w 1943 roku, prawie w przeddzień kwarantanny ogłoszonej z powodu epidemii tyfusu brzusznego. Ten kolega miał jeszcze tyle czasu i siły, by dotrzeć do domu moich rodziców, gdzie odchorował jeden miesiąc, walcząc z tyfusową śmiercią. Może nawet majacząc w gorączce zdradził nasze niektóre tajmnice obozowe, o których nie miał prawa mówić nikomu, nawet matce. W 1949 roku w listach pisanych do mnie, do Rzymu, skarżyła się: »Jeśli nie przyjedziesz do domu przed odjazdem na misję, już cię nigdy nie zobaczę«. I pojechałem do Polski na jeden miesiąc. Na tak krótko po dziewięciu latach rozłąki.

Mamusia umarła w następnym roku. Spełniła swoją misję. W najbardziej krytycznych momentach mego życia misjonarza - a było ich niemało - to przekonanie, że ona czuwa nade mną z nieba, przynosiło spokój mej duszy i przywracało równowagę".

Wśród Adibasów

„W roku 1948 - kontynuuje ojciec Marian-nasze Zgromadzenie Słowa Bożego przyjęło nową misję w Indiach, w północnym rejonie stanu Orisa, wśród ludności ze szczepów pierwotnych, czyli tak zwanych Adibasów. *Adi* znaczy początek, zaś *basi* - mieszkaniec. Nowa placówka miała się nazywać *Sambalpur Mission.* O Adibasach wie się na ogół niewiele, poza tym, że są animistami i że czasem jeszcze składają ofiary z ludzi. Wywodzą się od australopiteka, praczłowieka, ale ich rodowód kulturowy jest bardziej drawidyjski niż północno-indyjski. Są bardzo przywiązani do swoich tradycji, dużo starszych niż historia Indii.

Jest taki zwyczaj w naszym zgromadzeniu, że każdy młody werbista może podać trzy miejsca, w których chciałby pracować. W swoim podaniu o przydział pracy wymienia je seryjnie, pozostawiając generałowi ostateczną decyzję. Wypowiedziałem się za nową misją w Sambalpur. Już 1 marca 1950 roku byłem w drodze. Podróż do Indii odbywałem na holenderskim

frachtowcu *Laurenskerk* razem z moim współbratem, Słowakiem, ojcem Śliwką. Dnia 21 marca *Laurenskerk* dobił do portu w Bombaju. I tak stanąłem w Indiach, w kraju moich marzeń misyjnych. Zawsze chciałem pracować tam, gdzie jest dużo ludzi. Przez pewien czas myślałem o Chinach, ale ten kraj był wówczas zamknięty dla misjonarzy. Indie natomiast stały otworem.

Dnia 1 kwietnia dotarłem do Kesramal, jednej z pięciu stacji misyjnych, które werbiści przejęli od jezuitów belgijskich w 1948 roku. Kesramal jest najstarszą stacją misyjną, założoną w 1918 roku, w tym samym, w którym się urodziłem. Nie jestem zabobonny, ale czułem, że to mnie do czegoś zobowiązuje.

Sambalpur było nową misją werbistów. W roku 1949 pierwszych siedmiu członków naszego Zgromadzenia przybyło tutaj z naszej starej misji indyjskiej w Indore. Ja należałem do tych, którzy zaczęli napływać do naszej placówki bezpośrednio ze starych krajów, przeważnie z Europy. Na progu nowej misji pozostawiłem wyidealizowany obraz z lat dziecięcych: misjonarz z brodą i na koniu. Mało kto z nas zapuścił brodę, ale każdy za to miał rower. Koń był możliwy, ale okazał się niepraktyczny w terenie poprzecinanym licznymi rzekami i strumieniami, o których - zwłaszcza w porze deszczowej — można było powiedzieć »... rozlały rzeki, pełne zwierza bory «... Tylko że nie było »zbójców na drodze«. Rowerami mogliśmy dotrzeć wszędzie, przeciskać się wąskimi ścieżkami wśród pól ryżowych, przenosić je przez małe rzeczułki, siedzieć w kucki - trzymając je kurczowo - na wąskich czółenkach, wydłubanych z jednego pnia drzewa, oczekując z ulgą na moment dobrnięcia do przeciwległego brzegu.

Dopiero po upływie piętnastu lat nasza misja zaczęła się powoli motoryzować. Ale rower miał ponadto dodatkowy plus: nie oddzielał nas od ludzi napotykanych w drodze.

Na ogół w naszych podróżach misyjnych mieliśmy niewiele przygód z dzikimi zwierzętami. Najczęściej można było spotkać czarnego niedźwiedzia. Nasz misyjny szpital w Kalundze miał każdego roku kilkanaście przypadków, kiedy to niedźwiedź okazywał się dla tutejszych mieszkańców mało litościwy. Gdy kiedyś odwiedziłem kapliczkę w dżungli, moją uwagę zwrócił człowiek, który wokół głowy miał jakby ścieżkę pozbawioną włosów. Co mu się stało? Ludzie szybko mi to wytłumaczyli: rano poszedł za swoją potrzebą do lasu. Niedaleko uszedł, bo spotkał się oko w oko z niedźwiedziem, który kosmatą łapą zdarł mu z głowy skórę wraz z włosami. Zaczął krzyczeć. Ludzie usłyszeli wołanie o pomoc, zaczęli nadbiegać, niedźwiedź pierzchnął do lasu. A co zrobili ludzie z poranionym? Czy wzięli go do szpitala? Szpital dla Adibasów to

luksus. Oni *żyją*, cierpią i umierają w dżungli. Ludzie nałożyli biedakowi zwisającą, zdartą skórę na głowę, obłożyli rozpuszczonym krowim łajnem i obwiązali szmatą. I człowiek wyzdrowiał, tylko wokół głowy pozostała ścieżka na kształt przecinki w lesie albo śladu po kosiarce w wysokiej trawie.

Spośród gadów największym wrogiem ludzi był i jest jadowity wąż. Na naszym terenie można było spotkać kobrę, *ganaita* i *karaita.* W czasie pory deszczowej, od czerwca do września, były one szczególnie niebezpieczne, a także w porze gorącej - od kwietnia do czerwca. W porze deszczowej, gdy woda zalała jamę węża, odpoczywał on na ścieżkach, po których chodzili ludzie, jako że przeważnie wznosiły się one nieco nad terenem, a więc były względnie suche. W porze gorącej te same miejsca zapewniały odrobinę chłodzącego powietrza. Po zapadnięciu nocy Adibas szedł drogą postukując kijem. Nie zawsze to jednak skutkowało. Na szczęście, ludzie dżungli stosują pewne zioła przeciw ukąszeniu jadowitych węży. Jest to płyn ajurwedyczny, *tyriak*, produkowany w południowych Indiach. W wypadku ukąszenia przez jadowitego węża dawało się ofierze co pięć minut dziesięć kropli tyriaku na małą łyżeczkę wody. Jeżeli jad działał w człowieku, lekarstwo smakowało słodko. Tak długo trzeba było dawać tyriak, aż ukąszony nie chciał pić więcej z powodu smaku goryczy. Gdy poczuł tę gorycz, był uratowany. Lekarstwo podane nie za późno, działało niezawodnie. Ale nie było skuteczne dla alkoholików. Nawet mała dawka alkoholu niweczyła jego działanie. Niestety, nasi Adibasi lubią pić *haria*, piwo wyrabiane z ryżu.

Jeśli chodzi o węże, to utkwił mi w pamięci jeden wypadek. Nasi ludzie pracujący przy budowie nowej huty żelaza spali na dworze przed kościołem w miejscowości Hamirpur. Nic w tym nadzwyczajnego. Przynajmniej połowa całej populacji Indii spędza noce *sub Iove*. Pewnej nocy jeden z robotników, młody jeszcze człowiek, przebudził się krzycząc ze strachem: *Samp, samp!* czyli »Wąż, wąż!«. Jego towarzysze zerwali się, zaczęli szukać węża, ale nigdzie go nie znaleźli. Uznali, że chłopakowi wąż się po prostu przyśnił i położyli się spać. Rano wszyscy wstali zdrowi - wszyscy z wyjątkiem chłopaka. A jednak wąż go ukąsił, a jad dokonał reszty. Chłopiec zmarł. Pochowaliśmy go tego samego dnia - wymaga tego gorąca temperatura - na naszym katolickim cmentarzu. W małym orszaku pogrzebowym za marami szła jego obolała z żalu matka. Był to jej jedynak i jedyny żywiciel rodziny. Matka zwyczajem Adibasów głośno zawodziła pogrzebowy tren: *Mor beta phul lekhe rahe. Parmeshwar dekhlak kiphul phuil gelak i uke apan lagin torlak*, co znaczy: »Mój synek był jak ten kwiat, Pan Bóg zobaczył, że kwiat już zakwitł i zerwał go dla siebie«.

Ta prosta adibaska kobieta potrafiła spojrzeć na śmierć swego ukochanego syna przez prawdziwą i głęboką wiarę w Boga.

Dla ludzi pierwotnych, prymitywnych i właściwie zupełnie opuszczonych, bo pozbawionych jakiejkolwiek opieki państwa czy prawa, było to niezwykłym wydarzeniem, że ktoś się nimi zajmuje, że ktoś chce im pomóc, niczego nie oczekując w zamian. Adibasi są animistami, bardziej otwartymi dla chrześcijaństwa niż kastowi hinduiści. Są koczownikami, którzy wędrują w poszukiwaniu nowych pól. Gdy tylko kilka rodzin gdzieś osiądzie, zaraz budują kapliczkę. A potem przywołują księdza. I tak zwykle zaczyna się misja-parafia. Nawrócenia zbiorowe zdarzały się wśród Adibasów w XIX wieku. Na terenach zajętych przez ich plemiona wiara chrześcijańska łatwiej się rozprzestrzeniała, bowiem mieliśmy wspólne wyobrażenia o Bogu, który przenika wszystko swoim duchem i swoją obecnością.

Nasze doświadczenia są takie: dobroć zawsze się opłaca. Najważniejsze, że Jezus jest między nami. Adibasi akceptują księży katolickich, bo księża się o nich troszczą. Natomiast nie lubą braminów. Adibasi mówią: »Jeśli zobaczysz na swojej drodze kobrę - zabij ją«. Ale mówią też: »Jeśli na swojej drodze zobaczysz kobrę i bramina — zabij najpierw bramina*. Adibasi nie są hinduistami. Ich wiara pozwala zabijać. Byli tu, zanim Ariowie wtargnęli do Indii. Dlatego przez Hindusów uważani są za gorszych niż niedotykalni. Władze urzędowe tak wstydzą się obecności Adibasów, że fakt ich istnienia pomijają milczeniem. W Indiach wiele spraw i problemów pomija się milczeniem. Władze postępują często jak ktoś, kto pragnąc uwolnić się od czyjejś obecności - zamyka oczy.

W listopadzie 1950 roku pojechałem do miejscowości Ruselkonda na południu Orisy, aby nauczyć się *orija*, języka naszego stanu. W północnych rejonach, gdzie dotychczas pracowałem, nasi katolicy — Adibasi - posługiwali się swoją własną gwarą *sadri.* W obrzędach kościelnych używaliśmy języka *hindi*, zbliżonego do języka naszych parafian.

W czerwcu 1951 roku zostałem mianowany dyrektorem jedynego wówczas gimnazjum misyjnego. Równocześnie opiekowałem się szkołą apostolską dla chłopców, mających zostać w przyszłości kapłanami. Funkcję dyrektora tego gimnazjum sprawowałem aż do 1963 roku. W zakładzie pobierało naukę około sześciuset chłopców. Nasza bursa *(hostel)* liczyła nieraz ponad czterystu mieszkańców, którzy przybyli do nas z dalszych okolic. To gimnazjum wydało dwóch biskupów, wielu kapłanów, jednego kollektora (wojewodę), licznych inżynierów i fachowców różnych specjalności, ale przede wszystkim licznych nauczycieli naszych

szkół misyjnych. Dając możliwości, rozbudziliśmy wśród młodzieży pragnienie nauki, co z kolei zmuszało nas do otwierania rokrocznie kilku nowych szkół.

Od roku 1963 do 1975 opiekowałem się wszystkimi podległymi nam szkołami w całym okręgu misji Sambalpur jako tak zwany *Secretary Catholic Schools Comittee.*Nasza misja już w roku 1963 prowadziła sto siedemdziesiąt jeden szkół podstawowych (pierwsza-piąta klasa), dwadzieścia szkół z klasami od piątej do siódmej oraz osiem gimnazjów - pięć dla chłopców i trzy dla dziewcząt z klasami od ósmej do jedenastej. Niektóre z tych szkół zostały założone w roku 1906, w okresie, w którym ówczesne władze nawet nie wyobrażały sobie, że można uczyć Adibasów. Tę lukę w wyobraźni władz wypełnili misjonarze.

Było to coś wzruszającego, gdy się obserwowało, jak z roku na rok »dżungla« zaczyna garnąć się do nauki. Nasz biskup, sędziwy już dziś człowiek, ks. Alfons Bilung, kiedy był chłopcem biegał nagi z lukiem po dżungli, drobnymi rączkami zbierał krowie łajno, które służyło do różnych domowych potrzeb. Teraz te same ręce, kapłańskie i biskupie, wznoszą Przenajświętsze Ciało i Krew Pana Jezusa podczas Ofiary Mszy świętej.

Tę ogromną przemianę Adibasów zapoczątkowali i kontynuowali misjonarze, którzy dobrze wiedzieli, że droga pierwotnych szczepów do współczesności wiedzie przez naukę.

W roku 1968 nasz biskup otworzył pięć nowych stacji misyjnych. Jedną z nich, w miejscowości Bondamunda, powierzył mnie. Do moich obowiązków sekretarza wszystkich szkół misyjnych dołączył nowy obowiązek: proboszcza małej parafii. W Bondamunda przy kościółku zbudowałem małe sanktuarium, kapliczkę ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej, której wielki obraz przywiozłem z Polski w roku 1973.

W tym moim pobieżnym życiorysie pozostał do ujawnienia jeszcze jeden okres. Być może najważniejszy.

Na początku lat siedemdziesiątych nasza wschodnia prowincja werbistów w Indiach zamierzała rozszerzyć swoją działalność i zastanawiała się nad wyborem nowej placówki misyjnej. Wybór padł na miasto Puri, jedno z najświętszych i największych sanktuariów hinduistycznych w Indiach. Sercem tego miasta jest świątynia Dżagannathy, boga wszechświata. Bo *dżagar*— znaczy świat, a *nath* — pan. Do tego ośrodka przybywa dziennie około dziesięć tysięcy pielgrzymów z całego kraju. Gdy w roku 1922 hiszpańscy misjonarze po raz pierwszy odwiedzili Puri i zobaczyli przepych świątyni Dżagannathy, już wtedy marzyli, aby kiedyś w tym miejscu zbudować wspaniałą bazylikę ku czci Przenajświętszej Maryi

Panny, żeby Ona »zmiażdżyła głowę węża«. Tak sobie wówczas wyobrażano niechrześcijaństwo, jako stugłową bestię, którą należy zmiażdżyć. Dzisiaj pogląd ten uległ daleko idącej modyfikacji. Szukamy pomocy u Niepokalanej, aby pomogła przybliżyć Chrystusa hinduistom szukającym Boga.

W roku 1975, dokładnie w dwadzieścia pięć lat od rozpoczęcia mojej pracy wśród Adibasów, zostałem przeniesiony do miasta Puri w południowym rejonie stanu Orisa, sześćset kilometrów od mojej starej misji.

Niezbadane są wyroki Boże! Ja, były więzień z Gusen i Dachau, pielgrzym z dalekiej Polski, zostałem wyznaczony do urzeczywistnienia marzeń hiszpańskich misjonarzy. Spełniły się one dnia 11 grudnia 1985 roku, podczas konsekracji nowego kościoła w Puri, świątyni pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia.

To wszystko, co wydarzyło się w moim życiu do dzisiaj.

A jutro - tak samo jak całe wczoraj - jest w ręku Boga”.

Bracie, czy mogę ci pomóc?

A więc poznaliśmy dwie główne *dramatis personae* naszego reportażu. Teraz trzeba wprowadzić je na scenę i zacząć akcję. Akcja właściwie już się rozpoczęła tego dnia, kiedy ksiądz Marian przyjechał do Orisy i stanął przed Białą Pagodą. Sceną więc będzie miasto Puri, zaś gmachem teatru - całe Indie. Ten najbardziej skomplikowany labirynt współczesnego świata. Nawet coś więcej niż labirynt: węzeł gordyjski. Kurtyna już w górze. Scena oświetlona słońcem wczesnego popołudnia. W blasku tego potężnego reflektora ponownie zauważam księdza Mariana. Podobnie jak za pierwszym razem, i teraz otoczony jest tłumem ludzi, ale jest to tłum przechodniów na ulicy. Uliczka prowadząca od świątyni Dżagannathy do kościoła katolickiego jest wąska i względnie prosta. Po obu jej stronach przeważnie wąskie, dawno nie odnawiane domki z balkonikami, na parterach zaś, nad rynsztokiem, sklepiki z doczepionymi do nich kramami i werandami. Po prawej stronie kilka sąsiadujących ze sobą warsztatów rzemieślniczych. Pracujący tu artyści-rzemieślnicy wykonują różnej wielkości drewniane figury Dżagannathy i jego rodzeństwa, malują je i wystawiają przed pracownię, aby wysychały. Po lewej magazyny z materiałami, z rzeczami potrzebnymi w każdym gospodarstwie domowym,

sklepiki spożywcze, farmaceutyczne i różne. Uwaga: słodycze można kupić w drogerii. Mieszkańcy pomieszani z pielgrzymami. Między nimi przeciskają się, dzwoniąc nieustannie, riksze rowerowe i motorowe, zaprzęgi o wielkich kołach ciągnione przez woły, motocykle i samochody. Jak może się pomieścić na tak wąskiej uliczce aż tyle ludzi, tyle pojazdów i krów - pozostaje tajemnicą Indii.

Ojciec Marian mija niewielki placyk na skrzyżowaniu czterech wąskich uliczek, zwężonych jeszcze stertami gnijących śmieci, mając po prawej stronie niewielkie sanktuarium poświęcone świętej małpie, Hanumanowi, która pomogła królowi Ramie zwalczyć demona i odzyskać porwaną małżonkę. I właśnie tu, mijając wejście do świątyni, ksiądz Marian zauważył leżącego na ziemi starego człowieka. Skierował się ku niemu i pochylił się. Staruszek miał oczy przymknięte, w kurczowo zaciśniętej dłoni trzymał zakrzywioną laskę, zaś jego usta szeptały jakieś niezrozumiałe słowa.

- Bracie, czy mogę ci pomóc?

Oczy starego człowieka ożywiają się, wargi drżą.

- O tak, bracie, pomóż mi stanąć na nogi.

Podtrzymywany przez ojca Mariana wstaje. Jego prawa ręka mocno trzyma kostur.

- Jesteś chory? - pyta ksiądz Marian.

- Nie, nic mi nie jest, ale dziękuję ci. Położyłem się tylko na chwilę i usnąłem. Idę z bardzo daleka do świątyni. Powiedz mi, czy ona jest już blisko?

- O tak, jest bardzo blisko. Jeszcze tylko kawałek tą uliczką i zaraz ją zobaczysz.

- Dziękuję ci, bracie, za dobrą nowinę - mówi staruszek i błogosławi księdza Mariana złożonymi dłońmi.

Ksiądz Marian poszedł dalej w stronę kościoła. Mijając stojące po prawo warsztaty szewców uświadomił sobie nagle, że jego świątynia znajduje się aż tak blisko sanktuarium Dżagannathy i że to położenie stanowi już samo przez się jakiś początek dialogu. Tak, ale aby zaistniał dialog, muszą rozmawiać co najmniej dwaj partnerzy. A Kościół katolicki dotychczas milczał. Tysiącletni monolog Pana Wszechświata trwał nadal. Zanim ksiądz Marian doszedł do kościoła, już wiedział, że wkrótce będzie musiał Dżagannathcie zadać kilka pytań.

Posesja misji katolickiej przedstawiała się bardziej niż skromnie. Ogrodzony płotem teren porastały dzikie krzewy i chwasty. Między palmami stał kościółek, raczej kaplica, a z jej brudnych ścian tu i ówdzie odpadał tynk. W niektórych oknach brakowało szyb. Ojciec Marian wszedł do środka i poczuł zapach stęchlizny. Uklęknął przed głównym ołtarzem i usiłował się modlić. Ale na próżno. Jego poznański rodowód

nie znosił bałaganu i zaniedbania. Czując, że ogarnia go senność, wzmagana upałem i zmęczeniem, wyszedł z kaplicy i udał się do pokoiku w przybudówce. Gdy otworzył drzwi, dwa wielkie szczury, jakby zdziwione obecnością intruza, powoli zsunęły się ze stołu na podłogę i czmychnęły do nor. Bliska obecność szczurów nie pozwoliła księdzu Marianowi zmrużyć oka. Zwierzęta dawały znać o sobie aż nazbyt wyraźnie, jakby pragnęły przypomnieć człowiekowi, kto w tym pomieszczeniu jest prawdziwym gospodarzem. „Noc nie będzie łatwa" - pomyślał ksiądz Marian, wspominając swoje doświadczenia z pierwszych miesięcy po przyjeździe do Indii. Położył się na łóżku, zamknął oczy i kilkakrotnie powtórzył słowo „Boże", usiłując zmusić się do modlitwy, ale nie mógł uporządkować myśli. Ilekroć powiedział słowo „Boże", czuł, jak narasta w nim świadomość samotności i opuszczenia. „Jestem tylko słabym zwyczajnym człowiekiem - szeptał. - Jeśli Ty mi nie pomożesz... ".

Otworzył oczy i usiadł. Czuł, że rodzi się w jego głowie jakiś pomysł i uznał, że nie może przyjąć go na leżąco. Nałożył buty i wstał. Mimo panującego na zewnątrz upału, pragnął zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Była godzina czwarta. Wyszedł z pokoiku. Zamknął drzwi i skierował się w stronę morza. Po kilkunastu minutach usłyszał jego szum. Nieustanny i odwieczny. Ten sam, co na początku czasu. W miejscu przy skrzyżowaniu ulic, gdzie na niewielkim piaszczystym pagórku baptyści zbudowali kaplicę z czerwonej cegły, ujrzał ocean, a między falami kilka rybackich łodzi z trójkątnymi żaglami, podobnymi do grzbietowych płetw rekina. Słońce, chyląc się ku zachodowi, oświetlało żagle purpurowym blaskiem, który barwił także spienioną powierzchnię wody.

Ojciec Marian usiadł na wydmie i zdjął buty. Obolałe palce nóg zagłębiły się w gorącym piasku. Od morza wiała orzeźwiająca, nasycona wilgocią bryza. Ojciec Marian poczuł ulgę. Spojrzał na słońce. Pomarańczowocynobrowa kula kończyła swą dzienną marszrutę nad horyzontem po prawej stronie, prawie w tym samym miejscu, gdzie wyrzeźbione domami nabrzeże dotykało wody. I właśnie wtedy, jakby od strony zachodzącego słońca, w całym wspaniałym majestacie tropikalnej purpury zaczęły do świadomości ojca Mariana napływać słowa i samorzutnie układać się w wyraźny myślowy ciąg:

„Panie, uczyń mnie narzędziem Twojego pokoju,
abym mógł nieść miłość tam, gdzie panuje nienawiść,
abym mógł nieść ducha przebaczenia tam, gdzie panuje grzech
i wykroczenie,
abym mógł nieść zgodę tam, gdzie panuje niezgoda,

abym mógł nieść prawdę tam, gdzie panuje błąd,
abym mógł nieść wiarę tam, gdzie panuje zwątpienie,
abym mógł nieść nadzieję tam, gdzie panuje rozpacz,
abym mógł nieść światło tam, gdzie panują ciemności,
abym mógł nieść radość tam, gdzie panuje smutek.
Panie, pozwól, abym mógł raczej
pocieszać, niż abym był pocieszany,
rozumieć, niż żebym był rozumiany,
kochać, niż żebym był kochany,
albowiem zapominając o sobie, odnajdujemy siebie, tak jak umierając, budzimy się do życia wiecznego".

Oczy miał pełne łez wdzięczności, gdyż w słowach tej modlitwy franciszkańskiej Bóg pozwolił mu odnaleźć siebie. Nawet nie zauważył, kiedy słońce pogrążyło się w oceanie. Uspokojony wewnętrznie, posiedział j eszcze chwilę patrząc przed siebie, po czym wstał i pokrzepiony na duchu postanowił niezwłocznie rozmówić się z matką Julią, przełożoną pobliskiego domu sióstr szarytek. Dopiero teraz poczuł, że jest głodny.

Gdy przed zaledwie dwoma tygodniami wyraził zgodę - jako pierwszy werbista - na objęcie nowej misji w Puri, zdawał sobie sprawę, że decyzja ta odmieni całe jego dotychczasowe życie. Poprzednia wieloletnia praca między Adibasami, chociaż mozolna, ale przynosząca zadowolenie z powodu widocznych owoców, niewiele miała wspólnego z obowiązkami, które czekały go tutaj. Od aborygenów, ludzi pierwotnych szczepów, miał wejść między zadufanych w sobie braminów, pewnych swojej nienaruszalnej pozycji w hierarchii społecznej. Nienaruszalnej, bo najstarszej w kraju, najbliższej Pana Wszechświata. Miał też zetknąć się oko w oko z szeregiem innych ludzi, zasiedziałych tu od pokoleń i reprezentujących tylko wyższe kasty, ludzi, którzy na każdym kroku będą akcentowali z dumą swoją przynależność do religii *sanathan dhormo*, czyli wyznania bez początku i końca. Już wówczas powstał w jego umyśle plan stworzenia czegoś w rodzaju forum dyskusyjnego, na którym można by spotkać się z hinduistami i przedstawić im zasady wiary chrześcijańskiej. Często w tym okresie, zwłaszcza gdy zbliżał się termin wyjazdu do Puri, ogarniał go lęk przed spotkaniem z tym kimś mocnym i nieznanym, z kim przyjdzie mu podjąć dialog na zasadach równego z równym. Ten zwykły, ludzki strach podszeptywał nawet myśli o rezygnacji. W utrzymaniu decyzji pomogła mu jego chłopska, rogata, polska dusza. Dusza dwóch rodaków z poznańskiego: Michała Drzymały i bohatera *Placówki*, Ślimaka.

Na furcie domu sióstr dwa małe, proste krzyżyki. Po prawej stronie tabliczka z napisem *„Sisters of Charity - Dharmadham - Pań"*. *Dharmadham* w sanskrycie znaczy „święte miejsce współczucia". Ojciec Marian zadzwonił. - Jestem nowym księdzem - przedstawił się czarnej siostrze w białym habicie. — *Namaste, padre* — powiedziała siostra z miłym uśmiechem i dodała: - Matka oczekuje ojca.

Przez niewielki ogródek, pełen kwiatów, wszedł do poczekalni. Ojciec Marian usiadł na wyplatanym fotelu i dla wygody chciał wyprostować nogi, ale zaraz uświadomił sobie, że to nie wypada. Matka Julia weszła po chwili w towarzystwie starszej zakonnicy, z ręką wyciągniętą do powitania.

- Tak się cieszę, że ojciec już przyjechał do nas, bo ostatnio... Ależ proszę siedzieć, proszę siedzieć, ojciec z pewnością zmęczony. Boże! — zawołała. -1 z pewnością głodny! Kiedy ojciec przyjechał?

- Dzisiaj po południu. W Bhubaneszwar miałem przesiadkę. Pociąg z Kalkuty trochę się spóźnił.

- Swoje rzeczy już ojciec umieścił u siebie?

- Mam tylko niewielką walizeczkę.

- No tak - powiedziała matka Julia. — Czego się ojciec napije przed obiadem? Mamy sok pomarańczowy z lodem.

- Dziękuję, chętnie.

- Obiad będzie za godzinę. Wytrzyma ojciec do tego czasu? Czuję, że ma mi ojciec wiele do powiedzenia. A ja bardzo na to czekam. Bo i ja chciałabym z ojcem porozmawiać o swoich planach. O, już jest coś do picia i proszę spróbować tych ciasteczek. Same je pieczemy. Niektórzy nasi goście nawet je sobie chwalą. Ksiądz musi dbać o siebie, o swoje zdrowie - dodała z przestrogą w głosie - inaczej ksiądz nie wytrzyma w tym klimacie.

Rozmawiali długo, bardzo długo. Podczas obiadu, gdy ojciec Marian już zaspokoił głód i pragnienie, chciał nawet zażartować, chciał powiedzieć, że nie przyjechał tu po to, aby mu służono, ale po to, aby samemu służyć. Ale nie powiedział tego. Ponieważ nagle uświadomił sobie z całą ostrością, że to, co dotychczas tylko przeczuwał, to, co mu Bóg przeznaczył, dopiero teraz zaczyna się realizować naprawdę. Teraz, od tej chwili.

Wracając do siebie, miał tylko jedno pragnienie: aby już było jutro.

Dziwnie ukształtowana jest linia brzegowa Zatoki Bengalskiej w Puri. Geologiczny kaprys pomieszał strony świata. Bo tu wydaje się, że słońce wschodzi na północy, a zachodzi na południu. I tego wrażenia nie sposób się pozbyć nawet po dłuższym pobycie. Za to regularność wschodów

i zachodów słońca jest precyzyjna, jedynie z kilkoma minutami różnicy między latem i zimą. O godzinie 5.10 rano hinduski bóg Rama wyłania się z oceanu, aby o godzinie 17.10 pogrążyć się w wodzie, tyle tylko, że po przeciwnej stronie linii brzegowej.

Okna sypialni ojca Mariana skierowane są na zachód, pozwalają więc litościwie przedłużyć nocny wypoczynek o kilkanaście minut. Nic więcej. Bo ojciec Marian ma i tak w swoim sercu nastawiony budzik. Ten budzik nakręcają bieżące sprawy każdego poprzedniego dnia. Sprawy do załatwienia. Nie cierpiące zwłoki. Większość z nich nie ma numeru podawczego, ale za to wszystkie posiadają jakąś ludzką twarz. Twarz z wyrazem oczekiwania i nadziei.

Jest powszedni listopadowy dzień, pogodny i ciepły, jak zwykle o tej najlitościwszej porze roku. Poprzedniego dnia ojciec Marian wrócił z Hajdarabadu, gdzie uczestniczył w poważnej konferencji poświęconej leczeniu trędowatych i opiece nad nimi. Pojechał tam razem z panią doktor Wandą Błeńską, która od trzydziestu pięciu lat leczy trędowatych w Ugandzie i należy do światowych ekspertów najwyższej klasy. Z Hajdarabadu do Puri ponad tysiąc kilometrów. Dwie przesiadki. Prawie dwadzieścia godzin w pociągu, na twardych ławkach przedziałów drugiej klasy, przedziałów połączonych ze sobą, w więc niemożliwych do wyobcowania się z nieustannie hałaśliwego tłumu podróżujących Hindusów. No, ale to już czas przeszły. Przez chwilę ojciec Marian zastanawia się, czy nie zadzwonić do sióstr szarytek, aby spytać o zdrowie pani doktor, która mimo żelaznej kondycji, ale poważnego już wieku, nieraz odchorowuje przeciągi, zmiany klimatu i niewygody licznych podróży. Jest także wyjątkowo uczulona na lądowania samolotów i chociaż nieustannie lata, każdy taki moment wiele ją kosztuje. Kiedy ostatnio przyjechała do Puri, miała ponad czterdzieści stopni gorączki. Jej organizm tak zareagował na nagłą zmianę klimatu.

Zadzwonić więc, czy nie zadzwonić? - zastanawia się ojciec Marian, ale dochodzi do wniosku, że jeszcze za wcześnie.

Ojciec Marian zamyka oczy. Dziękuje Bogu za to, że pozwolił mu obudzić się znowu, aby w Jego imieniu podjąć pracę kolejnego dnia, a następnie przez chwilę pozwala unosić się fali wspomnień. Mimo upływu prawie roku od dnia konsekracji nowego kościoła, plebanii i domu parafialnego, czasem jeszcze trudno mu w to uwierzyć. I w takich momentach zwykle wspomina swoje pierwsze dni po przyjeździe do Puri.

Misja przedstawiała się gorzej niż skromnie. Kaplica była nieomal w ruinie, dach w każdej chwili groził zawaleniem. Do kaplicy dobudowane

były dwa pokoiki: kancelaria i „apartament” prywatny proboszcza. Te pomieszczenia ojciec Marian zajmował wraz ze szczurami. On urzędował w dzień - a one nocą. Ściany i krokwie dachowe były przegniłe. W strefie wilgotnego tropiku każda materia, nawet nieorganiczna, nawet kamień czy beton, ulega dużo szybszemu procesowi rozkładu niż w klimacie umiarkowanym czy suchym. Gdy tylko światło zgasło, szczury myszkowały głośno między książkami, po stole, w kąciku osobistych rzeczy, nic sobie nie robiąc z obecności gospodarza, jakby chciały mu dać do zrozumienia, że one są u siebie, a on jest tu intruzem. W porze deszczowej na niewiele się zdało przestawianie łóżka w poszukiwaniu względnie suchego kąta. Dach przeciekał wszędzie. Ojciec Marian musiał otwierać parasol i przykrywać się nieprzemakalnym płaszczem.

„To już prawie dwanaście lat” - myśli ojciec Marian, sam nie wiedząc, czy to „aż”, czy „zaledwie”, i aby uwolnić się od odpowiedzi na to pytanie - wstaje. Prędko i zdecydowanie, aby nie słyszeć podszeptu namawiającego do jeszcze bodaj krótkiej chwili drzemki. Rozsuwa firanki i w tym momencie zauważa przy bramie wejściowej na terenie misji siedzącego w kucki mężczyznę.

Ojciec Marian wychodzi przed dom, mężczyzna zauważa go i wstaje. W ręku trzyma kij. To *sadhu*, wędrujący żebrak. Tak wygląda na pierwszy rzut oka. Długie włosy, broda, zakurzone płócienne obuwie, laska. Ojciec Marian, podchodząc, poznaje przybysza. Jest to istotnie *sadhu*, ale jakby połowicznie, z konieczności, a nie z wyboru. Jest przede wszystkim bardzo zmęczony. To widać. Bo jest stary. I do tego trędowaty. Przyszedł aż z Pendżabu, z zachodniej strony Himalajów, z tego najbardziej niespokojnego stanu we współczesnych Indiach. Pokonał na swoich okaleczonych, bezpalcych nogach - jeżeli pociągiem, to skurczony między dwoma klozetami, a jeśli piechotą, to z wyciągniętą ręką - ponad trzy tysiące kilometrów. Wreszcie dzisiaj rano dotarł do celu swej wędrówki. Jeszcze było ciemno, gdy stanął przy głównej bramie do świątyni innej wiary i nie miał odwagi wejść. I nie dlatego, aby się lękał innego Boga - wie przecież, że Bóg jest jeden - ale ponieważ od chwili, gdy był tu ostatnio, to miejsce bardzo się odmieniło. Poprzednio zaczynano dopiero budowę, teraz jest skończona. W pierwszych promieniach słońca ujrzał piękną elewację nowego kościoła, zwieńczoną prostym krzyżem, sięgającym nieba. Ten symbol, tak wyraźnie tu zaakcentowany, wywarł na nim duże wrażenie. Od dawna zastanawiał się, dlaczego fascynuje go i niepokoi zarazem znak krzyża, jakby mu usiłował o czymś przypomnieć, czegoś się domagał. Ale był zanadto zmęczony, aby analizować swoje doznania. Gdy stąd odejdzie, będzie miał dość czasu na myślenie. Teraz najważniejsza jest sprawa, która

go do tego miejsca przywiodła z tak daleka. Usiadł przed bramą parafii katolickiej z niepokojem, czy zastał ojca Mariana, tego *panda* chrześcijańskiego Boga, pod którego opieką znajduje się jego syn, chłopiec już kilkunastoletni. Dziecko - bo mimo wszystko dla niego to jeszcze dziecko - wprawdzie mieszka w sierocińcu i jest na państwowym garnuszku, ale ojciec Marian - *Father Marianus* - ma w swoim ręku całą jego przyszłość. Właśnie aby upewnić się co do tej przyszłości, przybył dziś do Puri. Gdyby ojca Mariana nie było, dowiedziałby się, kiedy wróci, i czekałby, żyjąc z tego, co mu rzucą pobożni pielgrzymi zdążający do świątyni Dżagannathy. Jest tam wprawdzie wiele żebraków, ale dla jednego jakieś miejsce zawsze się znajdzie.

Ojciec Marian jest. Już ku niemu idzie. Już go poznał.

—*Dżojo Dżisu* — mówi nieśmiało w *hindi.*

— *Dżisunkor Dżojo* — odpowiada ojciec Marian w *orija* i zaprasza do swojego gabinetu. Tam zaparza herbatę, proponuje herbatniki i zagaja rozmowę. Wie dobrze, jaki niepokój sprowadził gościa: chłopiec. On jeden jest przedmiotem jego troski. Żona umarła, inne dzieci poszły na swoje, a on sam jako trędowaty został wypędzony z rodzinnej wioski i chyba już do niej nie wróci. Zresztą po co ? Żeby żebrać o odrobinę strawy u dawnych sąsiadów, znosić okazywany mu wstręt i pogardę? Już lepiej pójdzie przed siebie na tych swoich okaleczonych nogach. Właściwie już jest *sadhu*, wędrownym żebrakiem, który, aby zasłużyć sobie na lepsze życie w przyszłym wcieleniu, wyrzekł się dobrowolnie wszystkiego, wszystkich wartości materialnych i całej pychy życia i wyruszył ze swymi myślami na żebraczy szlak. Gdzieś na tej drodze, w miejscu, które zna tylko Bóg, jego serce zatrzyma się na zawsze. Także godzina, gdy się to stanie, już na niego czeka, już się przybliża, a była mu przeznaczona od zawsze, od samego początku wszechświata.

Przyszedł do ojca Mariana, chrześcijanina, człowieka obcej wiary, a nie do swojego *panda*, kapłana, bo wie, że hinduistyczni kapłani nie są po to, żeby dawać, ale żeby brać. Nieraz, idąc drogą i mając wiele czasu na myślenie, zastanawiał się, czy oni w ogóle wierzą w bogów, chociaż są tak ich blisko. Dotykają przecież posągów w świątyniach, skrapiają je mlekiem kokosowym, polewają topionym masłem, ubierają i okadzają.

Syn ma już szesnaście lat. Jest jednym z kilkuset dzieci objętych akcją *Sponsorship*, czyli jakby opieką na odległość, czymś w rodzaju pośredniczej adopcji. To Matka Teresa z Kalkuty zapoczątkowała ten rodzaj pomocy dla najbiedniejszych, ale u ojca Mariana ma on indywidualny wymiar. Ojciec Marian wysyła zdjęcie dziecka z krótkim opisem jego sytuacji rodzinnej do dalekiej Holandii i tam to biedne, indyjskie dziecko zostaje

jakby „zaadoptowane" przez jakąś holenderską rodzinę, która miesięcznie wysyła na jego konto sumę osiemdziesięciu rupii, czyli około pięciu, sześciu dolarów. W ten sposób przez kilka lat uskłada się spory kapitalik, będzie za co kupić rikszę, może nawet motorową, jeśli bank udzieli kredytu, co w wypadku poręczenia ojca Mariana jest tylko formalnością. O zawodzie rikszarza myśli wielu chłopców, bo chociaż konkurencja jest ogromna, wobec nieustannego przyrostu liczby obywateli każdy zdrowy człowiek wykręci pedałem na skromne, codzienne wyżywienie. Natomiast dziewczynki objęte akcją zdalnego opiekuństwa myślą o kupieniu maszyny do szycia albo niewielkiego warsztatu tkackiego. Zebrany kapitalik na koncie prowadzonym przez ojca Mariana przyda się też jako wiano, jako argument wartości dla przyszłego małżonka. Z czymś tak drogocennym jak skromny bodaj posag można założyć rodzinę i zyskać szacunek otoczenia, a to jest bardzo ważne. Źle jest, gdy panna młoda wchodzi do rodziny męża w tym, co ma na sobie. Takiej biduli nikt nigdy nie polubi.

Akcją *Sponsorship* objęte są prawie wszystkie dzieci trędowatych w kolonii, te dzieci, dla których ojciec Marian — znów przy pomocy przyjaciół z Holandii - zbudował przed trzema laty piękną, nowoczesną szkołę, zaś w rok później znacznie ją poszerzył i uatrakcyjnił.

Sponsorship nie jest jedyną akcją czy jednym rodzajem pomocy, jaką zajmuje się ojciec Marian. Okazuje się, że kraje zamożne, z przeważającą większością obywateli wyznania chrześcijańskiego, nie są wcale obojętne na cierpienia i potrzeby mieszkańców państw albo opóźnionych w rozwoju, albo rozwijających się z trudem, bo dźwigających liczne garby przeszłości. Wypada też podkreślić, że ci zamożni, zgłaszając gotowość udzielania pomocy, wcale nie pytają swoich podopiecznych, czy przypadkiem nie oni sami ponoszą odpowiedzialność za swoją biedę i swoje opóźnienie. Nad tym, kto ponosi winę, mają się zastanowić ekonomiści, antropolodzy, politycy, ale nie altruiści, ludzie o wrażliwych sercach. Pomagają, bo po prostu w ten sposób wyrażają poczucie solidarności i wspólnoty z obywatelami całego świata. Pomagają indywidualnie lub zrzeszeni w stowarzyszenia i organizacje, aby swym działaniom zapewnić lepszą operatywność.

I tak Stowarzyszenie *Save a Family* - Obrona Rodziny - złożone z obywateli USA i Kanady, pomaga w Puri - za pośrednictwem ojca Mariana - piętnastu rodzinom, płacąc na każdą z nich około stu rupii miesięcznie. Organizacja międzynarodowa *Mother and Child* - Matka i Dziecko - współpracuje ze Zgromadzeniem Sióstr Szarytek i przekazuje co pewien czas dla tutejszych rodzin trędowatych żywność i odzież, które rozdzielane są zgodnie z wcześniejszym rozeznaniem i stanowią bardzo potrzebną pomoc pozwalającą przeżyć ludziom szczególnie pokrzywdzo-

nym przez los. Dzięki katolickiej amerykańskiej organizacji „C.R.S." - *Cahtolic Relief Society* - Kościół katolicki w Puri może sięgnąć do prawie sześciuset najbiedniejszych rodzin w Puri, które raz na miesiąc otrzymują tak zwane *rations*, przydziały oleju do jedzenia, *bulgura* albo pszenicy i mleka w proszku. Ta sama organizacja pozwala Kościołowi rozwinąć akcje na korzyść matek i nieletnich dzieci, tak zwaną *Mother and Child Feeding.* Podobnie Stowarzyszenie *Poor People* - Biedni Ludzie - swoją opieką obejmuje dwudziestu sześciu mieszkańców Puri, wyłonionych z grona najbardziej potrzebujących.

Ale co najważniejsze: ojciec Marian nie czeka, aż potrzebujący do niego się zgłoszą, chociaż takich jest, oczywiście, bardzo wielu. Także sam ich wynajduje w pobliżu, a nawet w dalszych okolicach. Sprawdza osobiście każdą informację, która do niego dotarła, na przykład o porzuconej przez męża kobiecie z kilkorgiem dzieci, o rodzinie bezdomnych pogorzelców,
0 tajemniczej chorobie, która w pewnej dzielnicy zabija dzieci. Właśnie szczególną opiekę roztacza nad rodzinami po jakiejś katastrofie. Po wypadku, po tragedii, z którą ci ludzie nie mogą sobie poradzić, wobec której są po prostu bezradni. Na żadną inną pomoc liczyć nie mogą, bowiem Hindusi są w zasadzie bardzo mało wrażliwi na cudze nieszczęście. Zasiłek jednorazowy lub stały zależy od sytuacji danej rodziny czy danego człowieka, zaś o jego wysokości decyduje sumienie ojca Mariana. Jednorazowa pomoc wynosi od dziesięciu do stu rupii. Wypłaca się je albo natychmiast, albo w ustalone dni przy pomocy jednego z pracowników parafii i siostry szarytki. Otrzymujący kwitują pobraną kwotę najczęściej odciskiem palca. Cała procedura przebiega w atmosferze napięcia, lamentów, utyskiwań, a często nawet wrzasków. Ci ludzie mówią o sobie, skarżą się na swój los
1 na sąsiadów, czasem niezgodnie z prawdą wyolbrzymiają obraz swego ubóstwa. Wiedzą, że ojciec Marian nie odmówi, a przynajmniej wysłucha. Ich twarze, ich chudość, ich nędzne odzienie są legitymacjami biedy, a często nędzy. Mają świadomość, że potrzebujących jest bardzo wielu, ale zawsze swoją sytuację uznają za najbardziej godną współczucia. Otrzymawszy zasiłek, najczęściej domagają się jego powiększenia.

Wszyscy wiedzą, że pomaga im *guru* obcej wiary, dobry, miłosierny, troskliwy i wyrozumiały - mający więc takie przymioty, jakich na próżno szukaliby u swoich władz administracyjnych czy kapłanów. Ci biedacy przychodzą z prośbą o pomoc do Kościoła katolickiego. Dlaczego nie do kogoś innego? Ale do kogo? Czy są w ogóle jakieś państwowe czy społeczne organizacje charytatywne? Owszem, są, ale bardzo nieliczne i mało operatywne. Bogaci uważają los biedaków za wynik ich własnej winy w tym albo w poprzednim wcieleniu.

Akcji charytatywnej na taką skalę i o takim zasięgu nie można prowadzić metodami błogosławionego brata Alberta, pukając do pojedynczych drzwi ludzkiego sumienia. Kilku zagranicznych sponsorów, którzy regularnie wywiązują się z przyjętych zobowiązań, nie wystarcza. Część potrzebnych jeszcze pieniędzy ojciec Marian uzyskuje za niektóre porady lekarskie, ze sprzedaży kokosów lub też za takie czynności, które zlecają mu czasem co bogatsi obywatele miasta lub gospodarze, farmerzy okolicznych wsi. Obdarowani piszą co pewien czas - na przykład przed świętami Bożego Narodzenia - do swoich dobroczyńców, których nigdy nie widzieli, a nawet nie potrafią sobie wyobrazić - na specjalnych kopertach kilka słów z podziękowaniem. Tekst ozdabiają kwiatkami, serduszkami, słoneczkami. Często tylko coś rysują, bo nie umieją pisać. Czasem dzieci pomagają rodzicom nagryzmolić kilka słów po angielsku. Ojciec Marian wysyła te listy, co też kosztuje, i to niemało, wobec co jakiś czas podwyższanej taryfy pocztowej, do krajów, które dla Hindusów są tak samo niewyobrażalne i egzotyczne jak Indie dla tych dalekich adresatów.

Im, tym adresatom, także należy się bodaj kilka słów. Nawet gdyby ich osoby zostały przedstawione tylko jakby na zbiorowej i do tego nieostrej fotografii. Kim oni są? Jak to się stało, że zostali dobroczyńcami katolickiej misji w Puri?

A więc, ktoś zobaczył zdjęcie, ktoś przeczytał artykuł w gazecie albo obejrzał przypadkowo reportaż filmowy, ktoś inny dowiedział się podczas wizyty od znajomych, albo podczas wycieczki turystycznej odłączył od grupy i poszedł kilka kroków dalej, w niezamierzonym kierunku, może nudząc się otworzył radio i usłyszał apel, a jego serce - bo kto ośmieli się powiedzieć z całym przekonaniem, że tak nie jest - dotknął palec Boży i to dotknięte serce nie pozostało obojętne... Może spłacając dług wdzięczności za uratowane życie dziecka, może za uniknięcie katastrofy, za udaną operację, może jako pokutę za wyrządzoną komuś krzywdę, może w porywie radości z powodu korzystnego interesu... Kto to wie? A może po prostu z wrodzonej człowiekowi dobroci i wrażliwości na czyjeś nieszczęście? Ten ktoś postanowił pomóc i swoją gotowością zaraził innych, przyjaciół, znajomych, bo gdzież na świecie nie znajdzie się ludzi za coś wdzięcznych? I chyba najczęściej właśnie tak powstaje ten łańcuch dobrej woli, którego ogniwa tworzą się z ludzkiej wrażliwości, zaś hartują się przez nieobcą nikomu — zwłaszcza zamożnym — świadomość zagrożenia i kruchość wszystkiego, co materialne i co zależy od kaprysu chwilowej koniunktury. Może niektórzy usiłują w ten sposób uspokoić własne sumienie lub przekupić nieznany los, dając swą dobroczynnością łapówkę przeznaczeniu?

Nawet nie zapytałem ojca Mariana, jaką religię wyznają czy też do jakiej się przyznają ci wszyscy ludzie z tylu krajów świata, którzy pomagają mu tak wydatnie przy codziennym dawaniu świadectwa Ewangelii poprzez współczucie, miłość i miłosierdzie dla samotnych, kalekich, opuszczonych i dzieci. Bo wiem, że liczą się tylko czyny, że „po czynach ich poznacie".

„Wiem dobrze - napisał Jan Paweł II z Castel Gandolfo dnia 12 września 1982 roku - że w każdym człowieku, który jest w potrzebie, znajduje się Chrystus w sposób szczególny oraz że każdy z nas jest zobowiązany do spotkania tego Chrystusa, który żyje w naszym potrzebującym bracie i w naszej potrzebującej siostrze".

Misja katolicka w Puri. Jeden dzień ojca Mariana

Ulicą przechodzi żebrak. Trudno ocenić, czy jest on zawodowcem, czy też nie ma się gdzie podziać ani co z sobą zrobić. Może sam zdecydował o takim życiu, a może został do niego zmuszony. Mnóstwo jest takich ludzi. Prawą stopę ma owiniętą brudną szmatą. Trędowaty? Nie. Gdzieś się skaleczył, może go pies ukąsił, a kurz uliczny pomieszany z bakteriami odchodów dokonał reszty. Biedak przystaje przed bramą misji. Wie, że jest tu świątynia obcego Boga, ale wchodzi, kulejąc, do środka. Na dziedzińcu spotyka młodego mężczyznę, który właśnie wychodzi z biblioteki. Pyta go o coś i młody człowiek wskazuje gestem dom parafialny. W drzwiach staje ojciec Marian. Idzie naprzeciw przybysza. Pozdrawiają się. Zamieniają kilka słów. Ojciec Marian wraca do siebie. Żebrak stoi i patrzy w ślad za nim. Ojciec Marian wychodzi niosąc koszulę. Daje ją żebrakowi. Potem sięga do prawej kieszeni i wyjmuje banknot pięciorupiowy. Żebrak dziękuje i chce odejść, ale ojciec Marian ujmuje go pod ramię i prowadzi w lewo. Mijają główne wejście do kościoła, wchodzą w cień palm. Przez tylne drzwi wchodzą do przychodni lekarskiej, której patronuje bł. Arnold Janssen, założyciel Zgromadzenia Słowa Bożego. Doktor Mahapatra rozmawia właśnie z jakąś pacjentką trzymającą na kolanach nagiego chłopczyka. Ojciec Marian z żebrakiem mijają ich i kierują się do ambulatorium, czyli pokoiku obok. Ojciec prosi znajdującą się tam pielęgniarkę, siostrę szarytkę, aby zajęła się okaleczoną stopą żebraka. Potem wraca do siebie, ale przechodząc obok matki, głaszcze jej synka po głowie. Doktor Mahapatra udaje, że tego nie

zauważył. On jest lekarzem, a nie pocieszycielem strapionych. Nie lubi okazywać, że oprócz rozumu ma jeszcze serce. I tak wszyscy o tym wiedzą.

Biały ambulans z czerwonym krzyżem i napisem „Pacjenci trędowaci są naszymi przyjaciółmi", podarowany misji przez grupę ASTI z miasta Udine we Włoszech, jest dobrze znany w Puri i w okolicy. Przechodnie często pozdrawiają go podniesionymi rękami. Ale czasem czyjaś podniesiona ręka go zatrzymuje. O, właśnie: ta stara kobieta ma wielkie zmartwienie. Co ma robić, bo jest ślepy trędowaty, ale w szpitalu go nie przyjęli, chociaż jest nie tylko ślepy, ale jeszcze złamał rękę, auto go potrąciło i uciekło... Ojciec Marian daje kobiecie dziesięć rupii i poleca, aby przewieziono chorego do kolonii trędowatych, gdzie się nim zajmą zakonnice pracujące w tamtejszej przychodni. Jeżeli będzie potrzebna operacja - mówi ojciec Marian - chory pojedzie do Dżanla koło Bhubaneszwar, do szpitala Matki Teresy.

Ojciec Marian często daje biednym pieniądze na leczenie i pobyt w szpitalu. Interweniuje też w razie potrzeby. Odwiedza chorych, troszczy się o ich zaopatrzenie, rozmawia z lekarzami, stara się o lekarstwa. Jego interwencja najczęściej skutkuje. Nie jest już osobą prywatną. Jest instytucją, której nie wolno lekceważyć.

Do kościoła przychodzi prawie codziennie kobieta w średnim wieku, chora umysłowo. Dwa łata temu, gdy pojawiła się po raz pierwszy, ojciec Marian polecił odwieźć ją do Bhubaneszwar, do zakładu Matki Teresy, ale po pewnym czasie wróciła do Puri. Mimo opieki źle się czuła w obcym środowisku, chociaż jest zupełnie samotna, a raczej nikt się do niej nie przyznaje. Zawsze przychodzi do misji, gdy jest głodna, i nigdy głodna nie odchodzi. Ciekawe, że nie idzie do świątyni Dżagannathy. Przyzwyczaiła się do ojca Mariana i spokojnej atmosfery tego miejsca. Tu zachowuje się bardzo cicho, siada na progu kościoła albo na ławce w poczekalni przed kancelarią, a jej ręce i głowa zaprzestają wykonywania nieskoordynowanych ruchów. Jeśli coś bełkocze, to nie agresywnie, ale cicho, jakby usiłowała sobie o czymś przypomnieć. Kobietą opiekują się też siostry szarytki. Co jakiś czas ją kąpią, piorą jej sari albo dają nowe, gdy poprzednie nie nadaje się już do użycia.

Dzisiaj rano, zdradzając widoczne zdenerwowanie, weszła na teren misji młoda dziewczyna, Europejka, Włoszka, jak się okazało. Turystka. Poprosiła, aby ojciec Marian niezwłocznie poszedł do pewnego hoteliku, gdzie w zamkniętym przez właściciela numerze przebywa jej rodak, także młody turysta, i aby mu pomógł w pertraktacjach z policją. Jeszcze ojciec Marian nie zdążył zadzwonić do hoteliku, gdy odwiedził go funkcjonariusz miejscowej policji. Chodzi o tego Włocha. I żeby ojciec Marian porozumiał

się z konsulatem włoskim w Delhi i spowodował, aby konsul zidentyfikował tego turystę, który przebywa na terenie Indii bez ważnej wizy. Ojciec Marian - nie bez trudu - uzyskał połączenie z wydziałem konsularnym włoskiej ambasady, ale rozmówca powiedział mu, że to nie ich interes, skoro jakiś turysta nie ma sprolongowanej wizy. Niech przyjedzie do Delhi. Wobec tego ojciec Marian odłożył słuchawkę i pojechał do hoteliku, aby porozumieć się z młodym Włochem. Ale już go tam nie było. Przed godziną wyjechał z Puri mając i ważny paszport, i ważną wizę. Alarm był fałszywy, wszczął go nieudolny, choć nadgorliwy urzędnik bankowy donosząc policji, że Włoch zgłosił się do niego w sprawie wymiany pieniędzy, ale w paszporcie miał wizę, której termin ważności już upłynął. W odczycie na stemplu urzędnik ten potknął się o nazwę miesiąca. Była rzekomo niewyraźnie napisana.

- Czy jest *Father?* - Nie ma. Wyjechał. - Kiedy wróci? - Pewnie niedługo. - Istotnie, wkrótce wraca. Ambulans zostawia przed garażem, bo i tak za chwilę będzie potrzebny.

—*Bonjour, monsieur.*

—*Bonjour.*

Ci państwo to Francuzi. Ojciec i córka. On jest dobrze po siedemdziesiątce, ona pod czterdziestkę. Sprawa jest zwyczajna, chociaż smutna.

- Tak,tak,wiem-mówiojciecMarianidodaje:-Pamiętam.Chodźcie, państwo, do mnie, napijemy się kawy.

O smutnych sprawach lepiej rozmawiać przy stole. Gdy człowiek ma o co zaczepić ręce, jego gesty nie są takie bezradne, a kawa łagodzi drżenie głosu.

Starsza córka wraz z mężem podczas prawie dwuletniej wyprawy do Indii - interesowali się oboje filozofią hinduistyczną, szukali jakiejś uniwersalnej prawdy, mieszkali przez pewien czas w *aśramie* — umarła w lipcu tego roku właśnie tu, w Puri. Była wielka pora deszczowa, w Kalkucie nabawiła się jakiejś infekcji, przyjechała do Puri już poważnie chora; w miejscowym szpitalu stwierdzono żółtaczkę. Ojciec Marian wie o tym, czuwał przy chorej prawie cały czas, po dwóch dniach zmarła. Ojciec Marian zajął się formalnościami i pogrzebem. Kobieta została pochowana na miejscowym cmentarzu chrześcijańskim, mając po prawej stronie jakiegoś Włocha, a po lewej Szkota, który też zmarł w Puri kilka tygodni temu. Ojciec zmarłej przyjechał wraz z młodszą córką aż z południa Francji, aby zająć się grobem nieszczęsnej turystki, której nie dane było wrócić do rodzinnego kraju z indyjskiej przygody. Zgodnie z prośbą ojca, ksiądz Marian zamówił kamieniarzy i wspólnie zdecydowali o kształcie grobu. Płyta, napis, krzyż. Ambulansem misji pojechaliśmy na cmentarz. Z wdzięczności dla księdza Mariana, za okazaną jego dziecku życzliwość w ostatnich chwilach życia i po śmierci, ojciec zmarłej Francuzki kupił następnego dnia dwa duże pudła słodyczy i zawiózł je dzieciom w szkole przy kolonii trędowatych. Chciał coś powiedzieć, ale wzruszenie utrudniało mu formułowanie myśli. Wyjeżdżając, podarował ojcu Marianowi swój skromny aparat fotograficzny. Chciał także załatwić coś ważnego dla dzieciaków z kolonii. Napiszę o tym niżej.

Niedawno wydarzył się jeszcze jeden dość charakterystyczny wypadek. Na ulicy niedaleko kościoła umierał człowiek. W Indiach to nic nadzwyczajnego. To tylko nam, Europejczykom, wydaje się, że ulica nie jest odpowiednim miejscem do spotkania ze śmiercią. Ale tu takie sceny obserwuje się dość często, zwłaszcza że na pierwszy rzut oka trudno odróżnić sen żywy od snu wiecznego. Tym razem jednak agonia była bolesna i przygodni świadkowie tłumnie pośpieszyli do misji katolickiej z prośbą o pomoc, chociaż bliżej mieli kilka niewielkich świątyń hinduskich, którymi opiekują się bramini. Kiedy ojciec Marian pośpieszył na miejsce wypadku, ktoś już polecił rikszarzowi odwieźć umierającego do miejskiego szpitala. Ojciec Marian w asyście dość licznej eskorty poszedł tam natychmiast. Umierający leżał na płytach korytarza, niczym nie przykryty, zdany na zajadłość much. Ksiądz wymusił na pielęgniarce, aby przyniosła prześcieradło, a następnie usiadł przy umierającym i - modląc się w duszy - starał się mu pomóc. Przygodni obserwatorzy pilnie śledzili jego zachowanie, aby w razie najmniejszego podejrzenia donieść władzom o „niedozwolonych praktykach *guru* obcej wiary" wobec umierającego, prawdziwego i przyzwoitego hinduisty. Człowiek wkrótce zmarł. Dziś właśnie odwiedził ojca Mariana jakiś starszy mężczyzna z wyższej kasty. Wytłumaczył, że przysyła go krewny zmarłego, aby osobiście wyrazić wdzięczność za okazaną troskę. Ojciec Marian zaprosił gościa do swojego skromnego pokoiku przy kościele i poczęstował po polsku „czym chata bogata". Mężczyzna dziwił się ubóstwu, jakiego z pewnością nie spodziewał się zastać u tak sławnego katolickiego *guru.* Następnie, po krótkiej rozmowie, poprosił, aby ojciec Marian położył się na łóżku, a gdy ksiądz, zdziwiony, spełnił jego prośbę, usiadł obok i z wielkim znawstwem zaczął masować nogi ojca Mariana. Wyjaśnił, że zgodnie ze zwyczajem swej podkasty pragnie uczucia wdzięczności i szacunku wyrazić w sposób bardziej realny. Potem ojciec Marian powiedział mi, że to masowanie nóg było dla niego bardziej duchowym przeżyciem niż fizycznym doznaniem. Podobne wrażenia potrafią wywołać jedynie Hindusi.

Skoro odwiedziliśmy już prywatny pokoik ojca Mariana, chciałbym poświęcić mu bodaj kilka słów. Ale aby lepiej go opisać, muszę posłużyć się autentyczną anegdotą.

Były biskup - Hindus z Kataki - nie wierzył w zdolność zwracania zaginionych rzeczy przez świętego Antoniego. Podczas pobytu we Włoszech odwiedził Padwę i właśnie tam zgubił swój kapelusz. Mimo modlitwy o oddanie zguby - kapelusz się nie znalazł.

Najwidoczniej ojciec Marian ma u świętego Antoniego wyjątkowe względy, skoro potrafi orientować się w tym całym rozgardiaszu, jaki panuje w jego pokoju i w kancelarii. W tym absolutnym pomieszaniu wszystkiego, co tylko jest możliwe — książek, dokumentów, zapisków, rachunków, broszur, druków, listów, gazet, kwitów, zdjęć.... — nie zdarzyło się, aby nie znalazł tego, co w danej chwili jest mu potrzebne. Gdy wielokrotnie obserwowałem ojca Mariana przy takich poszukiwaniach, moja wiara w moc Świętego z Padwy umacniała się aż do całkowitej pewności. Trzeba też powiedzieć, że św. Antoni okazuje ojcu Marianowi wyjątkową cierpliwość. I należy tylko modlić się, aby nigdy jej nie stracił.

Ponieważ moje szkice zaczynają zamieniać się w portrety, aby dokonać charakterystyki innych osób odwiedzających misję katolicką, posłużę się już tylko kilkoma kreskami:

Starszy pan o eleganckich manierach, samotny po śmierci żony, przychodzi, aby porozmawiać, aby bodaj przez chwilę być z kimś życzliwym; staruszka, wycieńczona okropnie, w łachmanach, z żebraczym kijem w ręce; matka z kilkorgiem dzieciaków; inwalida z uciętą ręką; reumatyk o zdeformowanych kończynach; uczeń gimnazjalny z prośbą o pomoc w wyszukaniu lektury... Zwierzają swoje troski, zmartwienia i kłopoty. Często ojciec Marian udziela konkretnej pomocy w postaci lekarstw lub na miejscu przeprowadza drobne zabiegi. Wzruszające są zwłaszcza odwiedziny matek z dziećmi. Nie mówią, od kogo lub przy jakiej okazji dowiedziały się o miłosiernym sercu ojca Mariana i o tym, że nigdy nikomu nie odmawia pomocy. Wielu z przychodzących sprawia wrażenie bezradnych dzieci, które instynktownie szukają pomocy u kogoś najbliższego. Wszyscy mówią do niego *bapa*- „ojcze".

Codziennie, przeważnie rano, przychodzą do ojca Mariana różni ludzie z rozlicznymi interesami. Na przykład potrzebne są cegły i pustaki do naprawy jakiegoś obiektu albo do zbudowania nowego. Ojciec Marian wystarał się o szablon do wyrobu pustaków. Wytłumaczył, jak się nim posługiwać, jak napełniać masą, jak ubijać, jak wyjmować cegły i kiedy mieć pewność, że wyschły. Długo o tym rozmawiał z trędowatym braminem, panem Gopina Panda, przewodniczącym *Panczajatu* w kolonii.

Obecni byli inni „specjaliści", bo w Indiach wszystko, co się dzieje, odbywa się w przytomności nie tylko bezpośrednio zainteresowanego, ale też wobec licznych przygodnych świadków, dla których każde wydarzenie jest atrakcją w stałej monotonii życia. Ojciec Marian wydaje dyspozycje, omawia każdą z nich, tłumaczy, często wielokrotnie. Aby być lepiej zrozumianym, często osobiście demonstruje sposób używania jakiegoś narzędzia czy urządzenia - pompy, agregatu, aparatury kontrolnej, zegara pomiarowego...

Ojciec Marian dyryguje organizacją każdego dnia, a każdy dzień - chociaż ogólne tętno jest w zasadzie takie samo - ma swój odrębny rytm, w zależności od tego, co jest aktualnie do zrobienia. Każda sprawa, każdy problem wymagają innej jednostki czasu. Chwilami rytm zajęć przyśpiesza, chwilami zwalnia, ale nic nie może być pominięte, zapomniane, przeoczone, zlekceważone, bo cały cykl, cały harmonogram zostanie zakłócony. A przecież każda sprawa związana jest z jakimś człowiekiem, z jego oczekiwaniem lub nadzieją. Każda.

Są, oczywiście, sprawy mniej lub bardziej zasadnicze, mniej lub bardziej ważne. Ale wszystkie razem stanowią jedną całość. Ojciec Marian kieruje nimi, jakby odprawiał nabożeństwo: każdego dnia realizuje przykazania Jezusa, jakąś cząstkę Jego tajemnicy, często zaś odbywa razem z Nim odcinek Drogi Krzyżowej. Bo wszystko zależy od tego, kogo spotka się w ciągu dnia - Marię Magdalenę, Szymona czy płaczące niewiasty.

Do najważniejszych fragmentów tej organizacji pracy należy codzienny obowiązek rozwiezienia kilkunastu sióstr szarytek do miejsc ich stałego zatrudnienia. Misja ma dwa ambulanse - przynajmniej jeden z nich musi być codziennie sprawny i gotowy do drogi. Ruch zaczyna się zaraz po Mszy świętej, o wpół do siódmej rano. Peter Lalit Rao, kierowca misji, wyprowadza samochód z garażu, drugą furgonetkę uruchamia ksiądz Tomasz, Hindus pełniący funkcję wikarego w parafii. Jadą do szarytek. Tam siostry już czekają. Jedne jadą do wioski rybackiej na północ od miasta, inne do wioski rybackiej położonej w południowej jego stronie, jeszcze inne do przychodni przy kościele, do szkoły Beatrix, do kolonii trędowatych. Często zdarza się, że samochód jest potrzebny do przywiezienia czegoś ze stacji, z magazynu pocztowego; do odwiezienia kogoś do Bhubaneszwar lub przywiezienia kogoś stamtąd; jako pomoc w załatwieniu nie cierpiącej zwłoki urzędowej sprawy albo do zawiezienia żywności do wioski Dobhar, gdzie z inicjatywy ojca Mariana mieszkańcy budują groblę przeciwpowodziową. W tej „orkiestrze" wszystkie instrumenty są jednakowo ważne, bo każdy z nich tworzy harmonijny akord codziennych obowiązków. Wielu z nich nie można by wypełnić bez

głęboko zaangażowanej współpracy sióstr ze zgromadzenia miejscowych szarytek i sióstr adoratorek Najświętszego Sakramentu. Ich białe habity widoczne są wyraźnie w zwartym, wielotysięcznym, kolorowym tłumie ulicznym miasta Puri.

„Zwróćcie się do sióstr szarytek.,. ”

Po przybyciu ojca Mariana cztery siostry otrzymały specjalne przeszkolenie lekarskie, aby pomagać przy zabiegach, opatrunkach i operacjach oraz fachowo opiekować się chorymi.

I tak *veribus unitis* praca ruszyła. W wiosce rybackiej Pentekota - położonej na wschód od miasta - siostry zbudowały szpitalik i założyły szkołę podstawową z przedszkolem. Dotychczas żadne z tamtejszych dzieci nie słyszało nawet o takiej instytucji jak szkoła. To była osobista inicjatywa matki Julii. Teraz, codziennie od godziny ósmej do piątej, pracują w wiosce dwie siostry. Wypadki przy połowie ryb, naprawianiu sieci, wrzody od słonej wody, rany od noży, ości, sieci i różnego rodzaju zakażenia, a także normalne schorzenia, niemożliwe do uniknięcia wobec nieprzestrzegania podstawowych zasad higieny, dostarczają siostrze sanitariuszce licznych pacjentów. Druga siostra, nauczycielka, prowadzi przedszkole z nauką wstępną dla najmłodszych dzieci, które przygotowują się do przyszłej nauki w szkole: uczy je, między innymi, posługiwać się tabliczką i rysikiem do pisania, rozbudza zainteresowanie książeczką z obrazkami, organizuje wspólne zabawy, poszerzając wrażliwość i wyobraźnię dzieci.

Początkowo nikt nie przychodził do szpitalika. Ludzie nie mieli zaufania. Krępowały ich obce stroje sióstr, a w ogóle—woleli zachować ostrożny dystans w stosunku do czegoś aż tak nowego. Więc obie siostry codziennie rano chodziły od chaty do chaty, ubierały dzieciaki, myły je i czesały, kiedy trzeba było - dawały lekarstwa, opatrywały rany i wrzody, rozmawiały z matkami, szczególną troską otaczały kobiety, które spodziewały się rozwiązania, radziły, uświadamiały, przekonywały. Teraz codziennie kilkadziesiąt dzieci przychodzi do szkółki. Wszystkie otrzymują jedzenie, a te, które potrzebują, także ubranka. Starsi już od dawna przełamali opory, przekroczyli granicę uprzedzenia i nieufności, tak więc i szpitalik nie narzeka na brak pacjentów.

Po drugiej, południowej stronie miasta, między dzielnicą luksusowych hoteli i miejscem kremacji zwłok, leży inne osiedle rybackie. Nazywa się

Nolia Sahi, to znaczy Dzielnica Rybacka. Sąsiedztwo jest niezwykłe, szokujący też kontrast między współczesną architekturą i szałasami przypominającymi głębokie średniowiecze albo epokę jeszcze bardziej odległą. Ale takie kontrasty dziwią jedynie turystów, dla Hindusów są czymś zupełnie normalnym.

W tym osiedlu zgromadzenie sióstr szarytek zakupiło mały domek parterowy, na którym siostry dobudowały dwie kondygnacje. Miejscowy zwyczaj prosił się o nazwę dla nowego domku. Siostry nazwały go: *Szanti Kutir*, Domek Pokoju. Pracują tam także dwie siostry: Bimola i Stanisława. Całej akcji pomocy patronują państwo Bogaart z Holandii. Zapewniają pieniądze, przysyłają ubrania, książki, zeszyty, przybory do pisania i szycia. Siostra Bimola zajmuje się dziewczętami. Uczy je krawiectwa, prowadzi pogadanki i organizuje prelekcje, mające na celu rozbudzić i pogłębić ich moralną świadomość jako przyszłych żon i matek. Siostra Stanisława pełni dwie funkcje: uczy dzieci i jest *socialworker*, to znaczy rzecznikiem, opiekunem spraw ludzkich. To ona często udziela porad prawnych, wyjednuje u władz pomoc dla rybaków, interweniuje, pisze podania i pilnuje ich załatwienia, radzi w różnych sprawach wychowawczych, rodzinnych i sąsiedzkich, występuje jako rozjemca, łagodzi spory, prowadzi rozmowy ze skłóconymi...

Państwo Bogaart od czasu do czasu przyjeżdżają do Puri i wtedy spotykają się ze swoimi „adoptowanymi dziećmi”. Wiele z nich dzięki ich pomocy ukończyło szkołę, więc łatwiej znalazło pracę. Wykształcenie w dzisiejszych Indiach to najbardziej wartościowy kapitał.

W zgromadzeniu sióstr szarytek w Puri jest szesnaście zakonnic. Sześć z nich studiuje w tutejszej Państwowej Szkole Pedagogicznej. Gdy otrzymają dyplomy zawodowe, zasilą stale zwiększającą swój zasięg działalność misyjną. Albo tu, w Puri, albo gdzie indziej.

Co kilka dni przed bramą klasztoru gromadzą się najbiedniejsi z okolicy. Otrzymują mąkę, ryż, oliwę, konserwy. Wielu ludziom pozwala to przetrwać najtrudniejsze chwile. Bo ktoś miał wypadek, ktoś został porzucony, ktoś zachorował, ktoś stracił pracę, ktoś komuś umarł... Opieka medyczna ratuje i dorosłych, i dzieci przed skutkami chorób i infekcji, które tu zadarzają się bardzo często, zwłaszcza w porze deszczowej. Zagęszczenie w mieszkaniach, brak higieny, zaplecza sanitarnego i osobiste kontakty ułatwiają rozwój chorób zakaźnych i wówczas konieczna jest interwencja medycyny. Lekarstwa zawsze muszą być w wystarczających ilościach.

Matka Julia jest pochylona, na jej pobrużdżonej twarzy znajduje się cała mapa współczesnych Indii. Wszystkie cierpienia, smutki i niepokoje

mieszkańców tego kraju, do którego przybyła w 1920 roku. I chyba już tu zostanie. Najbardziej boli ją świadomość dysproporcji między liczbą tych, którzy potrzebują wsparcia, i tych, którym jej zgromadzenie może udzielić pomocy albo pośpieszyć z ratunkiem w momencie zagrożenia. Tylko wtedy, gdy matka Julia wspomina Włochy, zwłaszcza Lombardię, gdzie się urodziła, jej twarz promienieje radością, ale ta radość podobna jest do zachodzącego słońca. Bo matka Julia ma już dziewięćdziesiąt dwa lata.

Dzisiaj pewna trędowata kobieta przyszła do kliniki *German Leprosy Relief Association* prowadzonej przez protestantów i zapytała: „Dlaczego wy dajecie tylko lekarstwa, a katolicy dają także żywność?" Doktor wyjaśnił: „Jeżeli potrzebujecie czegoś więcej oprócz pomocy lekarskiej, zwróćcie się do katolickiego Zgromadzenia Sióstr Szarytek. One choćby czegoś nie miały, wydobędą to nawet spod ziemi".

Hydrolog z różdżką

Niedziela nie różni się zasadniczo od zwykłego, powszedniego dnia. Ledwie ojciec Marian odejdzie od ołtarza i zdejmie liturgiczne szaty, otaczają go ludzie ze swymi prośbami, problemami, oczekujący pomocy i rady. Chcą też porozmawiać, podzielić się jakąś wiadomością, posłuchać opinii kogoś, do kogo mają pełne zaufanie. Zwłaszcza dzieciaki otaczają ojca Mariana zwartym kołem. O nic nie proszą. Czekają na uśmiech, na życzliwe słowo, na dotknięcie jego ręki. Nie są to tylko katolicy. Wielu z nich to hinduiści, po prostu zwykli mieszkańcy miasta, przyciągnięci magnesem jego dobroci. Sympatycy? Z pewnością. Większość należy do kasty niedotykalnych, a więc do pogardzanych. Wiedzą, że tutaj nie spotka ich najmniejsza zniewaga. Przeciwnie. Przez chwilę będą nawet przekonani, że są pod każdym względem równouprawnieni z innymi.

Ojciec Marian stara się żyć tak jak jego podopieczni. Na przykład: jada bardzo skromnie - to samo, co stanowi pożywienie hinduskiej klasy średniej lub niższej, jeśli można tak określić jadłospis naszego misjonarza. A więc ryż z ostro przyprawionymi jarzynami, czasem jajko, czasem rybę, dużo rzadziej kawałek gotowanej kury. Pije herbatę z mlekiem albo słaby roztwór kawy-mieszanki w proszku: 40 procent naturalnej i 60 procent surogatu, przegryzając najtańszymi herbatnikami. W drodze pożywia się na dworcach albo w przygodnych jadłodajniach przeznaczonych dla

ludzi ubogich. Tam przy jednym stoliku spotyka się z pielgrzymami, z wędrownymi żebrakami, z miejscowymi rzemieślnikami, z szoferami, rolnikami, kupcami. Z każdym potrafi znaleźć temat do rozmowy. Jedzenie przy jednym stole zbliża, obala bariery mimo widocznych różnic, z których najważniejszą jest kolor skóry i przynależność do innego stanu socjalnego. Jego „inność" zaciekawia, natomiast ośmiela szeroka znajomość tego wszystkiego, czym żyją przeciętni obywatele Indii.

W niedzielę 30 listopada 1986 roku, po Mszy świętej w języku *orija*, podszedł do ojca Mariana młody człowiek elegancko ubrany i poprosił, aby - zgodnie z informacją, jaka do niego dotarła przez znajomych - ojciec Marian pomógł jemu i jego rodzinie w wyszukaniu wody na ich polu w wiosce oddalonej od Puri o około dwadzieścia pięć kilometrów. Ojciec Marian zgodził się niezwłocznie, nadał bieg kilku aktualnym sprawom, następnie wziął ze swego pokoju przechowywane z należytym szacunkiem aparaty radiestetyczne, wyprowadził ambulans z garażu, młodego farmera posadził obok siebie w szoferce, zaś mnie i mojej żonie polecił zająć miejsce w środku. W swojej dobroci przypominał mi jeszcze, abym się nie krępował i zawsze poprosił o zatrzymanie wozu po drodze, gdybym zauważył coś godnego sfotografowania. Na stacji benzynowej przy głównej ulicy, zwanej Grand Road, napełniliśmy bak i pojechaliśmy szosą w kierunku Bhubaneszwar.

Przejazd zawsze zatłoczonymi ulicami miasta wymaga wyjątkowej orientacji i niezwykłego refleksu. Jest to nieustanne balansowanie na pograniczu kraksy, zderzenia, otarcia się, potrącenia człowieka lub zwierzęcia, zwłaszcza że ani ludzie, ani pojazdy, ani — oczywiście - zwierzęta nie zachowują żadnych przepisów porządkowych. Nawet obowiązujący w całych Indiach ruch lewostronny nie jest przestrzegany. I nie dlatego, aby ludzie usiłowali go lekceważyć zgodnie z przekorą wrodzoną człowiekowi, ale ponieważ przestrzeganie prawa uniemożliwiałoby w ogóle poruszanie się pojazdów. Każdy kierowca prowadzi swój wehikuł w tym kierunku, w którym zauważa przed sobą bodaj kilkucentymetrową wolną przestrzeń. A resztę powierza Bogu, który powinien dbać o wszystkie stworzenia, zwłaszcza zaś te, które zechciał ukształtować na swój obraz i podobieństwo. Trudności nie ustają nawet po wyrwaniu się z ciasnego uścisku ulicznego tłumu. Na szosach i wiejskich drogach także trzeba bardzo uważać, aby nie potrącić dziecka, dorosłego lub krowy, zwłaszcza zaś tych wszystkich, którzy suszą ryż zajmując połowę, a nierzadko i większą część szerokości jezdni. Niełatwo jest wyminąć inny pojazd, bowiem na poboczu często można spotkać kogoś, kto bez żadnego skrępowania właśnie się załatwia, albo pracującego

garncarza czy koszykarza, albo fryzjera, albo siedzącego w kucki sprzedawcę owoców i orzechów kokosowych, wreszcie dziecko, które ciągnie przyczepione do sznurka kartonowe pudełko lub szpulkę. Co chwilę mijają nas wozy o wielkich kołach, ciężarówki wyładowane grubo powyżej zdrowego rozsądku, autobusy kursowe i wynajęte przez grupy pielgrzymów, zdążających z bagażem swoich grzechów do świątyni Dżagannathy.

- Fascynujące - mówi do mnie ojciec Marian. - Zobacz, Jerzy, jak to wszystko razem żyje, jak każdy znajduje dla siebie miejsce, jak jedni drugim nie przeszkadzają... Czy to nie cudowne?

W rzekach stada bawołów zażywają kąpieli, na brzegach kobiety piorą *sari*, a mężczyźni *dhoti*, uderzając mokrym materiałem o płaski kamień, co przypomina młócenie cepami, archaicznym narzędziem rolnika. Po obu stronach szosy stawy i sadzawki porastają gęsto hiacynty wodne zwane tu *kotiki doto*, a także lotosy i różnego rodzaju szuwary. Na niektórych polach, rozgraniczonych wąziutkimi miedzami, sadzono ryż, na innych ścinano - w klimacie tropikalnym wegetacja trwa nieustannie, bez podziału na pory roku. Wprawdzie panuje tu wieczne lato, ale za to nie ma tego cudu, jakim jest wiosna po zimie czy jesień po lecie, przemiany zieleni w złoto i- purpurę, nie ma też radości z pierwszego śniegu, który zwiastuje rolnikom kilkumiesięczny odpoczynek.

Obok państwowych gospodarstw rolnych - zawsze pod wezwaniem jakiegoś patrona - małe chłopskie chatki z gliny, w każdej wiosce szkoła, czasem przy niej boisko sportowe, no i oczywiście świątynia. Albo całkiem malutka, albo nieco większa, jedna, dwie lub kompleks kaplic poświęconych różnym bogom, bo licho nie śpi i zawsze lepiej się zabezpieczyć, aby potem, gdy coś złego się stanie, nie do siebie mieć pretensje. No i palmy kokosowe! Setki, tysiące, osłaniające pióropuszami liści przed zbyt szybkim dojrzewaniem i wysuszeniem swoje brzemiona: grona orzechów
0 twardych, włóknistych łupinach, które pocięte, rzucone na drogę pod koła przejeżdżających samochodów i traktorów, stanowią surowiec do wyrobu sznurków i powrozów. W ten sposób każdy ma swój udział we wspólnej gospodarce. Palmy zasadzone ręką człowieka odznaczają się większym porządkiem, za to wysiane przez samą naturę - większą fantazją.

Z szosy skręcamy w lewo na zwykłą polną drogę. W pobliskiej wiosce odbywa się jarmark, więc o szybkiej jeździe nie ma mowy. Tłum wozów
1 ludzi tworzy zbitą masę, ruchomą wprawdzie, ale niemożliwą do pokonania. Indyjski tłum zawsze sprawia wrażenie monolitu. Klaksonów lepiej nie używać, bo i tak w panującej wrzawie nikt ich nie usłyszy. Stoimy i czekamy, aż wymanewrują z gigantycznego węzła splątane chłopskie

wozy, zaprzęgnięte w woły i bawoły, furgonetki i ciężarówki. Potem droga staje się węższa, ogarnia nas atmosfera prawdziwie sielskiego spokoju, jaki można znaleźć jedynie z dala od miast i szlaków komunikacyjnych. Mijani ludzie pozdrawiają nas modlitewnym gestem złożonych dłoni. Wreszcie dojeżdżamy do celu naszej podróży. Wioska jak każda inna, domy gliniane, większe i mniejsze, między słupami kokosowych palm i ruchomymi parasolami ich listowia. Niewielka świątynia poświęcona Siwie, zaś w sanktuarium znajduje się jego najważniejszy atrybut: *lingam* ustawiony na *joru*, czyli symbol połączonych męskich i żeńskich części płciowych. Siwa to destruktor, lepiej więc nawet przesadzić w oddawaniu mu czci, niż - broń Boże - czegoś zaniedbać. Prokreacja, nieustanne odradzanie się życia, połączenie ziemskiej materii z duchem boskim, ucieleśnienie wiecznej płodności jest tak bardzo potrzebne, szczególnie na wsi — żywicielce kraju. W cieniu, na ganku świątyni, śpi troje dzieci. Z daleka wyglądają jak równo ucięte kawałki hebanowego drzewa.

Nasze odwiedziny wywołały zainteresowanie. Najpierw dzieci, a potem kobiety wyszły z domów, aby nas powitać. Ojciec Marian nigdy nie był w tej wiosce, chociaż administracyjnie należy ona do jego parafii. Po raz pierwszy widziano tu katolickiego księdza, ale przecież także kapłana Boga. I dlatego oddawano mu szacunek należny kapłanowi: kobiety pochylały się do stóp ojca Mariana, dotykały ich rękami, po czym składały dłonie jak do modlitwy i przykładały je do czoła.

Otoczeni gromadą chłopców i mężczyzn udajemy się na pole, mijając zagony ryżu, kukurydzy i trzciny cukrowej. Pod wielkim rozłożystym drzewem - mała kapliczka, a właściwie miejsce święte. Pomalowany na czerwono mały kamień między wystającymi z ziemi korzeniami. Na zaoranym zagonie ojciec Marian otworzył swoją pocerowaną, plastikową torbę i wyjął z niej dwie różdżki - mniejszą i większą- oraz swoje ukochane wahadełko. Tak uzbrojony, w skupieniu przystąpił do badania gruntu. Kroczył powoli, ale zdecydowanie w różnych kierunkach, zaś oczy wszystkich obecnych w absolutnej ciszy, należnej magicznym zabiegom, obserwowały ruchy, jakie wykonywały czarodziejskie instrumenty. Chcąc mieć absolutną pewność, każdy przemierzony odcinek sprawdzał trzykrotnie, każąc gospodarzowi, który go tu sprowadził, znaczyć nogą granice odcinków. Najważniejszym momentem było nie tylko wyznaczenie kierunku podziemnej żyły wodnej, ale też określenie, skąd i dokąd płynęła. Na koniec ojciec Marian ustalił najkorzystniejsze miejsce do wydrążenia studni. Gospodarz był zachwycony. Woda płynęła bowiem dokładnie tam, gdzie była najpotrzebniejsza.

Ten ostatni dzień listopada był tak upalny, że ręce kleiły mi się do fute-

rału aparatu. Jeden z uczestników seansu wspiął się na pobliską palmę i strącił kilka orzechów kokosowych. Maczetą wydobył z łupin orzechy, a szpikulcem wywiercił w nich po dwa otwory. Mieliśmy więc czym ugasić pragnienie.

Po poszukiwaniach, a właściwie po znalezieniu wody farmer zaprosił nas do swojego domu. Była to prawdziwie rodzinna zagroda: obszerna, czysta i zadbana. Na podwórzu wewnętrznym, czymś w rodzaju *patio* - szopa na narzędzia gospodarskie, magazyn i osłonięte miejsce ustępowe, udekorowane kwitnącymi pnączami. W jednym z pokoi telewizor, co na wsi indyjskiej jest jeszcze wielką rzadkością i w widoczny sposób świadczy o zamożności właściciela. Nasza obecność była bardziej atrakcyjna dla dzieci i dorosłych niż transmisja z aktualnie rozgrywanego meczu krokieta między Indiami i Wyspami Karaibskimi, zwłaszcza że w tej fazie spotkania Indie przegrywały.

Ojciec Marian już wielokrotnie jako różdżkarz pomagał ludziom w znajdowaniu wody i nigdy się nie pomylił. Jego czarodziejskie umiejętności - bo różdżka ma w sobie coś z czarów - ogromnie wspierają autorytet księdza jako znanego *guru* Kościoła katolickiego, który działa najwidoczniej uzbrojony w szczególne łaski bogów. Jest to atut pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza w Indiach, gdzie zakorzenione od wieków i do dzisiaj powszechnie praktykowane są takie gałęzie wiedzy tajemnej, jak astrologia czy magia. Przydaje im znaczenia wiara w moc wszelkiego rodzaju zaklęć, wróżb i przekleństw. Wielu ludzi nosi na sobie amulety chroniące przed urokiem; prym wśród nich wiedzie nie wizerunek Siwy czy Ganesia, ale kuliste i pofałdowane nasiona pewnego gatunku drzewa rosnącego w Nepalu. Przecież nawet oficjalny dzień proklamowania niepodległości Indii został wyznaczony nie przez rację stanu, ale przez zespół wróżbitów i astrologów. Jeszcze dzisiaj wśród różnych szczepów zdarzają się ofiary z ludzi, aby planom czy przedsięwzięciom człowieka zapewnić powodzenie. Bywa, że ktoś kogoś-zabija tylko dlatego, że miał sen albo wyobraził sobie, że bogowie mu to nakazali, ktoś inny zaś, działając zgodnie z przekonaniem, że tylko ofiara z człowieka pomoże usunąć jakieś zło, zabija obcego przybysza, wędrowca, który właśnie odwiedził wioskę, i jego krwią zrasza pole, aby użyźnić ziemię. Zdarza się też samobójstwo popełniane dla zadośćuczynienia żądaniu bogów. Czasem pod pierwszym postawionym filarem nowego mostu wkopuje się zabite dziecko, podobnie jak przed rozpaleniem nowego pieca w cegielni czy zakładzie przemysłowym rzuca się tam najpierw małego trupa. Ofiarowane zabite dzieci umieszcza się też czasem pod fundamentami nowych domów, aby zapewnić szczęście przyszłym użytkownikom. Gazety często donoszą o takich praktykach. Ale winni przestępstwa pozostają najczęściej nieznani. Odpowiedzialna za zbrodnię jest tradycja, wiara, a nie człowiek. No tak: świadomość określa byt. W świątyni Dżagannathy też raz na rok zabija się kozy. Powstał nawet ruch społeczny przeciwstawiający się temu zwyczajowi, ale w Indiach ciągle jeszcze rytuał okazuje się mocniejszy od głosu sumienia czy rozsądku. Ojciec Marian, gdy tylko jest okazja, tłumaczy, że ofiary krwawe, a już zwłaszcza z ludzi, są niepotrzebne wobec tego, że Chrystus ofiarował się za wszystkich, także za Hindusów, i ten argument, poparty szczególnym komentarzem, trafia wielu słuchaczom do przekonania.

Gdy po pewnym czasie woda rzeczywiście tryśnie w miejscu wskazanym przez ojca Mariana, wszyscy mieszkańcy wsi będą go tytułowali „ojcem" i uznają za wysokiego rangą *guru.*

Wynajdywanie wody przez ojca Mariana weszło nie tylko do historii misji katolickiej w Puri, ale - co chyba ważniejsze, bo bardziej wiarygodne - do anegdoty. Gdy jeden z domów Matki Teresy zainstalował się w miejscowości Dżanla koło Bhubaneszwar, aby mógł tam powstać szpital dla trędowatych, trzeba było wykopać studnię. Sprowadzono więc inżyniera hydrologa. Kopano, gdzie on wskazał, i nie znaleziono wody. Poproszono więc ojca Mariana i on wyszukał właściwe miejsce. Różnica wynosiła tylko trzy metry, ale tam istotnie była woda. I studnia zbudowana w tym miejscu pracuje do dzisiaj bez przerwy. Nawet w porze suchej. Piłem z niej wodę — była znakomita.

Wracając mijamy szczególne miejsce na tak zwanej „świętej drodze", prowadzącej z Bhubaneszwar do Puri, a wytyczonej wieleset lat temu z rozkazu ówczesnej władczyni królestwa, Indore, dla pielgrzymów udających się do świątyni Dżagannathy. Z tego miejsca ponad pióropuszami palm i zielenią pól ryżowych po raz pierwszy widzi się *sikharę* Białej Pagody. Właśnie tam bramini zbudowali świątynię poświęconą bogini Lakszmi, żonie Wisznu, słynącej z dobroci i piękności. Ojciec Marian, mijając to sanktuarium z wielkim, wymalowanym obrazem bogini na froncie, zawsze odmawia jedno *Zdrowaś Maryjo.* Dzisiaj słowa *Pozdrowienia anielskiego* zabrzmiały na trzy głosy: ojca Mariana, mojej żony i mój.

Fundusze ojca Mariana

Za szukanie wody ojciec Marian otrzymał zapłatę. Nie pamiętam ile, ale jego mina świadczyła, że jest zadowolony. „Będzie dla biednych" - powiedział chowając pieniędze.

Bo przecież te pieniądze dla najbardziej potrzebujących doraźnej pomocy musi ojciec Marian skądś brać. Gdzie jak gdzie, ale w Indiach z pewnością pieniądze nie leżą na ulicy. Na trasie wynoszącej dziewiętnaście tysięcy kilometrów nie podniosłem z ziemi najdrobniejszej nawet monety. Tu trzymanie'pieniędzy w dłoni wywołuje mistyczne uczucia. Resztę wydaje się bardzo powoli i z widoczną niechęcią. Nawet w banku czy na poczcie urzędnik wypłacający pieniądze sprawia wrażenie, jakby z powodu tej czynności cierpiał. Żaden sklep, żaden handlarz czy wędrowny kramarz nie przyjmuje banknotu, nawet najmniejszego, jeśli jest bodaj odrobinę naddarty lub ma zaokrąglony rożek. Przed świątyniami na handlu pieniędzmi można nawet nieźle zarobić rozmieniając banknoty jedno- dwu- i pięciorupiowe na bilon. Proceder jest prosty: w świątyni trzeba wszędzie dawać ofiary, przy tym liczy się gest, a nie suma. Według pielgrzymów, oczywiście, bo kapłani oceniają tę praktykę akurat odwrotnie. Najlepiej więc mieć jak najwięcej monet pięciopaisowych. Handlarze pieniędzmi, także trędowaci, mają przed sobą drobniaki zarówno w stosach, jak też ustawione w słupki. Rozmieniając banknot jednorupiowy handlarz daje za niego osiemdziesiąt paisów. W monetach pięciopaisowych. W ten sposób na jednej rupii zarabia dwadzieścia paisów. Jeżeli natomiast tę samą rupię - w banknocie lub monecie - klient zamienia na monety dziesięciopaisowe, otrzymuje w zamian dziewięć monet. Czysty zysk kupca wynosi dziesięć paisów. Obrót jest kolosalny, wielu ludzi utrzymuje z tego procederu nie tylko siebie, ale i rodziny, a także kształci dzieci i to w szkołach średnich, a nawet wyższych. W Indiach handel dawno przestał należeć do kategorii „interesu", a stał się rodzajem sztuki, gdyż zależy bardziej od inwencji twórczej niż od zwykłej, przyziemnej i pospolitej kalkulacji. Władze mogą zabronić handlu pieniędzmi, ale nie zrobią tego, bowiem trudniej jest zwalczyć oszustwo tajne niż jawne. Zresztą nikt zwalczać go nie zamierza, bo zubożyłoby to dochody świątyni, zaś skutki tego trudno byłoby przewidzieć. Władze w Indiach dobrze wiedzą, że czasem lepiej udawać, że się czegoś nie widzi.

Skoro ojciec Marian nie handluje pieniędzmi przed świątynią, skąd czerpie fundusze na pomoc dla najbiedniejszych? No właśnie: skąd?

Mam zwyczaj odklejania z otrzymanych listów - krajowych i zagranicznych - co ładniejszych znaczków. Bo zawsze komuś mogą się przydać. Zwłaszcza chłopcom w wieku szkolnym. Przez rok, dwa, trzy uzbiera się tych znaczków niemało. Pakując plecak przed drugą wyprawą do Indii, w ostatniej chwili przypomniałem sobie o tych znaczkach i zawiozłem je do Puri. Dałem ojcu Marianowi prosząc, aby je rozdał tym dzieciom z kolonii trędowatych, które, być może, interesują się filatelistyką.

Ale ojciec Marian schował znaczki do szuflady biurka i powiedział: - Ja je sprzedam. - Sprzeda ojciec? - ośmieliłem się wyrazić zdziwienie. - Tak, sprzedam - odrzekł stanowczo ojciec Marian - i tych parę rupii będę miał dla biednych.

Biedni. Słowo-cierń. W tym kraju, choćby turysta z dalekiego świata usiłował zachować jak największą ostrożność, nie uniknie skaleczenia tym cierniem. Poznałem wiele obszarów na kuli ziemskiej, ale na żadnym z nich jego ukłucie nie jest tak bolesne jak właśnie w Indiach. Nie ma oficjalnych statystyk, a jeśli nawet są, to nie dla publicznej wiadomości. Pewien wysoko postawiony Hindus powiedział mi, że w jego kraju ponad sto milionów ludzi żyje za jedną rupię dziennie. Jest także bardzo wielu, którzy nie mają nawet tego. Niczego nie mają. Niczego. A jednak żyją. Bez osobistego, i to dłuższego, kontaktu z Indiami nie jest się w stanie tego zrozumieć.

Cierń słowa „biedni" rani mnie w okolicy serca. Muszę więc zatrzymać się na chwilę, aby założyć bodaj prowizoryczny opatrunek. W tym przypadku może to być jedynie zwykłe, ludzkie poczucie solidarności, wspólny los, który wszystkich ludzi, w mniejszym lub większym stopniu, skazuje na cierpienie.

W czasie pierwszego pobytu w Indiach ten kraj fascynuje, szokuje, wyzwala uczucie podziwu, zachwyca... Wszystko, na co się patrzy, jest egzotyką, folklorem, barwnym korowodem historii i współczesności, czymś w rodzaju przedstawienia w żywym muzeum, a więc czymś, co wciąga, intryguje, zaciekawia i niepokoi, pobudza do myślenia i wyzwala refleksje. Za drugim razem - los ludzi przestaje być turystyczną atrakcją, bo ich cierpienia stają się również moimi. Właśnie - aby te cierpienia odczuć w sobie, warto jest pojechać do Indii po raz drugi. Ponieważ własny los widzi się z całą wyrazistością dopiero wówczas, gdy się go porówna z losem innych ludzi.

„Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon. Bije on tobie" - napisał poeta angielski John Donnę, rówieśnik Szekspira. Te słowa to jedyny opatrunek, jaki mogę zastosować, aby znieczulić swój ból.

Ojciec Marian także poszukuje codziennie „opatrunków". Ale nie dla siebie. Dla tych, którzy obok niego cierpią. Często powtarza: „To sprzedam, na tym zarobię, w ten sposób zyskam trochę rupii i zawsze jakiś biedaczyna się pożywi". Nie denerwują go przyczyny choroby — on szuka na nią lekarstwa. Przynajmniej takiego, które chwilowo łagodzi ból.

Na przykład sprzedaje parafialne kokosy. Żniwa trwają cały rok. W zależności od koniunktury, gatunku i wielkości owoców ich cena waha

się od 1,20 do 1,50 rupii za sztukę. Pewnego dnia ładujemy cały ambulans i wieziemy do hurtownika. Jedna palma może dać nawet sto rupii rocznie. Rachunek jest prosty: przy kościele rośnie około czterdziestu palm, w kolonii trędowatych ponad dwieście. I tak powstaje fundusz awaryjny, potrzebny dla najbiedniejszych w razie nagłych wypadków i sytuacji, które należy przewidzieć. Zaplanować je tak, jak w dobrym przedsiębiorstwie kalkuluje się straty.

Aby wzmocnić fundusz dla biednych, ojciec Marian założył fermę kur w pobliżu kolonii trędowatych. Od zamożniejszych pacjentów pobiera opłaty za leczenie ambulatoryjne i lekarstwa, nawet za porady techniczne - a zna się na wszystkim.

Doraźna pomoc jest ważna, ale stokroć ważniejsze jest myślenie perspektywiczne, przyszłościowe ojca Mariana. Zadowolenie z tego, co już zostało osiągnięte, nie przysłania jego programu: możliwie maksymalne rozwinięcie misji i poszerzenie jej działalności. Ostatnio ojciec Marian postanowił zrobić coś, czego jeszcze nie było: założyć stały gabinet dentystyczny, najpierw dla dzieci ze szkoły Beatrix, a potem objąć opieką stomatologiczną wszystkich mieszkańców kolonii trędowatych. Jadąc do Indii zabraliśmy dla ojca Mariana list od pana Włodzisława Jacka Raddy, lekarza stomatologa z Żywca, który w porozumieniu z księżmi werbistami z Bytomia oraz z kilkoma kolegami po fachu postanowił pomóc ojcu Marianowi w realizacji tego zamiaru. Gabinet wyposażą sami, proszą tylko ojca Mariana, aby zrobił chemiczną analizę wody - najważniejszy jest wskaźnik zawartości fluoru, i kupił w jakimś zachodnim kraju masę wypełniającą do plomb. Jedyna trudność to bezbolesna wiertarka - turbinka produkcji czeskiej lub szwajcarskiej, bo tego w Polsce kupić nie można. I oto, w jaki sposób ojciec Marian konkretyzuje swoje zamierzenia: Francuzi, wyjeżdżając z Puri, z wdzięczności za opiekę okazaną zmarłej córce i siostrze oraz za sprawienie jej pogrzebu i zajęcie się grobem, obiecali załatwić dla przyszłego gabinetu dentystycznego przy szkole tę konieczną i upragnioną wiertarkę. Zaś z inicjatywy pana Raddy z Żywca, polscy lekarze dentyści będą na własny koszt przyjeżdżali do Puri, aby przez dwa - trzy miesiące leczyć zęby dzieciom z rodzin trędowatych. Można to - używając języka urzędowego — nazwać rotacją. Ja nazywam to łańcuchem dobroci. Choć ogniw w tym łańcuchu jest bardzo wiele, powiem tylko o kilku.

Otóż po pierwszym naszym pobycie w Puri, w listopadzie 1984 roku, „Tygodnik Powszechny” zamieścił mój artykuł pt. *Na szlakach miłosierdzia*. W jakiś czas po jego ukazaniu się odwiedziła mnie pewna starsza pani z Bielska-Białej i powiedziała: - Proszę Pana, przeczytałam pana artykuł.

Jestem już bardzo stara i chcę cały swój majątek zapisać w spadku ojcu Marianowi i jego misji. Proszę mi powiedzieć, jak mam to zrobić? — Poradziłem, by przede wszystkim zasięgnęła opinii adwokata.

Niesamowite! W samolocie lecącym do Indii spotkaliśmy tego samego Niemca, ewangelika, malarza z Berlina Zachodniego, którego przed dwoma laty poznaliśmy w Puri i który przekazał ojcu Marianowi tysiąc dolarów, uzyskanych ze sprzedaży swoich akwareli.

A oto kolejne ogniwa łańcucha:

William, młody Anglik po medycynie, energiczny, ale opanowany, w rozmowie nie uzewnętrzniający swoich uczuć zgodnie z towarzyskimi obyczajami obywateli Wielkiej Brytanii, pragnie być dobrym lekarzem. Do Puri trafił przypadkowo i przypadek zetknął go z ojcem Marianem. Religijnie indyferentny. Nie wie, czy jest Bóg. Postanowił czegoś się nauczyć. Ojciec Marian skontaktował go z miejscowym szpitalem. Wrócił stamtąd wstrząśnięty i przerażony. - Wyobraź sobie - mówi do mnie, a głos mu się łamał - tam lekarze pracują od dziewiątej do dziesiątej i od drugiej do trzeciej. Pielęgniarek nie ma, może zresztą są, tylko że ja ich nie zauważyłem. Chorzy leżą pokotem po kilkunastu, po kilkudziesięciu na jednej sali, bez żadnego dozoru i bez opieki. W stosunkach z lekarzami panuje łapownictwo, które preferuje bogatszych, a biedniejszych spycha na daleki koniec. Lekarstw brakuje, a najbardziej brakuje współczucia i miłosierdzia. Hindusi są nadzwyczaj, niewyobrażalnie cierpliwi. Ale biedni nie mają tam najmniejszych szans przeżycia.

Żyd - Australijczyk. Zna jedno polskie wyrażenie: „dzień dobry”. Jego dziadek urodził się na Wołyniu, w jakimś małym miasteczku, zaś babka pochodzi z Litwy. Rodzice przeżyli w Europie koszmar II wojny światowej. Wyjechali. Byle jak najdalej. Do Australii. Tam się poznali. On sam uważa, że skoro już przyjechał do Indii, powinien dzięki tej podróży rozszerzyć swoją wiedzę o świecie. Poprzez kontakt z misją katolicką miał możność poznać problemy dotyczące zwalczania zarówno trądu, jak i innych chorób społecznych. Być może, jeden z tych problemów wybierze jako temat swojej pracy dyplomowej. Raczej bacznie obserwuje działalność ojca Mariana, niż prowokuje go do rozmowy.

Harald, Niemiec, lat dwadzieścia dwa, z Bonn, po trzecim roku medycyny przyjechał do Indii, aby przez kilka miesięcy jako wolontariusz praktykować w tutejszym szpitalu, zwłaszcza zaś w leprozorium, i zdobyć konieczną wiedzę fachową, dotyczącą leczenia chorób tropikalnych. Jego instynkt medyczny ma w sobie coś apostolskiego. Harald ma ponad dwa metry wzrostu, co przy na ogół niewysokich Hindusach stwarza mu wyjątkowo dogodną pozycję spoglądania na wszystkich „z góry”. Ale on

tego przywileju nie wykorzystuje: jest bardzo skromny, nawet nieśmiały, w rozmowie przyjacielski. Nie ma kompleksu winy za drugą wojnę światową. To było już tak dawno... Natura wyposażyła go w niełatwe do dźwigania cechy charakteru: dobroć i zapał, a to powoduje poważne konsekwencje. Po przyjeździe do Indii doznał szoku. Znalazł się po raz pierwszy w tym kraju i mimo że zebrał o nim sporo informacji, rzeczywistość — jak zawsze - przerosła jego wyobrażenie. Być może, po kilku tygodniach pobytu w Puri pojedzie do szpitala dla trędowatych gdzieś koło Madras, aby - jak mówi - „własnymi rękami" zacząć pracować, a nie tylko patrzeć, jak inni pracują. Jest katolikiem, ale niezależnie od swojej wiary pragnie zgodnie z rotą przysięgi Hipokratesa swoją wiedzę i zaangażowanie ofiarować tym, którzy są najbardziej opuszczeni i zepchnięci poza nawias społeczeństwa albo z winy tradycji religijnej, albo przez skorumpowaną machinę biurokratyczną lub też przez zwykłą ludzką nieczułość, egoizm i wstręt fizyczny. Harald ma być w RFN w końcu marca, bo w kwietniu zaczyna się semestr, bardzo ważny dla toku jego studiów. Dobrze przygotował się do „misyjnej pracy" lekarza-Europejczyka w Indiach. Mówi biegle po angielsku, a także trochę po francusku. Ma ochotę odwiedzić Polskę, bo dużo dobrego słyszał o naszym kraju i o ludziach, o tym przede wszystkim, że jesteśmy odważni, przywiązani do rodzinnej ziemi i gościnni. Chciałby przekonać się osobiście, jaka jest prawda. Rozumiem go i życzę mu powodzenia. Z pewnością zdąży. Jest taki młody. Nie zepsuł go ani dobrobyt jego kraju, ani „techniczne rozwydrzenie", ani „europocentryzm". Nie ma też w sobie niczego, co można by nazwać z polska „germańskością". Duszę ma jasną, a spojrzenie pełne ufności. Oby zachował te cechy możliwie jak najdłużej.

Twarze ludzi można odnaleźć także w listach. Jest ich bardzo wiele. Wybieram kilka z „łańcucha dobroci":

Warszawa, dnia 29.01.1986

...dziękujemy również za pokwitowanie paczuszek. Widzę z tego, że wszystkie dochodzą. Ale od Nowego Roku będziemy paczuszki numerować. Te, które idą na adres Ojca. Tak będzie lepiej. Ojciec będzie wiedział, czy numeracja się zgadza. Nasza grupka składa się z czterech osób, a są to: Janina Rybicka, Halina Kozerowa, Miecio i ja. Każde z tych nazwisk oznacza, że to paczka od nas. Zresztą będzie numeracja, a i tak nasze paczki łatwo poznać, chociażby po nazwiskach. W tym roku kalendarzowym poszło stąd 5 paczuszek, więc następna będzie miała numer 6. Poszła też dziesięciokilogramowa paczka z odzieżą i obuwiem, ale na adres *Sisters of Charity*...

Warszawa, 01.12.1985

Na wstępie najlepsze życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia Pańskiego. Spotykamy się wszyscy przy żłóbku Bożej Dzieciny. Prosimy ją o wiele łask dla drogiego nam Ojca Mariana, aby Bóg błogosławił każdy jego krok, dał wzrastać jego dziełu, dał wiele uśmiechów, radości wewnętrznej, wiele miłości ludzkich serc, co się na pewno już ziściło, bo ci biedacy, którym Ojciec pomaga, na pewno Go kochają, a i ci, którzy Ojca znają w Polsce i na całym świecie, wiele uczuć miłości i podziwu ślą do Niego...

Puri, 24 July 1984

Potwierdzenie odbioru pomocy finansowej dla kolonii trędowatych w Puri.

Niniejszym potwierdzam, że Pani Profesor Teresa Rutkowska złożyła dla naszej kolonii trędowatych w Puri, Orisa, Indie, niżej wymienione ofiary:

1) 13500 - trzynaście tysięcy pięćset - belgijskich franków w październiku 1982, i
2) 300 - trzysta - dolarów USA w maju 1983.

Jestem szczególnie wdzięczny Pani Profesor Rutkowskiej za te pieniężne dary, bo zdaję sobie sprawę, że są one częścią Jej osobistego honorarium w związku z jej koncertami. Proszę przyjąć to skromne podziękowanie ode mnie i od „naszych" trędowatych przyjaciół...

Puri, dnia 3. 06. 1984

Po powrocie do Puri nie czułem się najlepiej. Tak się widzi, że starego drzewa nie trzeba mocno przesuwać. Lekarstwo na serce przyjmowałem przez pewien czas *(curantyl).* Obecnie biorę je, gdy czuję się gorzej. Oczy mi nieco dokuczają. Są dni, kiedy trudno do oczu wstawić soczewki kontaktowe. Dzieje się to wtedy, kiedy po obudzeniu się nie mogę znieść światła. Razi mnie do tego stopnia, że muszę zaciemniać pokój. Przekonałem się, że ta nadzwyczajna wrażliwość oczu ma wiele do czynienia z przemęczeniem... również z tropikalnym słońcem obecnych dni i podróżą w słonecznym skwarze. Wszystko się zmieni, bo przychodzi pora deszczowa. Według zapowiedzi monsun tego

roku zacznie się już 8 czerwca. A woda jest bardzo potrzebna dla pól, dla ludzi i dla zwierząt. Epidemia dyzenterii szerzy się wokół. Picie byle jakiej wody na pewno jest za to odpowiedzialne... Chcę się podzielić radosną wiadomością, że wasze listy i paczuszki z Warszawy nadchodzą. Dnia 21.3.86 przyszły dwie paczuszki, 28.3 jedna paczka, 30.4. trzy paczuszki i 31.5.86 dwie paczuszki z lekarstwami. Bóg wam zapłać... Dnia 9 maja budowa nowego kościoła w Puri zaczęła się oficjalnie. W tym tygodniu zostaną założone fundamenty. Wysoki krzyż, dominujący nad całą strukturą mającą przypominać namiot Pański na wielkiej pustyni niechrześcijaństwa. Kościół będzie miał urządzenie na dzwon 500 kilogramowy, który spodziewam się dostać z Polski - ażeby niósł Dobrą Nowinę na całe miasto. W kolonii trędowatych wszystko nowe i wszystko stare. Przy kolonii budujemy centrum intensywnej troski o dzieci, specjalnie dzieci trędowatych. W tym miesiącu ukończymy budowę. W programie jest, że dzieci z rodzin trędowatych będą przychodzić do ośrodka rano; będziemy się starali dobrze je odżywiać, dać im opiekę lekarską i atmosferę rodzinną.... Modlę się zja was i proszę o modlitwę...

Warszawa, dn. 25 października 1983

...W ubiegłym tygodniu wpłaciłam na Ostrobramskiej 10 000 zł jako cegiełkę do nowo budującego się kościoła w Puri. Jest to ofiara od warszawskiego KiK-u. Wyobrażam sobie, jak cieszyli się Ojca podopieczni - trędowaci, że już mają Go u siebie z powrotem, że znów są otoczeni dobrocią i opieką Ojca. Tak, proszę Ojca, kiedyś, gdy po wielu, wielu latach będzie ojciec pukał do bram Nieba, trzeba będzie te bramy bardzo szeroko otworzyć, by zmieścił się ten wielki bagaż zasług, dobroci, serdeczności, którymi Ojciec tak hojnie bliźnich obdarza, i to tych najbiedniejszych, najbardziej potrzebujących miłości i pomocy. Nasza KIK-owska gromadka modli się za Ojca nie tylko w czasie Tygodnia Misyjnego, ale codziennie, przez cały rok...

Święty Antoni Padewski jeszcze raz udowodnił, co potrafi, i ojciec Marian stosunkowo prędko odszukał gruby skoroszyt zawierający korespondencję. Listy adresowane do *Catholic Church* w Puri (Orisa, Indie) przychodzą z wielu krajów świata. Od młodych Australijczyków,

na przykład. Piszą, że mimo krótkiego pobytu w Puri nigdy nie zapomną o wielkim dziele ojca Mariana i o wrażeniu, jakie na nich wywarło. Jakiś Amerykanin w średnim wieku przyznaje, że krótki kontakt z ojcem spowodował przemianę w jego życiu, że zaczął myśleć i postępować inaczej niż dotychczas. Z kolei Niemiec pisze, że po poznaniu ojca Mariana i po rozmowie z nim stara się walczyć z wrodzonym cynizmem i zupełnie nieuzasadnionym poczuciem wyższości. A oto list od młodego Polaka. Dowiedział się o misji i pracy ojca Mariana z jakiegoś artykułu. Wybierając się właśnie na trzymiesięczną wędrówkę po Indiach i Nepalu, postanowił kilka dni spędzić w Puri, aby pomóc w czymkolwiek. Zrobi z radością wszystko, co mu Ojciec poleci, może sprzątać, pomóc w transporcie, uporządkować ogród, coś naprawić. Kończy studia medyczne, więc mógłby się przydać, na przykład, w przychodni. Inna młoda Polka, widząc film w telewizji, postanowiła modlić się za ojca Mariana i zmobilizować krąg najbliższych przyjaciół, aby wszyscy wspólnie zrobili coś na rzecz trędowatych, podopiecznych Ojca. Ktoś inny znów donosi z Brazylii o wielkim wstrząsie, jakiego doznał w Puri widząc starania ojca Mariana, i o odnowie życia z samolubnego, egoistycznego na bardziej zaangażowane, bo i w Brazylii jest tyle do zrobienia, są też ludzie chorzy, samotni, niekochani, kalecy, których nikt nie chce i którzy oczekują pomocy, choćby moralnej, duchowej...

To tylko kilka przykładów z listów o charakterze prywatnym. Wiele z nich to nie tylko wyznania, refleksje czy wnioski; to nieomal sakrament pokuty.

A oto ogólny schemat korespondencji, jaką w dniu powszednim otrzymuje parafia rzymskokatolicka w Puri:

- pisma urzędowe;
- listy od osób prywatnych;
- kartki od młodych ludzi z prośbą o przysłanie broszur o Panu Jezusie;
- pisma do ośrodka walki z trądem;
- pisma do Komitetu Opieki nad Matką i Dzieckiem;
- paczki: mniejsze, średnie i duże. Także z książkami do biblioteki Centrum Poszukiwania Prawdy;
- gazety codzienne, periodyki literackie i religijne z wielu krajów świata;
- listy prywatne, zawierające prośby o wsparcie materialne i moralne;
- zaproszenia na różnego rodzaju konferencje i narady w sprawach dotyczących mieszkańców Puri i województwa;
- listy z podziękowaniami za otrzymaną pomoc i wyrażające szacunek;
- różnego rodzaju rachunki, dokumenty i rozliczenia.

Na wiele z tych przesyłek trzeba odpowiadać. Stale uzupełniać wykazy rachunkowe. Wciągać do rejestru. Zastanawiać się nad odpowiedzią. Decydować. Obliczać. Podejmować ryzyko. I nieustannie sprawdzać kalendarz. A przecież doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny...

Problemy z czasem. Chrześcijaństwo i hinduizm

Podobnie jak w przypadku korespondencji, także sprawy, między którymi ojciec Marian wykonuje nieustanny slalom, można podzielić na pewne kategorie:

- natychmiastowe, nie cierpiące zwłoki;
- te, które mogą zaczekać;
—te, które wymagają przemyślenia oraz
—te, które związane są z przyszłością.

Właśnie czas należy do problemów, z którymi ojciec Marian ma najwięcej kłopotu. Wie, że tylko Pan Bóg może go zatrzymać. Dlatego żyje w nieustannym pośpiechu. Nawet usiłuje przegonić czas, a przynajmniej zapanować nad nim. Takie chwilami miałem wrażenie, obserwując z bliska ojca Mariana. Przy tym ma on świadomość, że Hindusi nie lubią tych, którzy się śpieszą, i patrzą na nich z wielką podejrzliwością. Zycie w Indiach uczy, że czasem drobnej sprawie należy poświęcić więcej uwagi i troski niż poważnej.

Ojciec Marian codziennie coś otrzymuje i stara się możliwie natychmiast przekazać to na właściwe miejsce. Są to jakieś narzędzia, części zamienne do maszyn, fragmenty konstrukcji. Nie mówiąc już o piłkach do gry dla chłopców lub skakankach dla dziewczynek ze szkoły Beatrix. Sposób używania piłek lub skakanek nie wymaga objaśniania. Gorzej jest z urządzeniami technicznymi. Ale ojciec Marian zna się i na tym, wie nie tylko, do czego dana część służy, ale wie też, jak należy ją wmontować i sprawdzić, czy działa. Wiedzieć a wytłumaczyć komuś, kto nie wie, to są dwa różne zagadnienia. Ale ojciec Marian jest także pedagogiem. Te dwie umiejętności przydają mu się w codziennej praktyce.

Często się zdarza, że ojciec Marian po kilku godzinach zamętu, nieustannego napięcia nerwowego i skupionej uwagi, aby o czymś nie zapomnieć, natrafia nagle na jakieś wątpliwości, których - czuje to - nie jest w stanie natychmiast rozwiązać. Wtedy udziela sobie krótkiego, może półgodzinnego, no, może godzinnego urlopu, aby odpocząć, skupić się,

skoncentrować, by podejmując decyzję nie popełnić omyłki. Umyka wtedy do swojego pokoju przy kościele, zamyka drzwi na klucz i modli się. A modlitwa polega na tym, że zadaje pytania bezpośrednio Panu Jezusowi lub Matce Boskiej. Czasem odpowiedź przychodzi błyskawicznie, gdy tylko ojciec Marian zamknie oczy, ale częściej zdarza się, że musi trochę poczekać. I właśnie, gdy wyciszając całą otaczającą go hałaśliwość i natręctwo ludzi i ich spraw czeka na głos STAMTĄD - jego nasłuchiwanie przerywa pukanie do drzwi. To znak, że ktoś potrzebuje pomocy. I ojciec Marian już nie ma wątpliwości, komu dać pierwszeństwo; wie, że to pukanie jest odpowiedzią, jakiej mu udzielił Chrystus. I prędko otwiera drzwi na spotkanie z Chrystusem.

Wiele godzin spędziłem na rozmowach z ojcem Marianem o tych, którzy przychodzą. Nie po jałmużnę, nie po zapomogę, ale dlatego, że odczuwają brak czegoś ważnego. I chociaż najczęściej nie potrafią wytłumaczyć, czego im brakuje, tego właśnie pragną. Pragną tego, czego nie potrafią nazwać. Trudno powiedzieć, ilu jest ich w Indiach, ale z pewnością stanowią liczną grupę. Coraz liczniejszą.

— Oni szukają Boga — mówi ojciec Marian.

Któregoś dnia powiedział do mnie: — Jeśli kiedyś ktoś kogoś tutaj ochrzci, to równocześnie całe Puri.

Kiedy? Nie wiadomo. Kto będzie tym Janem Chrzcicielem? Trudno przewidzieć. Wiemy tylko to, co się już stało. I znamy wiarę ojca Mariana. „Nawet zwykła kałuża może mieć właściwości uzdrawiające, jeśli odbije się w niej oblicze prawdziwej wiary" - napisał Archibald Cronin w *Kluczach królestwa.*

Chrystus rzeczywiście chodzi po Indiach i nawiązuje rozmowy z coraz liczniejszym gronem ludzi.

W domu naszych zaprzyjaźnionych sikhów wisi niewielki krzyż z wizerunkiem Ukrzyżowanego. - Ten krzyż - wyjaśnia nam gospodarz - dostałem w prezencie od pewnego Polaka, przyjaciela. Podziwiam Jezusa za Jego odwagę i heroizm. Szanuję go i kocham. Czyż nie zasługuje na miłość ktoś, kto oddaje swoje życie za innych ludzi?

I jeszcze jeden przykład:

Było to dnia 17 listopada 1984 roku, podczas naszej pierwszej podróży przez Indie, w miasteczku Cuddalore, na drodze między Pondiczery i Czidambaram. Jadąc autobusem ujrzeliśmy nagle młodego Hindusa, który skulony, na asfalcie szosy, malował kolorową kredą wielką twarz Chrystusa w cierniowej koronie. Wrażenie było tym silniejsze, że miejsce, które wybrał malarz, było wąskie, na niewielkim zakręcie przy moście, do tego okropnie zatłoczone wszelkiego rodzaju pojazdami. Jadąc tą samą

trasą w dwa lata później, zajęliśmy miejsca w autobusie po lewej stronie, aby sprawdzić, czy utrwalony w naszej pamięci obraz - chociaż wiedzieliśmy, że to niemożliwe-jeszcze się tam znajduje. I co się okazało?
W tym samym miejscu, ten sam zarośnięty Hindus w przepasce na biodrach malował znowu Chrystusa, ale tym razem Ukrzyżowanego. Nie mogłem zatrzymać autobusu, ale brak tego zdjęcia będę dotkliwie odczuwał do końca życia. Oddałbym wiele swoich slajdów, aby mieć ten jeden.

Wiem: być może jest to wyjątkowy przypadek, zbieg okoliczności, że właśnie tam, na południu Indii, w miejscu najmniej nadającym się do demonstracji uczuć religijnych znalazło się coś takiego, ale samo zdarzenie świadczy o jakiejś postawie czy propozycji. W każdym razie zastanawia. W tym rejonie Indii, gdzie turysta z Europy jest wielką rzadkością, w pobliżu świętych ośrodków hinduizmu, taki obraz urasta do rangi więcej niż symbolu i jest specyficznym *signum temporis.*

Wróćmy do Puri, do kancelarii ojca Mariana. Na biurku leży stos kartek pocztowych. Na każdej z nich ten sam adres: *Catholic Clourch*, Puri, 752001, Orisa. Czytam kilka pierwszych:

„Moim pragnieniem jest, co powoduje ten list, ja chcę wiedzieć coś o Panu Jezusie-Chrystusie. Dlatego przyślijcie mi jakąś księżeczkę o Panu Jezusie. Będę szczerze wdzięczny.

Ramesh Ch. Babu".

„Mam lat 18. Jestem uczniem college'u. Pragnę bardzo mieć książkę o Panu Jezusie. Dlatego proszę was bardzo, jeśli możecie, przyślijcie mi jakąś książeczkę o Panu Jezusie. Jestem pewny, że skorzystam bardzo wiele.

Ku. M. Samir Sadekar"

„Bóg jest dobry. Posyłam serdeczne pozdrowienia dla was. Po raz pierwszy posyłam list do Towarzystwa Poszukiwania Prawdy. Ja i moi koledzy z Orisy chcemy coś więcej wiedzieć o Jezusie i Kościele katolickim. Dlatego prosimy bardzo, wyślijcie możliwie szybko na podany adres jakąś małą książkę. Będę bardzo wdzięczny.

Doloram Nayak".

„Ja każdego miesiąca otrzymywałam numer pisma o Panu Jezusie, ale nie tego miesiąca. Dlatego bardzo proszę o przysłanie mi brakującego numeru.

Rashmi Rekha Mishra".

Oprócz wielu próśb o ułatwienie kontaktu z Jezusem ojciec Marian otrzymuje od czasu do czasu propozycję przyjęcia kogoś w poczet członków Kościoła katolickiego. W takich wypadkach jego kapłańska czujność nakazuje wyjątkową ostrożność. Dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że nie wymyślono jeszcze aparatu do prześwietlania ludzkiego sumienia. Aby mieć pewność, że petentem nie kieruje interesowność, musi się go dobrze znać.

— Katolicyzm to trudna wiara - przypomina ojciec wielokrotnie. — Katolicyzm to dawanie,a niebranie.Musisz dawać, a nie brać, czyj esteś gotów pójść śladem Chrystusa, który sam siebie ofiarował za ludzi? Musisz dawać swoją miłość innym. Katolicyzm dużo wymaga od człowieka. Bardzo dużo.

Sam jest tego przykładem. I wszyscy o tym wiedzą. Wielu dawnych nieufnych obserwatorów poczęło zbliżać się do katolicyzmu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Zdarza się, że nie idą drogą prostą, ale spiralną, ale i wtedy dystans dzielący ich od niego skraca się nieustannie. Bo taki był główny cel ojca Mariana: sprowadzić Pana Jezusa do Puri. Aby tu zamieszkał.

I Jezus rzeczywiście jest w Puri. Jest. W świadomości coraz większej liczby ludzi. Zwłaszcza wykształconych, bardziej otwartych na współczesność. Jego obecność zauważyli nie tylko przedstawiciele władz miejskich, ale nawet kapłani Dżagannathy.

Profesora R. ojciec Marian poznał podczas jakiejś uroczystości państwowej. Czasem tak jest, że obcy sobie ludzie poczują wzajemną sympatię. Potem spotykali się od czasu do czasu i zawsze znajdowali jakiś temat do rozmowy. Pewnego dnia profesor R. powiedział:

— Proszę ojca, ja jestem hinduistą, żyję w zgodzie z moją religią, ale ja wierzę w Chrystusa i uznaję go za swego *guru.* - Potem dodał, że według jego opinii hinduizm jakby skostniał, czas zaczął go wyprzedzać, kiedyś twórczy - przestał proponować, a rytuał zdominował ideologię. - Jakby - uśmiechnął się profesor R. - utracił kontakt z duchem czasu, zamknął radio, wyłączył telewizor, przestał czytać gazety, a nawet zaryglował drzwi swego domu.

Kilka lat temu, dowiedziawszy się, że profesor R. zachorował, ojciec Marian poszedł go odwiedzić. Profesor ucieszył się bardzo z tej wizyty. Poprosił, aby ojciec Marian przysunął się do niego jak najbliżej, gdyż chce mu powiedzieć o czymś bardzo ważnym.

— Po kilkunastu latach działalności naukowej i pedagogicznej - mówił - czułem nagle dookoła siebie coś jakby pustkę, miałem wrażenie, że ta pustka mnie pochłania, wciąga. Chcąc się z niej wydostać, próbowałem

pracować jeszcze intensywniej, zacząłem się udzielać w pracy społecznej, poszerzyłem kontakty z młodzieżą. I nic z tego nie wyszło. Uczucie pustki trwało nadal, osobiste zaangażowanie niczego nie zmieniło w moim życiu. Myślałem nawet o samobójstwie, chociaż dla nas, hinduistów, samobójstwo należy do kategorii najcięższych grzechów. A wie ojciec dlaczego?

- Wiem - powiedział ojciec Marian — bo tylko Bóg ma prawo...

- Nie - wtrącił profesor R. - Ponieważ przerywa drogę oczyszczenia temu komuś, kto urodził się razem ze mną, we mnie, i przy mojej pomocy miał nadzieję na osiągnięcie wyższego poziomu niż ten, który dziedziczył w poprzednim wcieleniu.

- To ciekawe - powiedział ojciec Marian.

- I wtedy, gdy byłem zupełnie załamany - ciągnął dalej profesor R. - pewnego wieczoru odniosłem wrażenie, że w świetle padającym z okna ukazał mi się Pan Jezus. I wyraźnie usłyszałem Jego głos: „Czy ty cierpisz bardziej ode mnie?"

I od tamtej chwili nie miałem spokoju. To znaczy, odzyskałem równowagę, ale te słowa przenikały nieprzerwanie moje myśli, moje zajęcia, moje kontakty z ludźmi. Chciałem koniecznie kupić sobie figurkę Pana Jezusa albo obrazek i zawiesić go obok Siwy i Ganesia, ale jakoś nie mogłem się zdecydować i ciągle to odkładałem. Aż raz byłem na weselu u moich przyjaciół. Po powrocie do domu otworzyłem kuferek, gdzie przechowujemy różne wartościowe przedmioty i dokumenty, i - czy ojciec uwierzy? - na jego dnie leżała figurka Pana Jezusa.

Komentując tę historię ojciec Marian zakończył ją słowami:

- Ten profesor nieraz mówił mi, że Chrystus jakby go przenikał, jakby wchodził do jego serca, czego nigdy nie doświadczył w kontakcie z hinduskimi bogami. Jest to dziwne o tyle, że on nigdy nie miał bliższej styczności z chrześcijaństwem, ale jakoś wewnętrznie pojmował Jezusa. Czuł, że hinduizmowi czegoś brakuje, i podświadomie pragnął zapełnić to puste miejsce.

Niepokoje profesora R. nie należą w Indiach współczesnych do wyjątkowych. Ojciec Marian uważa, że kształtuje się nawet - zwłaszcza wśród ludzi o wyższej świadomości - postawa „bramina-chrześcijanina". Właściwie wielu z nich można śmiało zaliczyć do „chrześcijan poza Kościołem". Z pewnością nie są poganami. Oni — a liczba ich powiększa się z każdym rokiem - jakby wiedzeni instynktem, samorzutnie szukając prawdy, zbliżają się do Chrystusa i ideologii chrześcijańskiej. Podczas wielu publicznych wystąpień Hindusi powołują się na przykład Jezusa, uważając Go albo za jedno z wcieleń boga Wisznu, albo za jednego z proroków Najwyższego Stwórcy. Niektórzy wykształceni Hindusi

mówią o Jezusie z większym przekonaniem i z większą żarliwością, niż można nieraz usłyszeć w kazaniach z ambon kościołów katolickich. Są i tacy teolodzy hinduscy, którzy twierdzą, że Chrystus był kimś więcej niż *guru* - nauczycielem, gdyż - podobnie jak Budda - stworzył własny, fundamentalny i uniwersalny system filozoficzny, który mimo upływu dwóch tysięcy lat nie zatracił swojej aktualności i może być rozpatrywany w kategoriach ponadczasowych.

Rozmawiałem o tym z wieloma Hindusami. Niektórzy wyrażali pogląd, że chrześcijaństwo jest bliższe nawet Prawdy niż buddyzm, ponieważ z jednej strony opiera się na wierze w Boga-Stworzycielą, a z drugiej nie neguje prawa człowieka do posiadania wartości materialnych, ziemskich, a także wywyższa miłość ponad wszystkie inne uczucia związane z egzystencją człowieka.

Z pewnością ludzie wykształceni i przywykli do stawiania sobie pytań, a także ludzie o specjalnej psychice i konstrukcji umysłowej bardziej są skłonni do poszerzania swego poglądu na świat niż ludzie prości, nawet prymitywni, związani atawistycznymi więzami z tradycją religijną, bez której - czują to podświadomie - straciliby jakąś bazę, punkt oparcia, i staliby się podobni do „nieczystych", „niedotykalnych", „odrzuconych" lub trędowatych. Zwłaszcza w opinii otoczenia, z którą — szczególnie w Indiach - wszyscy bardzo się liczą.

Dlatego nie bez obawy i nie bez oporów użyję po raz pierwszy w tym reportażu słowa „nawrócenie".

— Proces czyjegoś nawrócenia - mówi ojciec Marian - to znaczy zmiany wiary, musi być w konsekwencji podobny do głosu powołania, na przykład do stanu kapłańskiego. Decyzji wynikającej z głosu powołania nie można „wyspekulować" czy „wydedukować". Udział w takim powołaniu musi zawierać w sobie „iskrę Bożą". Boży głos jest wezwaniem rzuconym duszy człowieka.

Rozumiem. To tak, jakby zagubiony na bezdrożach wędrowiec ujrzał nagle drogowskaz dający mu szansę ocalenia. Myślę, że takie „wezwanie" musiał przeżyć w swojej młodości Giovanni Bernardone, późniejszy św. Franciszek z Asyżu.

W świecie współczesnym - nie negując bynajmniej możliwości bezpośredniej interwencji Boga - ogromną i decydującą rolę w procesie czyjegoś nawrócenia może odegrać drugi człowiek. Jego bezpośredni przykład, który bardziej reprezentuje czy ucieleśnia ideę, której służy, niż jego samego. I taka jest chyba główna funkcja misjonarza katolickiego w kraju o ogromnej większości niechrześcijańskiej. Pokazać Pana Jezusa z bliska. Zaświadczać Jego naukę i Jego przykazania własnym życiem

i działalnością. Przecież Chrystus także nie zmuszał nikogo ani do słuchania, ani do pójścia za Nim. Nie groził, nie wywierał presji, nie szantażował. Mówił. Zadawał pytania. Tłumaczył. Dawał przykłady. Jego życie było przykładem. „Czy ktoś z was mógłby udowodnić mi, że grzeszę"? Przedstawiał własne przemyślenia i proponował, tak jak to czyni każdy nauczyciel, bo takie jest posłannictwo, taka rola społeczna nauczyciela. Ojciec Marian swoją działalnością także daje przykłady i zmusza do refleksji.

Tym wszystkim zaś, którzy zapytają: - Po co Hindusów umoralniać, po co ich „nawracać", po co im wskazywać inną drogę, skoro oni wierzą w Boga, są pobożni, modlą się, kontemplują, umartwiają się i spełniają gorliwie swoje obowiązki religijne? - odpowiem: Żeby im ułatwić poszukiwanie prawdy, żeby im przedstawić jeszcze jedną możliwość wyboru, żeby ich, wpatrzonych przede wszystkim w siebie, uczulić, uwrażliwić na los drugiego człowieka, żeby ich wzbogacić, ułatwić im znalezienie odpowiedzi na pytania, które dotyczą sumienia każdego człowieka, żeby w konsekwencji świat był lepszy, mniej obojętny, a bardziej miłosierny.

Pewien wykształcony Hindus powiedział: - Dla Indii nie ma innego wyjścia, jak przyjąć reługię chrześcijańską jako ogólnopaństwową. Bo tylko chrześcijanie odczuwają wyrzuty sumienia, żałują popełnionych grzechów, czują odpowiedzialność człowieka za człowieka i mają obowiązek zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Bez tego Indie nie wyjdą ze średniowiecza mimo niewątpliwego postępu technicznego.

Można przedstawić inną alternatywę, ale powyższej opinii nie należy lekceważyć. Coś w niej jest. Popieram ją nie dlatego, że sam jestem chrześcijaninem, ale ponieważ dzięki poznaniu Indii uświadomiłem sobie, z czego wynika skomplikowany splot gordyjskiego węzła, jaki istnieje w wielu współczesnych krajach świata.

Ojciec Marian udzielając nieraz pomocy duchowej umierającemu ma osobiste, wewnętrzne przekonanie, że to jest chrześcijanin. Nie może sprecyzować, na czym opiera swoje odczucie, ale jest pewny, że ono go nie zwodzi.

Indie są z pozoru tolerancyjne dla innych wyznań. W zasadzie jednak ludność jest fanatycznie przywiązana do swojej religii. Tak więc misjonarz jest szczególnie narażony na zarzut stosowania niedozwolonych prawnie „metod nawracania". Chodzi zwłaszcza o tak zwanych „ryżowych katolików", którzy są gotowi wyrzec się wiary w Siwę za worek żywności. Trzeba zachować czujność wobec tych, którzy twierdzą, że uwierzyli w Jezusa i dojrzeli do przyjęcia chrztu świętego.

Ojciec Marian mówi: - Chrzest w tych warunkach nie może mieć najmniejszych bodaj pozorów interesowności. Mógłbym ochrzcić całą

kolonię trędowatych, całą, a przynajmniej połowę. Ale tego nie robię. Dawniej, gdy ktoś umierał, misjonarze go chrzcili *in articulo mortis.* Dzisiaj się tego nie praktykuje. Jeśli ktoś pragnie przyjść do Kościoła, musi to uczynić z całą świadomością i odpowiedzialnością, z poczuciem konsekwencji. Bo konsekwencje przyjęcia chrztu świętego, a więc zmiana wiary, mogą odbić się na życiu neofity bardzo dotkliwie. Największą przeszkodą dla aktu chrztu jest życie społeczne Hindusów, przede wszystkim zaś wszechwładna presja rodziny. Neofita traci automatycznie związek pokrewieństwa ze wspólnotą rodzinną i kastową, a relegacja z grupy to strata oparcia, jakie daje rodzina- zawsze liczna—i kasta w sensie zarówno moralnym, jak i materialnym. Wyrzucony czy wyrzucona z kasty i rodziny nie znajdzie żony ani męża. Ma przed sobą zamknięte każde drzwi, nie jest odwiedzany, jest odrzucony także przez sąsiadów, napiętnowany milczeniem i obojętnością. Staje się martwy w pojęciu społecznym. W razie nieszczęścia jest absolutnie samotny. Katolików-Hindusów opinia społeczna często zalicza do „kasty chrześcijan", a to jest pomieszanie pojęć, to jest błąd w myśleniu. Kościół w Indiach czyni duże wysiłki, aby ludzie ochrzczeni pozostali nadal w swojej kaście, aby nikomu w rodzinie nie przeszkadzał np. „bramin-katolik".

W latach pięćdziesiątych - a więc nie tak dawno - pewien misjonarz osiedlił się w niewielkiej wiosce stanu Orisa. Postawił tam małą kapliczkę i zaczął nawracać miejscowych rolników, chociaż znał prawo anty-chrześcijańskie, obowiązujące w tym stanie, zabraniające tak zwanego „nawracania". Ale misjonarz był uparty i postanowił nawrócić całą wioskę. I czego dokonał? Niczego. Owszem, kilku katechumenów przychodziło do kaplicy i obserwowało działalność księdza. Jeden chłopiec, zwerbowany przez partię polityczną, pełnił funkcję szpiega. Pod pozorem uczenia się katechizmu donosił władzom, że misjonarz oddziałuje na otoczenie niedozwolonymi metodami. Misjonarz został aresztowany i uwięziony, a jego sprawa znalazła finał w sądzie. Po długim przebywaniu w więzieniu został zwolniony dzięki interwencji władz kościelnych, jak też kilku miejscowych katolików. Władze otrzymały uroczyste przyrzeczenie, że żaden misjonarz nie będzie się posługiwał podobnymi metodami. Przedstawiciele prawa zostali usatysfakcjonowani, zaś przyszli misjonarze musieli z tego wydarzenia wyciągnąć odpowiednie wnioski, które stanowią ostrzeżenie aktualne do dzisiaj.

Nie jestem historykiem, ale o ile się orientuję, w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat jedynie chrześcijanie - realizując posłannictwo Chrystusa - rozwijali działalność charytatywną, zwłaszcza wśród ludzi zacofanych cywilizacyjnie. I chociaż znane są przykłady okrucieństwa inkwizycji,

różne przejawy nietolerancji w ramach „walki o dusze pogan", po minięciu tych meandrów ciemnoty wiemy, że tylko chrześcijanie poszukują dzisiaj porozumienia z niechrześcijanami przez miłosierdzie, współczucie i pomoc, jakby usiłowali w naszej epoce spłacić zaciągnięty dług za tamtych okrutnych fanatyków. Dzisiaj zadanie misjonarza polega na ułatwianiu ludziom odnalezienia drogi godziwego życia, zgodnego z etyką ludzką, drogi zbawienia wiecznego, którego z pewnością dostąpią bez względu na to, czy szli ścieżką hinduską, muzułmańską, judaistyczną, buddyjską czy animistyczną, uznawaną dawniej za najbardziej „pogańską". Chrześcijaństwo - realizując zwłaszcza idee II Soboru Watykańskiego, który wyraźnie powiedział, że wszyscy ludzie dobrej woli mogą mieć nadzieję zbawienia w Jezusie - szuka porozumienia z obywatelami całego świata w tym, co wszystkim ludziom jest wspólne i czego wszyscy pragną, nawet gdy w ich ojczystej mowie brak odpowiednich pojęć.

Podczas pobytu w Puri zadałem ojcu Marianowi wiele pytań. Odpowiedział na każde z nich - prócz jednego. Między innymi zapytałem ojca Mariana, czy od chwili rozpoczęcia swojej działalności w Puri udzielił komuś chrztu świętego z pełnym przekonaniem. - Tak — odpowiedział ojciec Marian. - Peterowi Lalit Rao, szoferowi naszej misji. Ale jego matka była katoliczką. - A potem dodał: - Mamy w pobliżu rodzinę buddyjską. Chińczycy. Ich najstarsza córka studiuje w szkole prowadzonej przez siostry św. Józefa w Kataka. Przyjęła chrzest. Dwa lata temu jej młodszy brat także o to poprosił. Ochrzciłem więc i jego, i jestem pewny, że postąpiłem słusznie.

I jeszcze jeden przykład: mężczyzna był katolikiem, ale pojął za żonę hinduistkę. Potem ona przyjęła chrzest święty. Są blisko Kościoła, uczestniczą we Mszy świętej, przystępują do sakramentów.

W kolonii trędowatych niektórzy ludzie pytają o Jezusa i katolicyzm. Są tam przecież także ludzie wykształceni i światli, mądrzy, specjaliści z różnych dziedzin. Chociaż choroba wyrzuciła ich za burtę, nie tracą kontaktu ze światem i wiele czasu poświęcają na rozmyślania. Nieszczęście pozwoliło im wejść głębiej w tajemnice ludzkiej duszy. Owszem, nieraz nawiązują w rozmowach do aktu chrztu świętego, ale ojciec Marian traktuje to wyznanie z wielką rezerwą. Czeka, aż świadomość tych ludzi dojrzeje. Im także bardzo często powtarza, że katolicyzm to bardzo trudna wiara.

Dzieci katolików przeważnie zostają katolikami.

W chwili przybycia do Puri ojciec Marian zastał tu grupę katolików złożoną z ponad dwustu osób. Wie, że - ogólnie biorąc - ich katolicyzm jest bardzo zewnętrzny, naskórkowy, ale nigdy nie dzielił ludzi według wyznania czy koloru skóry, ale na uczciwych i nieuczciwych, mniej

dobrych i bardziej dobrych, na takich, którym trzeba przyjść z pomocą, i takich, którzy mogą pomóc innym. Innych podziałów nie stosuje. Zna dobrze termin „ryżowi chrześcijanie", ale uważa, że skoro już są, to trzeba się o nich starać, trzeba ich umacniać, bo i oni mogą dać świadectwo Kościołowi. - Ale może... - dodaje ściszając głos - czasem wolałbym, aby ich nie było.

Pytam, jakie jeszcze wyznania chrześcjańskie działają w Puri?

- *Baptist Church* - odpowiada ojciec Marian - posługujący się językiem *orija,* ma około czterystu członków. *Pentakata Church,* to baptyści mówiący językiem *telugu.* Działają na terenie osiedla rybackiego. Ponadto jest tu jeszcze *Independent Church,* odłam protestancki, również obejmujący swą działalnością osiedle rybackie. I jeszcze *Pentekostal Church,* Kościół zielonoświątkowców, mało popularny i o niewielkich wpływach. Nasza współpraca ogranicza się do opieki nad cmentarzem chrześcijańskim, gdzie ta sama ziemia jednoczy wszystkich spokojem wiecznym.

Także w głębi stanu jest kilka zborów ewangelickich. Ojciec Marian nie prowadzi tam swojej działalności, bo według niego jeszcze jeden chrześcijański element narobiłby tylko większego zamieszania w świadomości mieszkańców, zwłaszcza tych, którzy nigdy nie mieli bliższego kontaktu z wyznaniem innym niż hinduizm.

- Czy coraz większe zainteresowanie okazywane Jezusowi wynika bardziej z działalności misyjnej ojca, czy też stanowi specyficzny znak czasu? - pytam jeszcze.

I właśnie na to jedno jedyne pytanie ojciec Marian nie odpowiedział. Na wszystkie inne tak. Tylko nie na to. Zapewne dlatego, że go nie dosłyszał.

Dialog

Ksiądz John Shevlin, SVD, Anglik, którego poznałem w Puri, podarował mi dwie swoje książki. W jednej z nich znalazłem wiersz:

Nie idź przede mną,
Bo nie będę w stanie za tobą nadążyć.
Nie idź za mną,
Bo nie będę mógł cię widzieć.
Ale idź obok mnie,
Trzymaj mnie za rękę
I bądź mi przyjacielem.

Te słowa przypominają mi się zwłaszcza wtedy, gdy myślę o dialogu, jaki od dwunastu lat ojciec Marian prowadzi swoją działalnością nie tylko z mieszkańcami Puri, ale także z braminami, kapłanami świątyni Dżagannathy.

Idąc obok siebie można rozmawiać. Wszyscy ludzie na całym świecie powinni iść obok siebie. Co jednak zrobić z takimi, którym się wydaje, że mają prawo wyprzedzać innych? A co zrobić z takimi, którzy nie nadążają?
I tu nie tempo marszu jest utrudnieniem, ale coś znacznie bardziej skomplikowanego. Świadomość. Dokąd się idzie i po co.

Dialog. Słowo trudne. Z pewnością jedno z najtrudniejszych, jakimi posługują się ludzie cywilizowani. A kończy się w momencie, gdy brakujące słowa zastępuje siła.

Strona, która pragnie przystąpić do dialogu, musi być nie tylko obecna, ale coś sobą reprezentować-przede wszystkim jakieś racje, jakąś ideologię.

Hindusi są. I jest ich miliard. I mają swoją ideologię. Starszą od chrześcijaństwa o prawie dwa tysiące lat. Ojciec Marian przyjechał do Indii i do Puri z daleka. Był tu obcy. Prezentacja więc była jego obowiązkiem. Ale samo przybycie misjonarza do świętego miasta Indii wcale nie oznacza początku dialogu. Indie miały od stuleci bliskie kontakty z chrześcijaństwem i zdawały sobie sprawę z jego obecności. Obecności tej nie uważały jednak zawezwanie do dyskusji. Ochrzczenie kilku pariasów nie naruszało religijnej równowagi. To tak, j akby ktoś zaczerpnął z morza łyżkę wody i wylał j ą na plażę. Dżagannatha oferuje ludziom tak wiele, że nie musi obawiać się konkurencji.

A jednak właśnie tu, w Puri, zaistniało coś, co skłoniło Dżagannathę do podjęcia dyskusji, do wyrażenia zgody na dialog. Momentem, który go zapoczątkował, był właśnie przyj azd o j ca Mariana, Polaka, werbisty, mis j onarza, który budując wspaniały kościół w centrum miasta, postanowił samym tym faktem zaprosić Dżagannathę do rozmowy. Taka propozycja świadczy nie tylko o wielkiej odwadze, ale też - i może przede wszystkim - o głębokim, wewnętrznym przekonaniu, że Boskie Słowo powinno być artykułowane ustami ludzi i że jest to jedyna współczesna metoda gwarantująca pokój na świecie: za pomocą szukania porozumienia, w oparciu o wspólne wszystkim fundamenty etyczne. *Ad maiorem Dei gloriam* - Na większą chwałę Boga. „Prawda jest Bogiem" - mówił Mahatma Gandhi. Wierząc głęboko w Boga, zabraniał stosowania przemocy i gwałtu jako argumentu w jakiejkolwiek dziedzinie życia społecznego czy politycznego. Bo zło dodane do zła owocuje zwielokrotnionym złem, tworząc łańcuch, który najpierw uwiera, potem uciska, a w końcu dusi. Ojciec Marian doskonale wie, że podstawą dialogu między chrześcijaństwem i hinduizmem jest ta sama zasada.

W Indiach współczesnych patrzy się z wyrozumiałością na takie grzechy, jak oszustwo, kłamstwo czy kradzież, ale prawdziwym przestępstwem jest zlekceważenie rytuału, a więc niedopatrzenie obowiązku modlitwy, zaniedbanie w gestach, pożałowanie ofiary czy opieszałość lub niedokładność w formie oddawania czci bóstwu i jego kapłanowi. Przestępstwem jest też, na przykład, skrzywdzenie krowy. Takie występki można okupić jedynie ofiarą na świątynię, dotkliwą pokutą lub umartwieniem. Zresztą Indie są zarówno pod względem tradycji religijnej, jak i związanego z nią rytuału ogromnie zróżnicowane. Trudno to zrozumieć zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdzie niemal w stu procentach jest jeden naród, jeden język i wspólna wszystkim tradycja obrzędowa.

Wiadomość o takim państwie, które posługuje się tylko jednym językiem i jednym alfabetem, wywołuje u moich hinduskich rozmówców zdziwienie. Zastrzeżenia natomiast—i to poważne — budzi w nich nasza tradycja obrzędowa, ponieważ w powszechnej opinii Hindusów chrześcijanie nie są religijni. Dlaczego ? Bo się nie myją, bo się nie modlą, nie kontemplują i nie składają ofiar, a ponadto - o zgrozo! zabijają krowy i jedzą ich mięso. Zjeść krowę to tak, jakby zjeść dziecko, bo krowa jest tak samo jak dziecko bezbronna. No i ucieleśnia około stu dwudziestu bogów.

Czy w obliczu takich zarzutów można myśleć o dialogu? Wiadomo przecież, że ogień i woda to przeciwnicy diametralnie różni. A jednak ojciec Marian znalazł sposób, aby te przeciwności pogodzić. Jak to zrobił? Po prostu: sam stanął między nimi. Słowa zastąpił własną działalnością - uczynkami i przykładem. Wiedział, że to jedyny sposób, gdyż w dialogu bez słów nie może być pomyłki w interpretacji. Ale chociaż czyny przemawiają zawsze mocniej niż słowa, czasem i słowa nie sposób uniknąć, gdy gra toczy się o wysoką stawkę: porozumienie człowieka z człowiekiem. Fundamentalną zasadą tego dialogu, jaki od dwunastu lat ojciec Marian prowadzi w Puri z hinduizmem, jest proces wzajemnego wzbogacania się. Łączenie metafizyki Wschodu z ideą Wieczernika i Golgoty. Ojciec Marian jest przekonany, że to wspólne dążenie do Boga musi przynieść spodziewane plony w postaci utrwalenia w świadomości ludzkiej miłości człowieka do człowieka.

Aby zapoczątkować dialog, trzeba spełnić jeden podstawowy warunek: obie strony muszą się wzajemnie szanować. Nie jest to sprawa łatwa, gdyż działa wiele narosłych przez wieki uprzedzeń, niechęci, nawet pretensji. Ale są też atuty, choć wypływają z różnych źródeł. Oto one:

- Jest Bóg? - Jest.
- Czy to Bóg stworzył człowieka i wszystko, co istnieje na tym świecie? - Tak. - Obie strony przyznają to zgodnie.

- Czy wszystko co żyje, nosi w sobie cząstkę Stworzyciela, nieśmiertelności? - Tak.
- Czy człowiek powinien kochać drugiego człowieka? - Powinien.
- Czy powinien mu okazywać szacunek? - Powinien.
- W imię tego szacunku nie wolno zabijać, kraść, kłamać, oszukiwać, gwałcić godności ludzkiej? - Nie wolno.

Obie strony zgadzają się co do tego absolutnie. A skoro tak, można zacząć dialog.

Ojciec Marian musiał - aby zyskać miejsce osoby w dialogu - pierwszy wykazać swoim postępowaniem, że zasługuje na szacunek, że trzeba się z nim liczyć, traktować go jak partnera. To był - i ciągle jeszcze jest - najtrudniejszy etap jego pracy misyjnej. Nawiązując do tradycji hinduskiej stworzył prawdziwy katolicki *aśram.* Składa się on z dwóch części: z kościoła i z Centrum Poszukiwania Prawdy.

Budujemy kościół

To było przed dwoma laty. W listopadzie 1984 roku. Cała posesja misji katolickiej w Puri stanowiła jedną wielką budowę. Betoniarki, stosy cegieł, wapno, piasek, żelazo zbrojeniowe. Kobiety - robotnice w kolorowych *sari,* powoli, ale z konsekwencją dobrze pracującego mechanika ładowały na deseczki umieszczone na głowach po dziesięć cegieł i nosiły je ku bambusowym rusztowaniom, zza których wyłaniały się ściany nowego kościoła. Mężczyźni stojący na rusztowaniu odbierali cegły i miski z zaprawą murarską, podawali je stojącym wyżej. I tak z dnia na dzień, na pozór niedostrzegalnie, budowa rosła w górę.

Ten mężczyzna z rękawami koszuli zawiniętymi powyżej łokci, w zielonej czapeczce z daszkiem i w przeciwsłonecznych okularach to oczywiście ojciec Marian. Inicjator budowy, jej orędownik i nadzorca. Inwestor odpowiedzialny przed własnym sumieniem i Matką Bożą, bo to właśnie Jej poświęcona jest nowa świątynia, to Ona pomaga w jej wzrastaniu.

Ojciec Marian raz jest na dole, od czasu do czasu pomoże jakiejś kobiecie w układaniu cegieł, aby za chwilę wspiąć się po rusztowaniach na najwyższy ich poziom, gdzie właśnie zbrojarze robią wylewkę sufitu. Robota musi być wykonana solidnie. Tu żadne kompromisy nie wchodzą w rachubę.

Na betonowej, zaschniętej już płycie podium przed głównym wejściem do kościoła leżą plany budowy przyciśnięte na rogach kawałkami cegieł.

- Jerzy, Ewo! - woła ojciec Marian kiwając na nas ręką.

Podchodzimy.

- Mam problem - mówi. - Czy możecie mi w tym pomóc? Jak wyobrażacie sobie schody prowadzące do kościoła?
- W środku, oczywiście - żartuję.

Ojciec Marian zna się na żartach. Nawet je sobie ceni.

- W środku, mówisz. I słusznie. Ale jak po bokach?
- A jak jest na planie? - pyta moja żona.
- Na planie jest tak, ale ja bym wolał, żeby było inaczej. Żeby było ładniej. Na przykład, może by tak zrobić półkola, co? Jak myślicie? Na tych półkolach można by postawić takie duże ozdobne donice z kwiatami. Co, jak wam się to podoba?

Ojciec Marian potrafi błyskawicznie przerzucać się z tematu na temat. To wynik podniecenia, radosnego zaangażowania, nadziei. On już ten kościół widzi, już go kocha, już w jego wnętrzu skromnie, ale gustownie wystrojonym odprawia Mszę świętą, już kieruje do zebranych tu ludzi słowo Boże.

- No a okna? Jak widzicie kraty w oknach? Chciałbym, żeby były proste, ale żeby coś wyrażały. Pomyślcie, podpowiedzcie coś, jesteście przecież artyści. Ja myślę, na przykład, o lampkach oliwnych, coś w rodzaju małych witraży z kolorowego szkła. Ogień to symbol wiary. - Nagle odwraca się i woła: - Hej, *suno!* - *suno* znaczy „słuchaj" albo „zaczekaj" w języku *orija* wyciągniętą ręką wskazuje jednego z robotników. - Pomóż tej kobiecie, podeprzyj jej rękę!

Oczywiście, nie rozumiem tego, co mówi ojciec Marian, ale odgaduję znaczenie słów z jego gestów.

Dom parafialny jest już prawie gotowy. W oknach są nawet szyby. Dom stoi w głębi, z lewej strony kościoła.

- A te palmy - mówi ojciec Marian - patrzcie, jakie piękne! Tu będzie ogród. Kwiaty, krzewy, zielona trawa. To prędko wyrośnie, bo tu wszystko rośnie prędko, nie tak jak w Europie.

Po lewej stronie posesji stoi już gotowy, skromny, ale okazały budynek. Jest w nim coś, co wzbudza zaufanie, co zachęca do wstąpienia. To Centrum Poszukiwania Prawdy. Centrum dialogu. Najważniejsza - poza kościołem — inwestycja misji katolickiej. Ten dom już pełni przeznaczone mu zadanie. Przed wejściem stoi kilkanaście rowerów. To znak, że w lektorium jest już pełno i że bibliotekarz, który opiekuje się zbiorem książek i pomaga czytelnikom w znalezieniu właściwej lektury, nie próżnuje.

- Chodźcie do biblioteki - mówi ojciec Marian - pokażę wam książki, jakie ostatnio nadeszły. Także z Polski.

To było dwa lata temu. W listopadzie 1984 roku.

A teraz jest listopad 1986.

Budowa kościoła trwała osiemnaście miesięcy. To bardzo krótko, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że w Indiach największe nawet gmachy powstają przy pomocy rąk ludzkich, przeważnie kobiecych. To kobiety od świtu do nocy dźwigają cegły na głowach, kosze z piaskiem, cementem i zaprawą murarską, wspinając się po bambusowych rusztowaniach nawet na najwyższe kondygnacje. W tym wielkim i odważnym przedsięwzięciu nie zgromadzenie odpowiednich materiałów i nie zaangażowanie specjalistów i ludzi do pracy było najważniejsze, lecz zgromadzenie potrzebnych funduszy.

W tym miejscu muszę z obowiązku reportera wyliczyć bodaj najgłówniejszych sponsorów. Nie po to, aby im podziękować, ale aby zgodnie ze zwyczajem hinduskim umieścić ich nazwiska na tablicy honorowej, wmurowanej na widocznym miejscu. Takiej tablicy nie ma i nie będzie na ścianie kościoła katolickiego w Puri, niech więc znajdzie się przynajmniej tutaj:

- O.P. Dohman, SVD - 50 tys. DM - 199 072 rupie. Zapis testamentowy na budowę kościoła w Puri;
- St.PeterC/uuer‹s-zgromadzeniesióstr-20tys.DM.-79 629rupii;
- Polska - z intencji mszalnych - 90 tys. rupii;
- Polska — na urządzenie wnętrza - wszystkie koszty;
- Organizacja społeczna *Kirche in Not* („Kościół w potrzebie”), RFN - 66 tys DM. - 262 680 rupii;
- *Society of the Divine Word* (Werbiści) - 50 tys. DM - 199 072 rupie oraz po raz drugi w tym samym roku 19 840 dolarów australijskich;
- Rodzina chińska Mr. i Mrs. Lee - 1000 rupii;
- Składki od miejscowych parafian - 1000 rupii.

Misja katolicka w Puri to nie tylko kościół. Obok niego ojciec Marian zbudował dwupiętrowy Dom Parafialny jako zaplecze mieszkaniowe, administracyjne i gospodarcze, a także punkt katechetyczny, prócz tego przychodnię lekarską z gabinetem zabiegowym, garaż na dwa samochody sanitarne oraz - co po kościele stanowi jego największą radość - dom z biblioteką, czytelnią i salą odczytową, wspomniane już Centrum Poszukiwania Prawdy. Ojciec Marian zamierza jeszcze zbudować grotę z figurą Matki Boskiej. Nabożeństwo majowe, różaniec - miałyby piękną oprawę: palmy kokosowe nad głowami i oświetlona grota wśród zarośli ozdobnych krzewów.

Dnia 11 grudnia 1985 roku Puri, święte miasto hinduizmu, przeżyło niecodzienną uroczystość: konsekrację nowej świątyni poświęconej Bogu -

Kościoła katolickiego, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia.

Kościół, piękny pod względem architektonicznym i bogaty w swojej symbolice, został poświęcony przez arcybiskupa Kataka - Bhubaneszwar, Rafaela Cheenatha SVD, w asyście biskupa Alfonsa Bilunga, SVD, oraz trzydziestu ośmiu ojców i sześćdziesięciu pięciu sióstr. Najbardziej uroczystym momentem ceremonii było połączone z procesją przeniesienie Najświętszego Sakramentu ze starej kaplicy do nowej świątyni Pańskiej.

Ojciec Marian, inicjator i konsekwentny budowniczy, powiedział w swojej homilii: „Tę wzniosłą chwilę zaszczycili swą obecnością liczni nasi bracia Hindusi, sami najważniejsi obywatele naszego miasta. Od maja 1984 roku obserwowali oni z uznaniem wzrastanie nowego kościoła, wzniesionego na fundamentach starej zniszczonej kaplicy, najstarszego śladu chrześcijaństwa w Puri”. Powiedział także: „Jezus Chrystus nie jest kimś obcym w świętym mieście Hindusów. Zgodnie z hinduską tradycją był On pielgrzymem w Puri, zanim rozpoczął swą misję zbawicielską, która w odległej Palestynie zawiodła Go na krzyż. Ja czuję - dodał ojciec Marian — że głęboko zakorzenione pragnienie, w imieniu którego Jezus złożył ofiarę z samego siebie, wywodzi się z tej tradycji”.

Nie ma żadnych dowodów na to, że Jezus był kiedykolwiek w Indiach. A jednak coś w tym musi być, skoro również tybetańscy i himalajscy lamowie utrzymują, że Jezus studiował w tamtejszych klasztorach ich naukę. Po wojnie spotkałem pewnego starszego Polaka, który długie lata spędził w Tybecie. To on powiedział mi, że w jednym z klasztorów lamaickich znajduje się księga — on sam ją widział - którą czytał Jezus. Mnisi lamaiccy wskazywali nawet kilka miejsc, które według ich przekonania Jezus własnoręcznie zaznaczył jako szczególnie ważne.

Wydaje mi się, że tej karty dziejów nie da się odtworzyć. Sama jednak legenda jest piękna i stanowi z pewnością jakiś fragment dialogu, który z pomocą ojca Mariana prowadzi w Puri hinduizm z chrześcijaństwem.

Bardzo wiele kościołów chrześcijańskich znajduje się w centrum lub obok centrum indyjskich miast. Ale zgodę na ich lokalizację wydały władze kolonialne przed uzyskaniem przez Indie niepodległości. Po roku 1947 praktyka ta uległa radykalnej zmianie, co zostało podyktowane nie obawą przed „konkurencją”, ale troską o wyeliminowanie z pejzażu Indii wszelkich zbyt widocznych, obcych akcentów. Dlatego budowa nowego kościoła w Puri, zaczęta w roku 1984, zastanawia i skłania do refleksji. Wniosek może być tylko jeden: zgoda władz miejskich jest wyrazem szacunku dla ojca Mariana. On sam mówi o tym takimi słowami: - Ciekawa rzecz, gdy mury kościoła rosły, nieraz miałem wrażenie, że całe miasto Puri

uczestniczy w tej budowie. Ludzie przystawali, wchodzili do środka, przyglądali się robocie, pytali. Byli zadowoleni, że Bóg otrzymuje w ich mieście jeszcze jedną świątynię.

„Jeszcze jedną świątynię". A więc zdawali sobie sprawę, że Biała Pagoda Dżagannathy przestanie być jedyną, mającą od niemal tysiąca lat wyłączne prawo pośrednictwa między Bogiem i ludźmi.

Projekt nowego kościoła wykonał bezinteresownie zawodowy architekt i jezuita w jednej osobie - ksiądz Antoni del Porte.

Kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny na swoim najwyższym punkcie ma ustawiony krzyż, symbol zakorzenionej głęboko wiary, ale cała sylwetka wprowadza coś nowego, bardziej związanego z przyszłością niż z tradycją. Jednym przypomina namiot, innym - łódź. Jest w tej architekturze duch posoborowy, idea szukania porozumienia, zaproszenie do rozmowy pod wspólnym dachem. Zwraca na siebie uwagę przechodniów, ale nie w sposób agresywny, przeciwnie, zdaje się zachęcać: „Wędrowcze, wstąp, jeśli jesteś zmęczony, znajdziesz tu spokój, cień, wytchnienie, będziesz mógł zastanowić się nad dalszą swoją drogą, pomyśleć, porozmawiać z Bogiem".

Jeśli zaś komuś sylwetka kościoła bardziej przypomina łódź niż namiot, to też jakby proponowała wspólną wyprawę przez ocean wątpliwości, cierpienia czy rozpaczy. Hindusi to mistycy, myśliciele szukający porozumienia z Bogiem. Wielu z nich bez trudu rozszyfrowuje symbolikę zawartą w architekturze nowego kościoła. Przechodnie, zwłaszcza przyjezdni, zatrzymują się, patrzą, myślą, niektórzy wstępują do wnętrza na chwilę skupienia, spoglądają na ukrzyżowanego Chrystusa nad głównym ołtarzem. Wiedzą, że Bóg-Człowiek oddał swe życie i za nich, więc pozdrawiają ołtarz złożonymi dłońmi i dotykają nimi czoła. Przyzwyczajonych do bogów wojujących z demonami, tańczących, radosnych i „uprawiających miłość" zastanawia ofiara Chrystusa i jej cel. I tak samorzutnie, bez czyjejkolwiek zachęty, rozpoczynają dialog z własnym sumieniem.

Przed każdym nabożeństwem - rano w języku *orija*, po południu po angielsku-przychodzą dzieci i razem z siostrami szarytkami sprzątają kościół, ustawiają kwiaty i przygotowują książeczki do nabożeństwa. Książeczki są dwujęzyczne, ale na okładkach widnieje twarz Matki Boskiej Częstochowskiej, Czarnej Madonny, Królowej Korony Polskiej. Kilkunastoosobowy chór często odbywa próby przy akompaniamencie księdza Tomasza, Hindusa, autora wielu melodii do słów własnych łub zaczerpniętych z poezji Rabindranatha Tagore, co ogromnie zbliża ideę chrześcijaństwa do tradycji hinduistycznej, stanowiąc naturalny pomost porozumienia. Oto fragment jednego z tekstów włączonych do śpiewnika kościoła katolickiego w Puri:

W mojej lutni jest wiele strun.
Pozwól mi dodać jeszcze jedną - moją własną.
Wtedy, gdy uderzysz w swoją strunę,
Moje serce przerwie milczenie
I złączy się z twoim w jedną pieśń.

Podczas wieczornego nabożeństwa z ciekawością wsłuchuję się w obco brzmiący tekst:

Nomoste, Mariya, Onugroho puma,
Probhu tumbhoro songore
Narinko modhiore tumbhe dhonia,
Ebong dhonio tumbhoro gorba pbolo, Dżisu...

- i wiem, że po polsku znaczy on „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna", i nie ma najmniejszych wątpliwości, że Maryja, chociaż była Żydówką, rozumie go. Potem odbywa się adoracja Najświętszego Sakramentu. Przy zapalonych świecach, bo właśnie zgasło światło. Ojciec Marian pochyla się nad płomieniem i odczytuje modlitwy. Dla jego chorych oczu to egzamin trudny i ryzykowny, ale ojciec Marian wierzy w miłosierdzie Boże, bo sam jest pełen miłosierdzia.

To chaotyczne wyłączanie światła trzy, cztery, a choćby i pięć razy na dzień nikogo nie dziwi. Ale na przykład, aby kościołowi zapewnić oświetlenie podczas pasterki czy rezurekcji, trzeba pamiętać o łapówce dla pracowników podstacji elektrycznej. Tak było dawniej, i za drogo to kosztowało, wobec tego ojciec Marian wystarał się o własny agregat, który włącza się automatycznie w razie przerwy w dostawie prądu z sieci.

Podczas Mszy świętej mężczyźni grupują się w ławkach po prawej stronie, kobiety i zakonnice po lewej, zaś dzieci siadają na podłodze przed ołtarzem. Brat Binod ze zgromadzenia misjonarzy miłości gra na małej fisharmonii, prawą ręką dotyka klawiszy, a lewą pompuje powietrze z miecha. Gdy chór rozpoczyna pieśń - podchwytują ją wszyscy obecni. Często, zwabieni muzyką i ciekawością, wstępują do kościoła przechodnie prosto z ulicy. Gdy ojciec Marian wygłasza kazanie - a nie jest ono krótkie - ludzie słuchają jego słów z wielkim skupieniem. Pewnego dnia ojciec Marian powiedział do mnie: - Znałem malarza z Krakowa, byłego więźnia Dachau. On kiedyś wyjaśnił mi, jak się przygotowuje do malowania obrazu, na przykład pejzażu czy architektury. Najpierw wpatruje się długo w fotografię, robi kilka szkiców, a potem idzie w plener i kontempluje ten motyw w rzeczywistości. Następnie wraca do pracowni i maluje to, co wywarło na nim najsilniejsze wrażenie, co utrwaliło się najbardziej w jego duszy. Ja, przygotowując kazanie, postępuję trochę podobnie. Gdy potrzebuję skupienia, jadę za miasto, między palmy i pola ryżowe. Ludzie,

których tam spotykam, nie przeszkadzają mi, bo są częścią tego pejzażu, są wpisani w przyrodę. Oni nawet pomagają memu skupieniu. — Po chwili dodał: - Myślę, że każdy ksiądz powinien mieć jakieś hobby. Powinien malować, pisać, grać albo śpiewać. To by go ogromnie pogłębiło, wzbogaciło.

Na każdą niedzielę i święto drukowane są specjalne czterostronicowe ulotki, *The Sunday Liturgy*, zawierające pomocne rozmyślania i teksty. Pozwalają one wiernym na pełniejsze uczestnictwo w Ofierze Pańskiej, kierując równocześnie ich myśli ku licznym aktualnym zagadnieniom. Głębokie są zwłaszcza rozważania w akapicie zatytułowanym *Liturgia i życie*, a znajdującym się zawsze na ostatniej stronie publikacji.

Po Mszy świętej, po nabożeństwie, dopada ojca Mariana „skrzecząca pospolitość": rozmowy o oświetleniu, naprawach, wydatkach, o sprawach najpilniejszych i takich, które mogą zaczekać, ale muszą zostać zapisane w „banku pamięci", o potrzebach kościoła, zapowiedzianych wizytach, o potrzebach biblioteki, bo właśnie niektórzy czytelnicy proszą o takie a takie książki, o biednych, którym trzeba szybko udzielić pomocy. Ojciec Marian słucha, ale z jego miny wnioskuję, że w umyśle przesuwają mu się - jak na ekranie komputera- kolumny cyfr. Te, które ma, migają zielonym światłem, gorzej z tymi czerwonymi, które sygnalizują braki. Tu trzeba pamiętać, że wszyscy rozmówcy ojca Mariana są Hindusami i że konwersacja z nimi ma specjalny przebieg. Trzeba wiele tłumaczyć, często kilkakrotnie powtarzać. Taki zwyczaj. Kilku mówi równocześnie, z każdym trzeba osobno, ale ze wszystkimi razem. Pochłania to mnóstwo czasu, ale trudno - taki zwyczaj.

Na przykład dzisiaj: w przededniu Bożego Ciała. Trzeba zakupić pięć litrów nafty, trzy litry oliwy, pięćset glinianych lampek. Nafta kosztuje trzy rupie za litr, oliwa do lampek osiemnaście rupii za litr, lampki będą kosztowały pięćdziesiąt rupii, no i jeszcze kwiaty - dziesięć rupii.

- Aha, *suno* - taki napis umieścisz na tablicy przed kościołem, tylko musisz napisać wyraźnie i bardzo pięknie, dużymi literami, tuszem na białym tle, zapisz sobie, bo potem zapomnisz: „O Panie, Ty jesteś Królem prawdy i życia, Królem łaski, cnoty, sprawiedliwości i miłosierdzia, Ty jesteś Najwyższym Królem Miłości". Zapisałeś? Pokaż! Tu brakuje litery. Ta litera jest bardziej okrągła. Ojciec Tomasz sprawdzi, czy nie ma błędu.

Gabinet ojca Mariana sprawia wrażenie bazaru albo wielkiego forum dyskusyjnego. Czasem panuje w nim absolutna cisza, ale najczęściej wypełnia go skłębiony gwar ludzkich głosów. Lubię - będąc obok - przysłuchiwać się zarówno ciszy, jak i rozmowom. Cisza świadczy o tym, że ojciec Marian - jeśli tam jest - rozmawia z Bogiem, zaś gwar to dowód, że prowadzi właśnie dyskusję z Jego pośrednikami.

Mówi się, że „kościół jest domem Bożym". Jest nim niewątpliwie, ale pragnienia ojca Mariana zmierzają w tym kierunku, aby w tym domu - poza Mszą świętą - Pan Jezus mógł spotkać się z ludźmi bezpośrednio, podczas planowanych „godzin biblijnych" dla wszystkich chętnych, zgłoszonych, ale i przypadkowych przechodniów. Spotkania takie wypełnione byłyby czytaniem fragmentów *Biblii i* ich objaśnieniami, śpiewaniem pieśni, a także swobodną rozmową o sprawach zasadniczych: o etyce, o obowiązkach człowieka wobec siebie, najbliższych i społeczeństwa, o życiu godziwym, o przykładach, jakie dawali wielcy Nauczyciele różnych religii w różnych epokach historycznych, o tym, jak miłość musi torować sobie drogę w świadomości i duszy każdego człowieka. Ojciec Marian przygotowuje się do realizacji tego projektu z poczuciem wielkiej odpowiedzialności, bo wie, jak bardzo mogą wzbogacić sumienia wielu ludzi te „godziny biblijne". Hindusi będą słuchać, ale będą także mówić. Co najmniej trzy tysiące lat działalności w Indiach rozmaitych *guru*-nauczycieli, którzy zmuszali ludzi do myślenia i do dyskusji, przygotowały doskonale grunt do takich spotkań. Zwłaszcza że współczesność, bardziej niż jakakolwiek epoka w przeszłości, zmusza ludzi do myślenia o społeczeństwie, o obowiązkach względem innego człowieka, w konsekwencji o jego powinnościach względem całego narodu.

Na uroczystość konsekracji kościoła w dniu 11 grudnia 1985 roku zostały rozesłane specjalnie wydrukowane, ozdobne zaproszenia, podpisane przez proboszcza i parafian kościoła katolickiego w Puri, oraz program uroczystości. Zwłaszcza ten program wydaje mi się szczególnie ważny, gdyż zawiera wyraźnie wypunktowane akcenty takiego porozumienia hindusko-chrześcijańskiego, do jakiego z taką konsekwencją zmierza praca misjonarska ojca Mariana. Dlatego zacytuję go w całości:

„PROGRAM KULTURALNY
PO POŚWIĘCENIU NOWEGO KOŚCIOŁA W PURI
Data: 11.12.1985, godz. 6 po południu

- Taniec modlitewny
- Pieśń powitalna
- Przemówienie powitalne
- Taniec rolników
- *Modlitwa Pańska w* języku *orija*
- Referat: *Historia kościoła w Puri*
- Taniec ludowy
- *Syn marnotrawny* - sztuka ewangeliczna
- Przemówienie prezydenta miasta

- Podziękowanie
- Pieśń końcowa

Jego Przewielebność Arcybiskup Rafael Cheenath SYD i Jego Ekscelencja Biskup Alfons Bilung SVD będą naszymi honorowymi gośćmi."

W przygotowanie tego programu wszyscy - ojciec Marian, a także jego współpracownicy: zakonnice, nauczyciele, dzieci - włożyli maksimum wysiłku, ale uroczystość wypadła wspaniale. Była godna doniosłej chwili, wzruszająca - skłaniała do refleksji. Wspomina ją do dzisiaj wiele osób. Dla ojca Mariana - ten dzień 11 grudnia 1985 - był chyba najważniejszy w całym jego życiu jako kapłana, misjonarza i nauczyciela. I chyba także Polaka.

Boże Ciało w Puri

Niedziela, dnia 22 listopada 1986.

Dzień Bożego Ciała. Z uwagi na klimat, święto to obchodzone jest w Indiach w listopadzie. Dlaczego o nim wspominam? Nie dlatego, że uroczystość była podniosła, a kościół pięknie oświetlony i udekorowany, zaś ołtarze przy drodze procesji skromne, ale wzruszające. Wspominam dlatego, że właśnie podczas tej uroczystości zaistniało wydarzenie, które śmiało mogę nazwać jedną z form dialogu, jaki od chwili swego przyjazdu do Puri prowadzi ojciec Marian z miejscowym społeczeństwem.

Diisunko Dżojo! - Niech żyje Jezus!

Po Mszy świętej w języku angielskim na całej posesji zapłonęło pięćset lampek oliwnych. Procesja wyruszyła od głównego ołtarza. Dziewczynki z twarzami pomalowanymi w tradycyjne, obrzędowe wzory hinduskie, ubrane w białe stroje i z wianuszkami świeżych kwiatów na głowach, sypały kwiatki przed Najświętszym Sakramentem. Na całej ulicy przed wejściem do kościoła zgromadził się tłum i w skupieniu należnym uroczystości obserwował procesję. Uczestniczyło w niej kilkunastu Polaków pracujących przy budowie elektrowni w Rourkela. Monstrancję niósł ojciec Marian. Nabożna pieśń o bardzo hinduskiej kantylenie brzmiała głośno i dostojnie. Cudowny, pomarańczowocynobrowy kolor nieba stwarzał w połączeniu z czarnymi sylwetkami palm prawdziwie egzotyczną scenerię. Kilkudziesięcioosobowa grupa przechodniów dołączyła do procesji i towarzyszyła jej wzdłuż całej trasy wokół kościoła, w skupieniu wysłuchując homilii ojca Mariana wygłoszonej w języku *orija*, a więc zrozumiałej dla wszystkich, gdyż brzmiącej tak samo jak codzienna modlitwa. Stojąc przed ołtarzem wzniesionym na bocznej ścianie przychodni lekarskiej, ojciec Marian, oświetlony świecami trzymanymi przez prawie wszystkich uczestników procesji, mówił o Chrystusie - Królu, który na ramionach niósł swój królewski tron na Golgotę dla odkupienia wszystkich ludzi. Wszystkich - słowo to podkreślił z naciskiem. „Gdy ludzie błądzą i buntują się przeciwko jakiemuś porządkowi - mówił ojciec Marian — to władza wysyła wojsko, aby zmusić ludzi do posłuszeństwa. Widząc ludzkie błędy i bolejąc nad nimi - Bóg posłał na ziemię swego Syna, aby grzechy ludzi odkupił ofiarą swego życia. Zastanówmy się - ciągnął ojciec — czy w naszym codziennym życiu nie powinniśmy naśladować Chrystusa, aby nam wszystkim było lepiej żyć? Aby jeden człowiek wiedział, że w razie potrzeby, w razie nieszczęścia, w razie zagrożenia inny człowiek przyjdzie mu z pomocą, że go nie opuści w biedzie, tak samo jak Bóg nie opuszcza ludzi, którzy Mu ufają..."

Cisza panowała absolutna. I tylko czasem zaszumiały liście palm, gdzieś daleko zaszczekał pies, zapłakało dziecko, które z ciekawości zbyt blisko przysunęło paluszek do płomienia świecy. Przy ciemnych twarzach sióstr szarytek ich białe habity zdawały się jeszcze jaśniejsze.

W drodze ku drugiemu ołtarzowi, wzniesionemu nad garażem między budynkiem biblioteki i domem parafialnym, zdarzyło się coś dla mnie zupełnie niezwykłego. Monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem niósł teraz ojciec Tomasz. Czoło procesji z wysoko uniesionym krzyżem skierowało się obok starej kaplicy ku bocznej bramie i wyszło na ulicę. Prosto w tłum zebranych gapiów, jakby do nich kierując zaproszenie do wzięcia udziału w uroczystości. Po przejściu około czterdziestu metrów procesja powróciła przez główną bramę na posesję misji i skierowała się do drugiego ołtarza. Hindusi stojący na ulicy przyglądali się uroczystości w modlitewnym skupieniu. Wielu z nich pozdrawiało monstrancję złożonymi dłońmi, a potem dołączyło do pochodu. To był moment, który na chwilę - może nawet na dłużej niż chwilę - połączył katolików z hinduistami w jedną ludzką rodzinę, która tak samo czci Boga, pragnie Boga i wierzy głęboko w Jego obecność. Katolicy pomieszali się z hinduistami, Anglicy z Polakami, Niemcami i Australijczykami.

Na koniec, pod ciemnogranatowym namiotem nieba nabitego gwiazdami, odbył się na dziedzińcu pokaz dwóch filmów. Ekran powieszono na ścianie kościoła, na wprost głównego wejścia od ulicy. Był to więc seans równocześnie zamknięty i otwarty. Operatorem projektora filmowego był

oczywiście ojciec Marian. On także wystarał się o wypożyczenie dwóch filmów. Pierwszy, przyrodniczy, o ptakach znad jeziora Chilka i o opiece nad przyrodą tego rejonu. Drugi o Matce Teresie z Kalkuty - piękny, wzruszający, zmuszający do głębokich przemyśleń. Projekcji filmu przyglądał się tłum złożony z ponad dwustu ludzi, którzy musieli sobie skojarzyć krzyż noszony na ramieniu habitu-*sari* Matki Teresy z tym wysokim, wznoszącym się ku gwiazdom z kościelnej dzwonnicy. Musieli uświadomić sobie, że w imieniu tego samego znaku zarówno Matka Teresa, jak i ojciec Marian prowadzą swoją działalność jako siewcy miłości i miłosierdzia. I może właśnie to stanowiło tak ważny akcent uroczystości Bożego Ciała: dialog między ulicą i posesją kościoła katolickiego. Ci przygodni, ale liczni spektatorzy muszą się zastanowić, dlaczego tej starej kobiecie, przybyszowi, obywatelce innego narodu i osobie obcej wiary prezydent ich państwa z takimi honorami wręcza najwyższe cywilne odznaczenie i dlaczego w dalekiej Norwegii grono starszych panów, ubranych we fraki, całuje jej pomarszczone ręce z takim szacunkiem i pokorą. Dlaczego nagle ta stara, chuda, samotna kobieta w białym *sari*, o twarzy pomiętej, jakby wy chłostanej wieloma biczami życia - mimo swej fizycznej kruchości wyrasta ponad te dobrze ubrane i jeszcze lepiej odkarmione tłumy... Muszą się nad tym dobrze zastanowić...

I tę ich refleksję ojciec Marian może sobie zapisać na koncie prowadzonego dialogu.

Pięćset lampek oliwnych płonęło jeszcze przez wiele godzin. Widok był szczególnie piękny, gdy się patrzyło z górnego tarasu domu parafialnego.

Każdy, kto wejdzie na ten teren, natychmiat zauważy coś, co z pewnością będzie dla niego symbolem dialogu. Po lewej stronie wysoki, prosty, betonowy krzyż na dzwonnicy nowego kościoła, zaś w głębi, nad dachami tysięcy domów - *sikhara* Białej Pagody, sanktuarium Pana Wszechświata. Odległość między tymi dwoma punktami orientacyjnymi wynosi w linii prostej około czterystu metrów. Przypadek? Być może, ale jeśli nawet przypadek, to powoduje on nieprzypadkowe konsekwencje.

- Niedawno - mówi ojciec Marian - mój przyjaciel, Hindus, rzekł do mnie w toku rozmowy: „Ojcze, dlaczego nie wybierzecie się do rejonu Koraput? Jest tam wielu uciskanych Adibasów". Sprawiło mi to przykrość, gdyż potraktował nas, misjonarzy, jako nadających się do pracy wyłącznie wśród Harijan (kasta niedotykalnych) i plemion wyodrębnionych, pierwotnych. Przypominam sobie również inną rozmowę z pewnym zagorzałym hinduistą, który powiedział coś zupełnie przeciwnego: „Ojcze, dlaczego troszczycie się tylko o Adibasów? Dlaczego nie przyjedziecie do nas?"

- Dlaczego? - mówi dalej ojciec Marian. - Smutnym faktem jest, że nasze zgromadzenie pracuje w Orisie przez ostatnie trzydzieści siedem lat, a niewiele jeszcze zdołało uczynić, aby zbliżyć się do głównego strumienia życia kulturalnego Orisy, które kształtowane jest głównie przez naszych hinduskich braci wyższych kast. Trudno mówić o „czynieniu Chrystusa obecnym wśród Hindusów", gdy przeciętny Hindus, wykształcony lub > nie, ma bardzo prymitywne i niejasne pojęcie o chrześcijaństwie. To są bariery, które przede wszystkim muszą zostać usunięte. Skąd Hindusi mają wiedzieć, jeśli nie słyszą, i jak mogą słyszeć, jeśli my nie usiłujemy pójść do nich, aby im powiedzieć? Chrześcijaństwo ma wiele do zaoferowania „głodnemu Boga Hindusowi" i ma obowiązek to czynić, a obowiązek ten z całą pewnością należy do nas, którzy od roku 1948 wybraliśmy pracę w Orisie. Nasze przedsięwzięcie puryjskie, które rozpoczęło się w 1975 roku, jest jedną z wielkich naszych szans.

Właśnie w 1975 roku przybył do Puri ojciec Marian. I właśnie aby nie zmarnować tej szansy - stworzył *aśram*. Sejsmograficzna wrażliwość na potrzeby ludzi podyktowała ojcu Marianowi właśnie taką kolejność: najpierw miejsce. Ma to swoje głębokie uzasadnienie w długoletniej hinduskiej tradycji.

Początków aśramów należy szukać w zamierzchłej prześzłości, gdy myśliciele obierali siedziby w jaskiniach. Mądrość i pobożność pustelników przyciągała słuchaczy zarówno okolicznych, osiadłych, jak i wędrujących w poszukiwaniu prawdy. Liczne grupy uczniów wędrowały też ze swoim *guru* od wioski do wioski, a ich mieszkańcy wszystkim udzielali gościny, poczytując to sobie za zaszczyt. Dzisiaj miejsce jaskiń zastąpiły nowoczesne domy, często cale osiedla z zapleczem naukowym, kontemplacyjnym i sanitarnym. Indyjski *aśram* to coś w rodzaju akademii, gdzie przebywający w zgrupowaniu uczniowie słuchają nauk swoich *guru*, spełniają praktyki religijne, pogłębiają się wewnętrznie przez rozmowy i dyskusje z nauczycielami, których często mogą sobie sami wybrać, według uznania. Różne aśramy mają różne struktury organizacyjne i naukowe, ale ich zasada jest wspólna: doskonalenie wewnętrzne.

Centrum Poszukiwania Prawdy

Po lewej stronie wejścia na teren misji katolickiej widnieje duża tablica z napisem w alfabecie *orija* i po angielsku: „*Sodhio Sandhano Niketan*"

Centrum Poszukiwania Prawdy — *Catholic Library* - Biblioteka katolicka - Puri". Ta nowa, jakże wartościowa placówka oświatowa powstała niedawno na mapie kulturalnej miasta Puri. Pamiętają o niej liczni młodzi ludzie, przeważnie studenci miejscowych *college'ów*, a także ich wykładowcy. Uroczyste otwarcie ośrodka i oddanie go do użytku mieszkańców Puri odbyło się 19 stycznia 1980 roku. Ojciec Marian osobiście starał się o zaopatrzenie biblioteki i lektorium. Są wszystkie dzieła: od historii i fizyki po sztukę i sport. Od samego początku co najmniej kilkunastu, a czasem i dużo więcej osób przychodzi do Centrum. Nikt ich tu nie agituje, nie uświadamia, nie edukuje, nie prowokuje do rozmowy. Wiedzę zdobywają sami, ale pomaga im w tym ojciec Marian, do którego często młodzi ludzie zwracają się z prośbą o pomoc. W ośrodku odbywają się też prelekcje na tematy współczesne, zwykle połączone z dyskusją.

Utworzenie centrum dialogu było od samego początku pracy misyjnej w Puri jednym z głównych pragnień ojca Mariana. Przybliżając tutejszej społeczności chrześcijaństwo, zamierzał równocześnie zwrócić uwagę, zwłaszcza współczesnej młodzieży hinduskiej, na bardzo wartościowe elementy tradycji Indii, o której oni, młodzi, zdają się zapominać, wsłuchani coraz bardziej w krzykliwą i efekciarską propagandę tak zwanej „nowoczesności" czy „nowatorstwa", prezentowaną nawet przez państwowe ośrodki przekazu. Według opinii ojca Mariana postęp cywilizacji powoduje raczej zmiany negatywne w świadomości ludzi, z których większość, a zwłaszcza młodzież, rozumie postęp jako równoczesne odrzucenie wszystkiego, co przetrwało z tradycji. Postęp materialny jest w Indiach wielki i widoczny. Także w samym Puri. Może nie dla przelotnego turysty, ale dla kogoś tu zasiedziałego od lat, który może się posłużyć skalą porównawczą. Jest lepiej pod względem zdobyczy i urządzeń technicznych, ale w ludzkich sercach zmiany są niewielkie, bo świadomość człowieka przeobraża się najwolniej. Młodzież dzisiejsza jest bardziej pewna siebie i arogancka niż dawniej, za szybko i tylko powierzchownie chce się „unowocześnić", w pierwszym rzędzie przez odrzucenie tradycji braminów-kapłanów, tradycji, która nakazuje, na przykład, zmianę obuwia i odzieży po pobycie w ubikacji. A tradycja, zwłaszcza tu, w Indiach, podporządkowuje sobie całe życie człowieka przez ciągle jeszcze żywe obrządki religijne, nie wyłączając magii czy astrologii.

W takiej sytuacji istnieje jednak wielkie niebezpieczeństwo. Jest nim pustka. Jeśli się coś odrzuci, coś, co istniało przez tysiąclecia, to miejsce trzeba koniecznie zapełnić czymś nowym. Inaczej równowaga moralna człowieka dozna zachwiania. Jeśli człowiek, zwłaszcza młody, nie wie,

czym wypełnić życie, sięga po substytuty, namiastki, najczęściej w postaci narkotyków. Potrzebom tej młodzieży misja katolicka wychodzi naprzeciw. Bo właśnie chrześcijaństwo wielu młodych ludzi - zwłaszcza spośród bardziej myślących - ciekawi, fascynuje i przyciąga. Oni instynktownie czują, że świat się zmienia, nawet ten ich tradycyjny, hinduski świat. Zaczynają rozumieć, że zastój, że kurczowe trzymanie się obyczajowości niezmiennej od wieków nie prowadzi do niczego, powoduje skostnienie, jest cofaniem się, marazmem.

W pierwszych latach obserwowali działalność ojca Mariana. Z daleka. I z wysoka. Z poczucia własnej wyższości. Powoli zaczęli się przybliżać, skracali dystans nieufności, zaczynali rozmawiać, pytać. Wielu z nich zostało jakby „zarażonych" postawą ojca Mariana, jego duchową siłą i energią, która zdawała się niewyczerpana. Chcieli wiedzieć, skąd ten obcy człowiek czerpie swoją moc i dobroć i aż tyle miłości dla otaczających go ludzi. I tak zrodziła się myśl o zbudowaniu płaszczyzny dla wspólnych rozmów, do wymiany poglądów, dla wspólnego zrozumienia - centrum dialogu. Aby nawiązać kontakt z ludźmi. Stały i bezpośredni. A więc nie przypadkowy, okazjonalny, w cieniu palmy, na stojąco, z patrzeniem na zegarek, ale zorganizowany, trwały, w atmosferze sympatii i wzajemnego szacunku, aby ci, co przychodzą, mieli możność przekonać się, że ojciec Marian, ten katolicki *guru*, szanuje ich tradycję. Co więcej, że uznaje jej elementy fundamentalne i wcale nie zamierza ich ani podkopać, ani - tym bardziej — zburzyć, ponieważ mimo wielu różnic ukształtowanych przez inne tradycje i obyczaje - korzenie dobra tkwiące w każdym człowieku są wspólne: wiara w tego samego Boga, który żadnemu stworzeniu nie pozwala wyrządzić, krzywdy i który obdarza wszystkich i wszystko jednakową miłością.

Tylko, uwaga: „nie krzywdzić" i: „obdarzać miłością" - to są dwie różne sprawy. Tak jak: „współczuć" i: „dać dowód współczucia". I właśnie na tym odcinku dialog zaostrza się i komplikuje, gdyż już nie słowa, nie pojęcia, nie argumenty muszą dać świadectwo - ale czyny.

Indie nie mają Ewangelii. *Wedy* — święte księgi — znają przede wszystkim bramini i kapłani. *Mahabharata* i *Ramajana* to bardziej historie i perypetie mitycznych bogów i bohaterów niż przekazy moralno-filozoficzne. Znają je — i to we fragmentach - jedynie ludzie wykształceni. Do ogółu społeczeństwa docierają jedynie urywki opowiadane najczęściej przez wędrownych recytatorów. Ale w żadnym z tych utworów nie ma Prometeusza. Żaden hinduski bohater nie stanął wobec problemu Antygony: czy pogrzebać Polinejka. Żaden hinduski bóg nie oddał swego życia za człowieka. Może właśnie całą swoją misjonarską działalnością, wraz

z powołaniem do życia centrum dialogu - ojciec Marian pragnie wypełnić to puste miejsce.

Z . satysfakcją jednak należy odnotować, że hinduska tradycja humanistyczna pod jednym wszakże względem wyprzedziła o wiele stuleci Europę. Mam na myśli tolerancję religijną. Indie mogą się poszczycić niezwykłym dokumentem powstałym w III wieku przed Chrystusem. Jest to tekst *Orędzia XII*, którego autorem jest król Pijadasi, zwany Aśoką, wnuk sławnego Czandragupty z dynastii Mauriów. Ten dokument ułatwia Hindusom zrozumienie i zaakceptowanie działalności ojca Mariana. Zwłaszcza jeśli chodzi o dialog. Dlatego przytaczam go w całości.

„Miły Bogom Król Pijadasi okazuje szacunek wyznawcom wszystkich religii i wszystkim wspólnotom wyznaniowym: dla mnichów wędrownych, żyjących z jałmużny, jak też dla ludzi świeckich, należących do tych wspólnot, ma szczodrą rękę i w różny sposób daje dowód swojej czci. Jednak Miłemu Bogom nie tyle chodzi o obdarzanie i okazywanie czci, ile o wzrost wartości moralnych we wszystkich religiach. Taki wzrost wartości moralnych ma różne postacie. Ale źródłem jego jest powściągliwość w mowie, taka mianowicie, by nie wychwalano bez potrzeby własnej religii ani nie ganiono doktryn innych religii bez potrzeby oraz aby to czyniono z umiarem, gdy zachodzi potrzeba. Gdyż z tego czy innego względu wszystkie religie zasługują na szacunek. Tak postępując podnosi się własne wyznanie, a jednocześnie innym wyznaniom oddaje się przysługę. Czyniąc zaś inaczej, szkodę się wyrządza własnej religii i krzywdzi inne. Bo kto wynosi swoją wiarę, a poniża inne jedynie dla miłości swojej religii, z myślą o wysławianiu własnej religii - myśli, że czyniąc tak dodaje chwały własnej religii, lecz w ten sposób szkodzi własnej religii. Dlatego jest dobrą rzeczą obcowanie ludzi różnych wyznań — po to, by przez to ludzie poznawali wzajemnie swoje doktryny religijne i chętnie słuchali nakazów moralnych innych wyznań. Toteż, życzeniem Miłego Bogom jest, by ludzie wszystkich wyznań poznawali wiele doktryn moralnych i pouczali, jak się czyni dobrze. Niech wyznawcy każdej religii głoszą: »Miły Bogom nie tyle dba o dary i okazywanie czci, ale pragnie tego, aby szeroko krzewiły się wartości moralne we wszystkich wspólnotach religijnych«"

Król Aśoka - *Orędzie XII*
(Tł. Jadwiga Makowiecka)

Aśram misji katolickiej w Puri to nie tylko kościół i centrum dialogu. Na terenie posesji znajduje się też przychodnia lekarska „*St. Arnolds Health Centre - Catholic Church* - Puri". Prowadzi ją z ramienia ojca Mariana bramin, doktor Mahapatra, który z konieczności - chociaż jest specjalistą w zakresie leczenia trądu - musi swą codzienną praktyką objąć wszystkie działy medycyny, od pediatrii po chirurgię i psychiatrię. W przyjmowaniu chorych i udzielaniu pomocy wspiera doktora Mahapatrę siostra Cyryla, szarytka. To ona właśnie pokazała mi pod mikroskopem preparat tkanki zarażonej trądem. Okropny w swej istocie ten *corpus delicti* był bardzo malowniczy. Mógłby służyć za wzór malarzowi - taszyście. W przychodni wisi portret Mahatmy Gandhiego, Papieża Jana Pawła II, patrona lecznicy bł. Arnolda Janssena oraz oleodruk przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem i gołąbkami taki sam jak w wielu wiejskich izbach w Polsce. Miły nastrój przychodni podkreślają też obrazki z widokami natury. Ośrodek przyjmuje codziennie wielu potrzebujących pomocy. Niektóre zabiegi przeprowadza się na miejscu, a w razie konieczności odsyła się pacjentów do szpitala. Odpłatność za wizytę zależy od możliwości finansowych petenta. Większość przyjmowana jest za darmo.

Również na „planowanym deficycie" działa przy misji „Ośrodek Planowania Rodziny". W ciągu kilku lat wydał ponad siedemset legitymacji, co świadczy o dużym zainteresowaniu środowiska i jego poparciu. Członkami Ośrodka są zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Pogadanki prowadzi i porad udziela doktor Mahapatra wraz z instruktorką, dobrze wykształconą w zakresie naturalnego planowania rodziny, z wyznania baptystką. Krąg uczestniczek poszerza się, gdyż przeważnie członkinie przyprowadzają swoje znajome, przez co utrwala się poczucie kobiecej solidarności.

Tradycja hinduska oczekuje od kobiety - podobnie jak w krajach muzułmańskich - licznego potomstwa, bo w Indiach ilość dzieci w rodzinie świadczy o błogosławieństwie bożym. A któż chciałby ograniczać je do jakiegoś minimum? Jak więc wobec tego pogodzić tradycję ze świadomością człowieka współczesnego i obywatela, a nawet z sumieniem? Jest to rzeczywiście trudny do rozwiązania splot i to w skali całego kraju. Misja katolicka w Puri pragnie dopomóc w jego rozwiązaniu.

Podczas zebrań i pogadanek zorganizowanych przez Ośrodek Planowania Rodziny liczni słuchacze i słuchaczki dowiadują się również, że kobieta nie jest jedynie maszyną do dawania satysfakcji mężczyznom i do rodzenia dzieci, ale należy szanować jej poczucie godności i prawo do decydowania. Oraz do osobistego szczęścia.

W skoroszycie ojca Mariana natrafiłem na kopię listu pisanego do Ośrodka Misyjnego Księży Werbistów w St. Augustin w RFN. Znalazły się w nim takie słowa:

> „Nie wystarczyłoby, abyśmy naszą pracę w Puri ograniczyli do apostolstwa wśród trędowatych i biedaków. Radosne posłannictwo musi być głoszone. Było to podstawą do urządzenia centrum dyskusyjnego na naszym poletku misyjnym, aby mieć płaszczyznę, na której moglibyśmy dojść do bezpośredniej styczności w głoszeniu nauki Chrystusowej naszym braciom — Hindusom... I stało się coś cudownego: została usunięta bariera pomiędzy chrześcijaństwem i hinduizmem. Spodziewam się, że na zawsze".

Ojciec Marian jest członkiem tutejszego Towarzystwa Kulturalnego, którego celem jest szerzenie i pogłębianie wiedzy ze wszystkich dziedzin wśród możliwie największej ilości mieszkańców miasta. W Centrum Poszukiwania Prawdy prowadzone są lekcje języków obcych, samokształcenie poprzez lektoraty, prelekcje i pogadanki na różne tematy. Często spotkania takie uzupełniane są projekcją filmu lub przeźroczy.

Władze zapraszają też ojca Mariana na zebrania i wykłady różnych hinduskich stowarzyszeń, takich jak np.: *Sai Baba Society*, *Brahma Kumaris Society*, czy *Ram Kriszna Mission.* Dwa pierwsze mają na celu szerzenie idei czystości obyczajów religijnych. Trzeciemu patronuje wielki reformator hinduistyczny, zaś jego członkowie realizują ideę zakonów chrześcijańskich, widząc w nich godny naśladowania przykład. Stosują też w swojej działalności nowoczesne urządzenia techniczne. Ojciec Marian wygłasza prelekcje o prawdzie i jej znaczeniu dla poziomu moralnego społeczeństwa, o rzetelności, o obowiązkach społecznych obywatela, o godności człowieka i prawie do nauki, o tolerancji religijnej, a także o Panu Jezusie, o Jego życiu i działalności apostolskiej, przyrównując ją do działalności licznych hinduskich *guru*, którzy zyskali sobie prawo do tego, aby ich nazwiska zapamiętała historia. Po referacie zwykle trwa ożywiona dyskusja.

Nasz misjonarz jest także czynnym członkiem Komitetu Pomocy Dzieciom w okręgu Puri.

Władze miejskie zawsze zapraszają ojca Mariana do pomocy przy organizowaniu świąt narodowych i okolicznościowych. Uroczystości dla uczczenia Dnia Republiki - 26 stycznia, Dnia Niepodległości —15 sierpnia - odbywają się na placu zwanym Gandhi Ghat, i wówczas przedstawiciele wszystkich wyznań odczytują lub wygłaszają swoje „wyznanie wiary", najczęściej jako cytaty ze świętych ksiąg: z *Gity*, z *Koranu*, *ze Starego Testamentu.* Ojciec Marian przytacza najczęściej jakiś fragment z *Ewangelii,* taki, który wraz z krótkim komentarzem wydaje mu się odpowiedni na daną okazję. W czasie powodzi, suszy czy epidemii ściśle współpracuje z władzami miasta i okręgu. Zwykle prosi o wyznaczenie mu najtrudniejszego odcinka. Nie tłumaczy - zresztą nikt go o to nie pyta - jakie środki zamierza zmobilizować, aby zagrożonym ludziom przyjść z pomocą. Wszyscy wiedzą, że środki znajdzie i że nie zawiedzie.

- *Dżisu Kibari* - to znaczy w języku *hindi* „Niech będzie pochwalony Jezus".

Tymi słowami powitał ojca Mariana młody mężczyzna, katolik, który przyszedł właśnie do misji ze swoim siedmioletnim synkiem. Dziecko trzymało czarną tabliczkę z przywiązanym do niej rysikiem. Ojciec Marian zaprosił gości do kancelarii, usiadł przy biurku, wziął chłopczyka na kolana, następnie wsadził rysik w jego rączkę i trzymając ją w swojej dłoni wspólnie z dzieckiem napisał na tabliczce tylko jedno słowo: „Julu" - czyli Józio. Imię chłopca. Pierwsze słowo, jakie Julu napisał w życiu.

Jest to stary hinduski zwyczaj. Bezpośrednio przed pójściem do szkoły, przed pierwszą lekcją pisania, rodzice wraz z pierwszoklasistą idą do *guru*, którego uznają za najbardziej godnego szacunku, aby jego ręka poprowadziła rękę dziecka do napisania pierwszego słowa na tabliczce lub w zeszycie. Jest to symbol nadziei, że siła umysłowa i moralna *guru* będzie towarzyszyć dziecku i wspierać je przez całe życie.

W jednym z osobistych notatników ojca Mariana - zapewne służącym do przygotowywania kazań - znalazłem takie refleksje:

> „Zycie chrześcijanina polega na naśladowaniu Chrystusa. Praca misjonarza szczególnie tego wymaga, aby naśladować Chrystusa - Zbawiciela, Chrystusa — Kaznodzieję, Chrystusa - Nauczyciela, Chrystusa - Uzdrowiciela i tego Chrystusa, który jest Świadkiem Swego Ojca. Chrześcijaństwo jest religią odmienną od wszystkich innych. Zgodnie z jego doktryną nie ludzie szukają Boga, ale Bóg poszukuje człowieka. Być chrześcijaninem - to znaczy poczuwać się do odpowiedzialności jednych za drugich. Być misjonarzem — to znaczy wziąć na siebie z pełną świadomością ciężar tej odpowiedzialności i dążyć do udziału w cierpieniu Chrystusa ze względu na Jego Ciało, którym jest Kościół. To znaczy - być świadomym wszystkich potrzeb ludzkości. W krajach wyzwolonych z kolonialnej zależności misjonarze mają pomagać nowym Kościołom w osiągnięciu prawdziwej dojrzałości. Misjonarz więc jest opiekunem, kimś

do pomocy. Wiosłuje na płynącej łodzi, ale nią nie steruje. Papież Benedykt XV powiedział: »Kościół katolicki nie jest ani łaciński, ani grecki, ani słowiański, lecz uniwersalny. Ten Kościół musi ukazać się hinduski w Indiach, chiński w Chinach, japoński w Japonii. Nie ma innego sposobu, jeśli ma spełnić rolę, jaką mu wyznaczył Bóg-Człowiek«".

Trudno powiedzieć, czy ojciec Marian swoim przykładem i działalnością bardziej zbliża Chrystusa do ludzi, czy ludzi do Chrystusa. Ale czy to ważne? Ważne jest, że rozpoczęty dialog trwa, że toczy się na różnych poziomach i sięga coraz głębiej w sumienia ludzi, że zatacza coraz szersze kręgi. Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić, że raz po raz natrafia też na ostre zakręty, a czasem nawet prowadzi nad przepaścią. Powiedziałem już, że działalność ojca Mariana jest nieustannie obserwowana zarówno przez władze, jak i przez zwykłych ludzi. Jeden nierozważny krok mógłby zniszczyć osiągnięcia całego życia. Zniszczyć nawet w sensie dosłownym, bo rozwścieczony tłum jest zawsze ślepy, bezmyślny i okrutny. Są i w Indiach ekstremiści, faszyzujący lewacy i fanatycy, którzy najbardziej boją się „nawróceń". Posądzają misjonarzy, że przekupstwem, presją i szantażem odciągają biedaków od ich prawowitej wiary. Oni woleliby, aby nikt nie leczył trędowatych, nikt nie pomagał biednym, kalekim, chorym i samotnym. Według nich byłoby lepiej, aby umierali trędowaci i biedacy, żeby przestali wreszcie swoją obecnością psuć wymarzony, czysty pejzaż ich kraju. Ludzie o takiej „moralności" bywają zwykle najbardziej niebezpieczni, jak zresztą wszyscy, którzy brak własnego programu zastępują zazdrością i nienawiścią, a dobroć i bezinteresowność nazywają przekupstwem. Ale cóż, każdy misjonarz podejmując pracę zdaje sobie sprawę z ryzyka.

Czego najbardziej obawia się misjonarz? Wyrzutów sumienia, że czegoś nie dopełnił, coś przeoczył, o czymś zapomniał, czegoś nie dopilnował, że nie potrafił znaleźć argumentów, aby rozwijać czyjeś wątpliwości. Boi się własnej, ludzkiej słabości, uczucia osamotnienia, zwątpienia i apatii, szarpiącej nostalgii, która potrafi załamać słabszych duchem, okazać się silniejszą nawet od przekonania o idei posłannictwa. Obawia się choroby, a także nieoczekiwanej, bo wyrosłej z obcej mu mentalności reakcji ludzi.

Moim zdaniem ojciec Marian znalazł najwłaściwszą metodę walki ze słabością: zrobił wszystko, aby środowisko w Puri jak najbardziej przestało go uważać za obcego. Postarał się wejść możliwie najgłębiej między ludzi, zrozumieć ich i samemu być rozumianym, tak by ludzie nie widzieli w nim intruza, ale by go zaakceptowali. I tak się stało. Z Bożą pomocą i łaską.

Mówi ojciec Marian: - Nieraz ludzie zadają mi takie pytanie: „Jak wielka jest twoja parafia?" Ma ona, odpowiadam, w samym tylko Puri sto dziesięć tysięcy parafian, a wśród nich jest szesnaście tysięcy kapłanów. Kapłanów świątyni Dżagannathy. Bo przecież oni wszyscy należą do mojej parafii. Jestem, być może, jedynym proboszczem w Indiach, który ma przy sobie aż szesnaście tysięcy duchownych - *panelów*. Ja też jestem jednym z nich. Jestem *panda*. Tylko że chrześcijański.

Mam przed sobą zwykły — ale i niezwykły - dokument. Jest to pismo urzędowe o przedłużeniu dzierżawy, czyli prawa użytkowania przez dalsze dwadzieścia lat terenu, na którym znajduje się szkoła dla dzieci z rodzin trędowatych, obiekt zbudowany przez ojca Mariana i będący pod jego osobistym patronatem. Jeden z fragmentów tego dokumentu przytoczę w całości:

„Właścicielem posesji jest dyrektor Urzędu Miejskiego w Puri. Dzierżawcą jest Rzymskokatolicka Diecezja Kataki - Bhubaneszwar reprezentowana przez członka jej zarządu ojca Mariana Żelazka, SVD, lat 66, syna Stanisława, przynależność kastowa bramin, zawód: kapłan, adres *Catholic Church*, Puri, Church Road, Puri, Orisa" (podkreślenia J.K.).

Trudno nie zadumać się przez chwilę nad treścią tego pisma. Nie chodzi o fakt przedłużenia dzierżawy, bo jest to rutynowa formalność. Zastanawia natomiast, że w państwowym dokumencie, wystawionym przez państwowy urząd, jest podana przynależność kastowa, skoro konstytucja indyjska zniosła kastowość i nie uznaje jej prawnie. Mimo to cieszy przyznanie ojcu Marianowi prawa używania tytułu „bramin", najwyższego szczebla drabiny społecznej Indii. Pamiętajmy: ojciec Marian urodził się w rodzinie chłopskiej, a więc zgodnie z obyczajową tradycją Indii należałby do kasty *vaisia*, trzeciej w hierarchii. Przynależności kastowej zmienić nie można. Jemu się to jednak przydarzyło. Przyznano mu prawo do najwyższego zaszczytu. To po pierwsze.

A po drugie: „Church Road" to znaczy „Ulica Kościelna". Nazwa ta na oficjalnym dokumencie była zaskoczeniem i dla ojca Mariana, bowiem dotychczas ulica, przy której jest położona posesja misji katolickiej, nazywała się „Clerc Road" - „Ulica Urzędnicza".

Ojciec Marian i wielki bramin

Właśnie tą ulicą od strony centrum miasta ku kościołowi idą dwaj mężczyźni. Jednego znamy. To ojciec Marian. Kim jest ten drugi? Niewysoki,

łysy, o poważnej, zaokrąglonej twarzy. Ma na sobie białą szatę, która z daleka przypomina starorzymską togę. I to zwykłą, nie senatorską, bo senatorskie były bramowane purpurą. Ależ tak, poznaję! Obok ojca Mariana idzie sam najwyższy kapłan świątyni boga Dżagannathy, wielki bramin, pan Bhitardża Maka Patra. Obaj panowie wchodzą przez bramę na teren misji i kierują się do kancelarii. Tam ojciec Marian prosi gościa, aby usiadł w wygodnym fotelu, a kucharza - także bramina, tylko niższego stopnia - prosi o podanie kawy i czegoś słodkiego.

- Ilekroć ojca odwiedzam - mówi wielki bramin - zawsze mam wrażenie, że mu zabieram czas. Ojciec jest tak bardzo zajęty.

- A ja zawsze bardzo się cieszę — odpowiada ojciec Marian - i każdej pana wizyty oczekuję z radością.

Wielki bramin patrzy przez chwilę z uwagą na ojca Mariana.

- Muszę ojcu powiedzieć, proszę się nie gniewać za szczerość, że ilekroć tędy przechodzę, spoglądam na nowy kościół z mieszanymi uczuciami. W zasadzie podoba mi się założenie architektoniczne, jego proporcje i tak dalej, ale nie ma w nich mistyki, tej mistyki, jaką się wyczuwa patrząc na świątynię hinduską. Proszę mi wybaczyć.

- Ma pan rację - powiedział ojciec Marian. - Mistyka naszego kościoła zawiera się w jego symbolach. Czy gdy pan patrzy na niego nie przypomina się panu namiot, który każdemu przechodniowi oferuje schronienie? Albo łódź, jaką wszyscy płyniemy do tego miejsca, gdzie czeka na nas Bóg?

- A wie ojciec... - ożywił się wielki bramin - że teraz, kiedy mi ojciec to powiedział... Rzeczywiście, ten kościół ma coś z namiotu i z łodzi. Tak, ma ojciec rację. Rozpięty żagiel i namiot mają w sobie coś wspólnego.

Kucharz przyniósł kawę, filiżanki i bardzo słodkie hinduskie ciasteczka, oblane różnokolorowym lukrem.

Wielki bramin zauważył stojącą na biurku oszkloną szkatułkę, w środku której znajdowała się fotografia ojca Mariana, ozdobiona srebrnymi łabędziami i sztucznymi kwiatkami. Całość miała charakter apoteozy w ludowym stylu.

- Widzę - powiedział wielki bramin - że mój prezent, który dowodzi mego szacunku dla ojca, znalazł miejsce w gabinecie jego pracy. Ja również mam blisko siebie podarunek, jaki otrzymałem od ojca, i bardzo go sobie cenię.

- Miło mi - powiedział ojciec Marian.

Wielki bramin przez moment sprawiał wrażenie, jakby z rozproszonych myśli chciał wyłowić jedną.

- Wiem, że rozszerza ojciec swoją działalność na terenie koloni trędowatych-powiedział, nie przydając słowom żadnego odcienia uczuciowego.

- Leczymy ich, ale przybywają nowi.

- Tak, to wielki problem. Oni przeważnie są prymitywni, ci trędowaci. Sprzedają otrzymane lekarstwa i często postępują tak, mówiono mi, jakby lekceważyli swoje położenie. Bóg pokarał ich nie tylko chorobą, ale też niskim stanem umysłu.

- Pan wie - powiedział ojciec Marian - że Bóg jest jeden i do Niego należy decyzja w sprawie losu człowieka. My zaś, Jego głos na ziemi, nie możemy przejść obojętnie...

- My także nie pozostajemy obojętni. Wskazujemy ludziom sposoby na uzdrowienie duszy. Dusza człowieka bardziej należy do Boga niż ciało. Troszczymy się przede wszystkim o dusze. - Sięgnął po jedno z ciasteczek i zjadł ze smakiem.

Ojciec Marian nie przerywał milczenia. Niejednokrotnie rozmawiając z wielkim braminem miał okazję poznać jego zainteresowania sprawami kultury, religii i moralności. Obaj znali granice tego dialogu, dlatego też unikali spraw doktrynalnych, poprzestając na takich, co do których wyrażali podobne lub identyczne poglądy. Na przykład na temat współczucia, miłosierdzia i szacunku dla człowieka jako istoty stworzonej przez Boga. Wielki bramin traktuje miłosierdzie jako sposób na oczyszczenie duszy, jako jedną z form koniecznej ofiary na poczet nagrody, oczekującej człowieka miłosiernego w kolejnym wcieleniu. Działalność charytatywną ojciec Marian ocenia więc z innej perspektywy. Wielokrotnie już o tym rozmawiali.

- Ja wiem — powiedział wielki bramin — że ojciec ofiarowuje siebie biedakom i nieszczęśliwym tak samo jak Jezus ofiarował swoje życie za grzechy ludzi. Ale, proszę ojca, według mnie śmierć Jezusa na krzyżu to obraza dla Boga. Proszę wybaczyć, ale tu widzę sprzeczność w waszej religii.

- Sprzeczność? - zdziwił się ojciec Marian.

- Tak. Bo albo Jezus był Bogiem, a w takim razie nie mógł zostać ukrzyżowany przez ludzi, albo nie był Bogiem, tylko człowiekiem. Przyznaję, człowiekiem głęboko natchnionym, wielkim *guru*, takim jak Budda czy Mahomet. Jeśli więc nie był Bogiem, to Żydzi mogli ukrzyżować zamiast Jezusa kogoś innego, takiego, który przez swoją działalność był dla nich niebezpieczny. Każdy człowiek, który w jakimś kraju głosi obcą dla niego doktrynę, staje się niebezpieczny. A gdy jeszcze znajduje słuchaczy, niebezpieczeństwo wzrasta, co powoduje nieuniknione konsekwencje.

Ojciec Marian nadal patrzył na gościa z uprzejmą uwagą.

- Czy ojciec wie - ciągnął wielki bramin — że zanim Jezus rozpoczął głosić swoją naukę w Palestynie, prawdopodobnie przebywał w Tybecie i w Indiach?

- Słyszałem o tym - wtrącił ojciec Marian.

- W nauce Jezusa można spotkać akcenty zaczerpnięte i z buddyzmu, i z dżynizmu, i z naszej rełigii. Kto wie, jeśli to prawda, może przebywał nawet w Puri, które od zawsze było ośrodkiem ruchu umysłowego.

- To bardzo piękna legenda - powiedział ojciec Marian - i w niczym nie umniejsza wartości Jego nauki. Jedno jest bezsporne: jeśli nawet przebywał kiedyś w Puri, to teraz znów tu powrócił.

- Z pewnością ucieszył Go ten piękny dom, jaki ojciec Mu wybudował - powiedział wielki bramin i lekko pochylił głowę.

Mówiąc o domu Jezusa miał na myśli nowy kościół, ale ja wiem, i wiedzą o tym wszyscy ci, którzy odwiedzają Puri, że ojciec Marian postawił Jezusowi w tym świętym mieście hinduizmu stokroć trwalszy pomnik: zaszczepił w wielu ludzkich sercach i sumieniach przekonanie, że człowiek może być dobry, że naprawdę jest zdolny kochać swego brata nawet bardziej niż samego siebie.

Otworzyć drzwi Jezusowi

Pragnieniem ojca Mariana jest, aby możliwie jak najwięcej drzwi otworzyć dla Jezusa. Służą temu celowi także modlitwy wieczorne, odbywające się, według z góry ustalonego harmonogramu, w prywatnych domach katolików. Obowiązek ten spełnia również ojciec Tomasz, młody ksiądz hinduski, wyświęcony przed kilkoma laty, werbista. W cotygodniowych odwiedzinach uczestniczą też siostry szarytki - najbardziej ofiarne współpracowniczki misji katolickiej.

Dzisiejszego wieczora przypada kolej na dom Petera, zatrudnionego przy parafii jako kierowca. Ojciec Petera jest hinduistą, a matka katoliczką. Ojciec za to, że żył z kobietą obcej wiary, został wyrzucony z rodziny. Odium narastało stopniowo, nasilało się i dręczyło coraz mocniej. Był to rodzaj powolnych tortur - winny dłużej i bardziej cierpiał. Ojciec Petera nie mogąc już znieść tego upokorzenia - zaczął pić. Pewnego dnia - mając już troje dzieci - porzucił dom. Uciekł-i jak tysiące podobnych mu rozbitków - zaczął szukać jakiejś, choćby chwilowej, przystani, imając się dorywczych zajęć, aby tylko przeżyć bodaj jeden kolejny dzień. Czasem znalazł nocleg pod dachem, ale najczęściej spał byle gdzie. Podczas jednej z kolejnych podróży „za chlebem", chyba do zachodniego Bengalu, ojciec ostatecznie porzucił rodzinę i przepadł. Zniknął. Rozpłynął się w anonimowym tłumie.

Na dworcu głównym w Kalkucie, zupełnie przypadkowo, siostra Klara ze zgromadzenia Matki Teresy zauważyła płaczącą kobietę z trojgiem dzieci. Dała chwilowe schronienie, uspokoiła, nakarmiła. Po jakimś czasie siostra Kłara napisała do ojca Mariana z zapytaniem, czy mógłby zaopiekować się tą porzuconą przez męża i ojca rodziną. Ojciec Marian zgodził się, więc matka Petera przyjechała do Puri i zaczęła pracować u sióstr szarytek, pomagając w codziennych zajęciach. Ponieważ Peter był najstarszy, ojciec Marian pomyślał, że może mu dać pracę i stały zarobek, aby rodzina miała z czego żyć. Posłał go na kurs szoferski. Przez kilka lat wspólnej pracy matka i syn uskładali skromne oszczędności. Ojciec Marian dopomógł im finansowo w kupnie małego domku niedaleko stacji kolejowej. Mógł to zrobić dzięki funduszowi ustanowionemu przez holenderską rodzinę państwa Bijenen, tych samych, którzy sfinansowali budowę urządzeń rekreacyjnych w szkole Beatrix przy kolonii trędowatych.

Peter sam się zgłosił - wraz z dwoma młodszymi braćmi - do ojca Mariana z prośbą o udzielenie im chrztu świętego. I ojciec Marian, po okresie przygotowań, spełnił tę prośbę. Obserwując Petera i jego rodzinę doszedł do wniosku, że może tego aktu dokonać nie narażając swego sumienia na wątpliwości.

Domek pani Rao i jej dzieci jest mały, typowy dla tej ubogiej kategorii społecznej, ale czysty i zadbany, w przeciwieństwie do innych w tej dzielnicy, zaśmieconych, brudnych, a często wręcz obskurnych. Ostatnie deszcze monsunowe zalały teren między wejściem i drogą, ale dzięki sporym kamieniom udało nam się dotrzeć do progu nie zamoczywszy nóg. Przedpokój, dwa pokoiki i kuchenka. W pomieszczeniu, gdzie odbywa się modlitwa, stała leżanka, maszyna do szycia i mały stoliczek, ale i dla wszystkich obecnych wystarczyło miejsca. Gospodyni i jej trzej synowie, dwie dziewczynki z sąsiedztwa, trzy siostry szarytki, dwaj bracia z męskiego zgromadzenia Matki Teresy i ja. W Europie takie zagęszczenie byłoby niemożliwe, ale przez kilka miesięcy pobytu w Indiach miałem możność setki razy przekonać się, że Hindusi są zdolni zmieniać swoją objętość w zależności od powierzchni, jaką mogą zająć. Kurczą się lub poszerzają. Najbardziej widać to w pociągach, autobusach, na rikszach i w samochodach. Na siedzeniu, gdzie z biedą zmieści się półtora Europejczyka, usiądzie wygodnie trzech Hindusów i będzie jeszcze miejsce dla czwartego. W takich wypadkach znów „świadomość określa byt". Wielokrotnie jechaliśmy z żoną rikszą motorową wraz z dwunastoma Hindusami!

W pokoiku na ścianie oleodrukowe obrazy Pana Jezusa, Matki Boskiej i Jana Pawła II. Obok Ukrzyżowany w hinduskiej girlandzie świeżych

kwiatów. Modlitwę - wszystkie części różańca - prowadzą kolejno: zakonnice, ksiądz Tomasz, synek gospodyni i dziewczynka z sąsiedztwa. Potem dwie pieśni, następnie ja mówię kilka słów o Polsce, o Krakowie i życiu religijnym w naszym kraju. Na koniec skromny poczęstunek: herbata z mlekiem, słodkie placuszki i rozmowa o sprawach codziennych.

Dojście do furgonetki oświetlaliśmy sobie latarkami. Ale nie wróciliśmy prosto do kościoła. Pojechaliśmy kilkaset metrów w bok, aby po pokonaniu ulicznych rozlewisk, w których buszowały psy w poszukiwaniu jadalnych odpadków w widocznych wszędzie kupach śmieci, stanąć w bocznej uliczce przed bramą parterowego domku. Mieści się w nim zakład opiekuńczy dla trzynastu chłopców chorych umysłowo. Placówkę prowadzą misjonarze miłości, męski konwent reguły misjonarek miłości Matki Teresy z Kalkuty. Zespół w Puri składa się z trzech braci zakonnych i czterech nowicjuszy. Przełożonym tego mini-klasztoru i najstarszym wiekiem, bo około trzydziestoletnim, jest brat Binod. Ten, który podczas Mszy świętej w kościele gra na malutkiej fisharmonii, prowadzi kilkunastoosobowy chór i komponuje pieśni śpiewane podczas nabożeństw. Brat Binod, chociaż jest kaleką — nie ma jednego oka - w całym swoim zachowaniu uzewnętrznia pogodę ducha, a nawet wesołość, zaś na jego łagodnej twarzy gości często ten sam uśmiech, który cechuje wszystkie bez wyjątku siostry Matki Teresy.

Dom - klasztorek i przytułek równocześnie - został oddany do użytku braci, misjonarzy miłości, przez archidiecezję Kataka-Bhubaneszwar. Budyneczek składa się z sypialni, kuchenki, małej kapliczki z figurą Najświętszej Maryi Panny, maleńkiej rozmównicy i dwóch pomieszczeń dla podopiecznych chłopców. Można sobie tylko wyobrazić, jak okrutny byłby ich los, gdyby nie znaleźli azylu w klasztorze braci. W Indiach - w przeciwieństwie, na przykład, do krajów arabskich - człowiek chory umysłowo nie jest uważany za „nawiedzonego". Bywa odtrącony, jak wszystko, co chore. Chore, a więc nieczyste. Hindusi okazują wyjątkową pogardę ludziom z odchyleniami psychicznymi, uważając, że są one sprawiedliwą karą bogów za wyjątkowe grzechy popełniane w poprzednich wcieleniach.

Reporterskie obserwacje

Nocna jazda po mieście to prawdziwa akrobacja. W razie wypadku winny jest zawsze kierowca. Aby uniknąć zderzenia, kierowca powinien

mieć jeszcze jeden dodatkowy zmysł oraz cztery pary oczu — także po bokach i z tyłu. Zwłaszcza w dzielnicy targowej, gdzie do późnej nocy można kupić świeże owoce, jarzyny i ryby. Stoją tu gęsto, jeden obok drugiego, stragany, czyli wózki różnych rozmiarów i budki-sklepiki, leżą wprost na ziemi płachty z towarem, palą się lampki karbidowe lub kaganki oliwne, mieszają się zapachy produktów żywnościowych z odorem gnijących śmieci i odchodów, kłębi się tłum dorosłych i dzieci, krów, psów i kóz... Dla Europejczyka to wszystko ma w sobie coś z atmosfery średniowiecza, ale taka jest współczesność Indii, nawet w wielkich miastach. Rowerzyści i rikszarze jeżdżą bez świateł. Leżące na ulicach krowy wyglądają jak kamienie. Niektóre domki i kramy oświetlone świeczkami lub lampkami oliwnymi sprawiają wrażenie stajenek betlejemskich, dokładnie takich, jakie tradycyjnie przygotowuje się na święta Bożego Narodzenie w Polsce. Niskie, gliniane ściany, dach pokryty słomą, tuż obok krowa, często dwie, czasem osiołek, a na środku, nierzadko w centralnym miejscu, matka w *sari* zarzuconym na głowę, z dzieckiem na kolanach albo leżącym na ziemi, obok ojciec w *dhoti*... Patrząc na taki obrazek ma się wrażenie, że wkrótce nadejdą pastuszkowie i Trzej Królowie...

Przypominam sobie o kolacji. Podchodzę. — *Namaste.* - *Namaste* — Daj mi, proszę, dwieście pięćdziesiąt gramów cukru, dwie paczki herbatników „Perle-G" i paczkę papierosów „Czarminar". - Dobrze, ale zaczekaj chwilę - mówi sprzedawca - bo teraz muszę się pomodlić.

Zapala kaganek albo pachnidełko, okadza nimi święte obrazki, następnie cały sklepik, puszkę z pieniędzmi, skrzyneczki z towarem, wagę i odważniki, wreszcie półeczki i schowki, woreczki z produktami. Potem, trzymając pachnidełko gestem modlitewnym między złożonymi dłońmi, kilkakrotnie pochyla głowę zwrócony do świętych obrazków, znów okadza puszki i worki z towarem, pudełko z pieniędzmi, wagę i odważniki i półeczki, szafki i schowki.

A co ja robię w takiej chwili? Nie mam innego wyjścia: odmawiam w myśli *Ojcze nasz* i trzy, cztery „Zdrowaśki". Odczuwam więź z tym człowiekiem, który mnie zachęcił do modlitwy i z którym modlę się - każdy po swojemu - wspólnie. Dotychczas nigdy w życiu nie modliłem się tak często. Trzeba było aż podróży do Indii, aby sobie to uświadomić. Kupiec nie wie, oczywiście, że i ja się modlę, ale czasem - choć rzadko - prowokujemy cud. Jedno jajko kosztuje jedną rupię. Dla mnie, obcego, bo dla tutejszego jajka są tańsze. - Daj mi, proszę, jeszcze pięć jajek - mówię. Wybierz sobie - kupiec wskazuje koszyk. Wybieram i podaję mu pięć rupii. Kupiec bierze pieniądze, przygląda się im z czułością i nagle mówi: — Weź sobie jeszcze jedno...

Podczas naszej długiej podróży przez Indie byliśmy nierzadko w miejscach bardzo oddalonych od tras turystycznych, a mimo to nie czuliśmy się zagrożeni mając przy sobie pieniądze, dokumenty i widoczny sprzęt fotograficzny dużej wartości. Nikt nas nie zaczepiał, nie prowokował, nie napadał. A przecież zupełnie tu samotni - byliśmy absolutnie bezbronni. Niech ta opinia będzie wyrazem naszego szacunku dla pokojowej tradycji Indii, tradycji, której ogromna większość obywateli pozostała wierna.

Ale w życiu codziennym Hindusi odznaczają się wyjątkowym brakiem litości zarówno dla ludzi, jak i dla maszyn, a można to zauważyć wszędzie i o każdej porze obserwując wszelkiego rodzaju pojazdy. Taki rikszarz na przykład: biedaczyna, chudzielec, szkielecik przewiązany szmatką, nie dość że sam na swoich patykowatych nogach dźwiga swój własny ciężar, to jeszcze musi wieźć na rowerze, którego przekładnia nigdy nie zaznała smarowania - trzech, czterech albo i pięciu dorosłych ludzi, często z bagażem, albo od sześciu do dwunastu dzieciaków w drodze do szkoły lub z powrotem, na dodatek z tornistrami zwisającymi po bokach rikszy jak grona owoców. Samochody są także przepełnione bez miłosierdzia. Dwunastu Hindusów w samochodzie czteroosobowym to widok tak powszechny, że zwraca uwagę tylko przez kilka pierwszych dni pobytu w Indiach. Bezlitośni są Hindusi zarówno wobec ciężarówek, jak i krów. Krowy czci się wprawdzie jako istoty święte, ale nie przeszkadza to ludziom zmuszać te nadprzyrodzone majestaty, ściśle ich partnerów - woły, aby ciągnęły wozy naładowane ponad ich przyrodzone siły. Chyba dlatego, że w przeciwieństwie do konia, woły nie protestują. Mają mniejsze poczucie godności. I tak ten łańcuch wyzysku obejmuje wszystko i wszystkich. Dla nas, turystów z Europy, jest to nie tyle niepojęte, ile wzbudzające niedowierzanie. Każdy z nas zadaje sobie pytanie: jaka jest granica wytrzymałości tego łańcucha i co się stanie, gdy pewnego dnia pęknie?

A może nie pęknie? Może wzmocni go prędzej czy później to coś głęboko ukrytego w naturze ludzkiej, co objawia się rzadko i z trudem, ponieważ istnieje jakby po przeciwnej stronie realiów życia, a nawet świadomości człowieka zajętego przede wszystkim walką o własną egzystencję.

Oto jeden z przykładów „tego czegoś”:

W bramie cmentarza chrześcijańskiego w Puri bezpańska suka wydała na świat sześcioro szczeniąt. Dzieci z pobliskich lepianek, dzieci nędzarzy, którzy nie wiadomo z czego żyją, położyły obok łupinę orzecha kokosowego i codziennie napełniały ją mlekiem ze swoich i tak bardzo skąpych racji. Zauważyły, że suka prawie nie ma pokarmu, bo jest zanadto chuda.

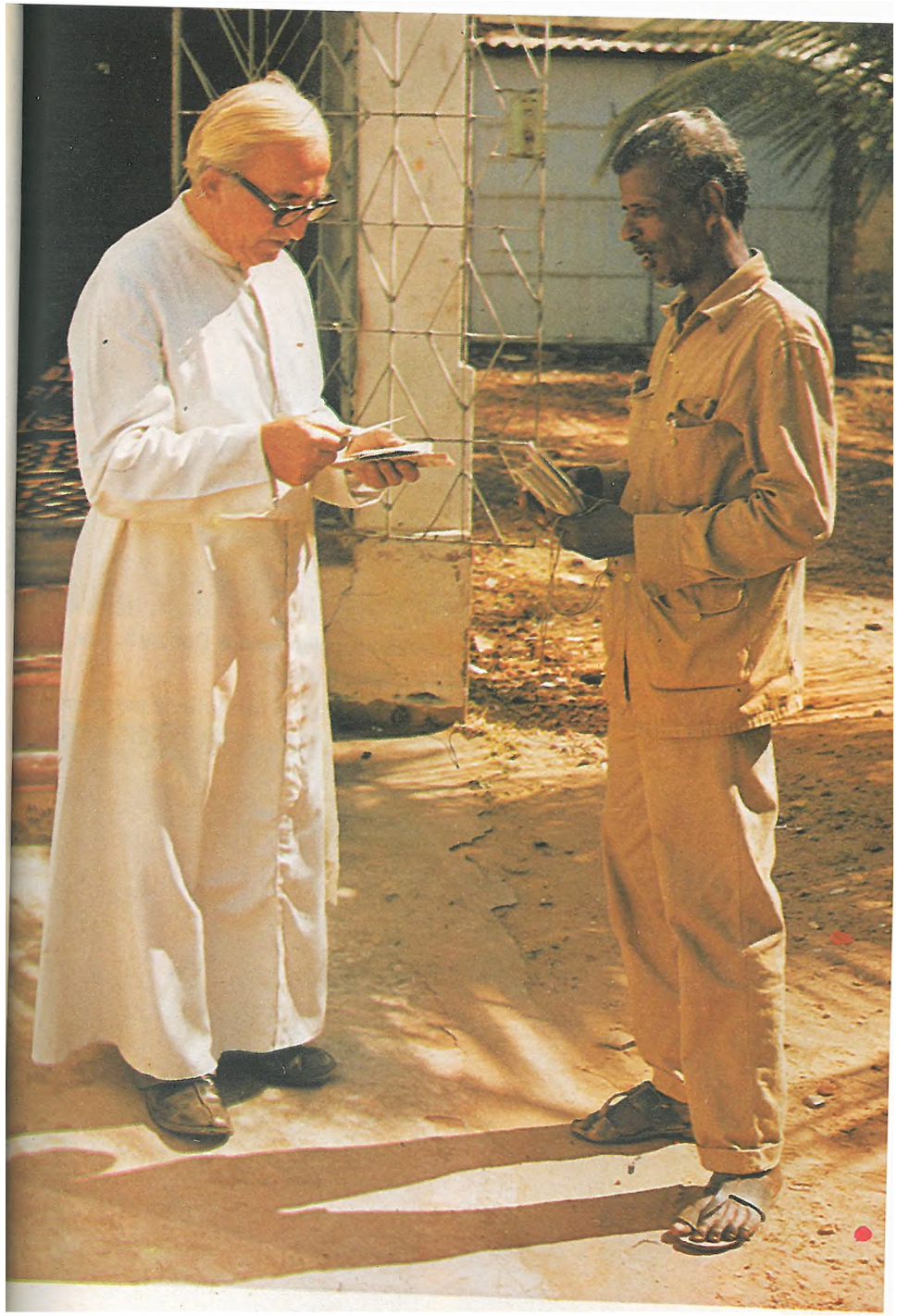

Puri. Ojciec Marian przyjmuje pocztę

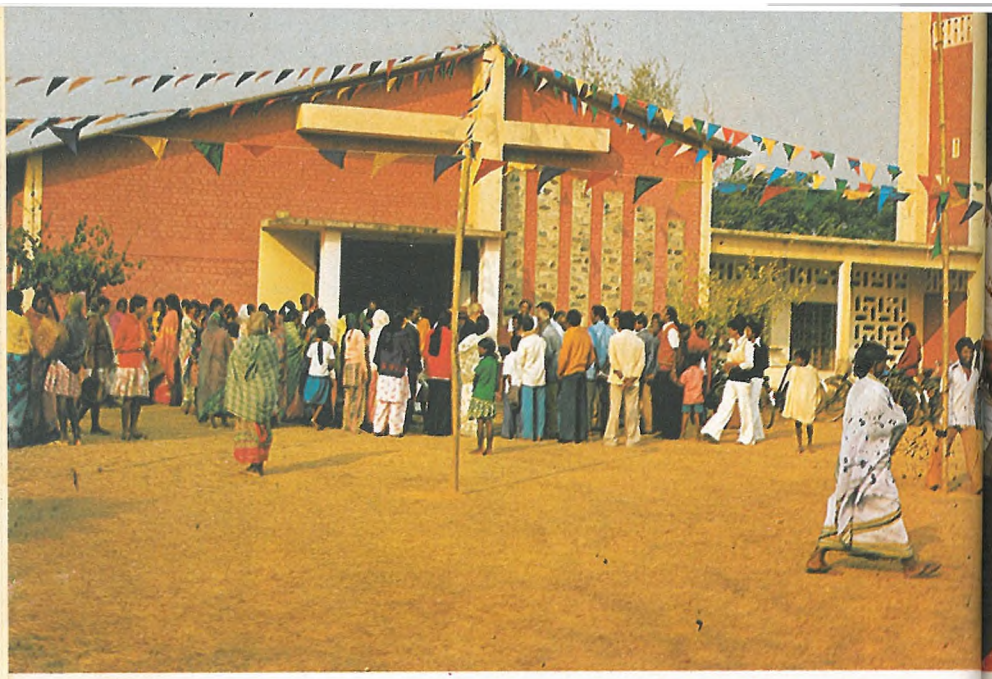

Kościół wybudowany przez o. Mariana na poprzedniej placówce w Bondamunda

Procesja podczas Mszy św. noworocznej

aplica MB Częstochowskiej w Bondamunda

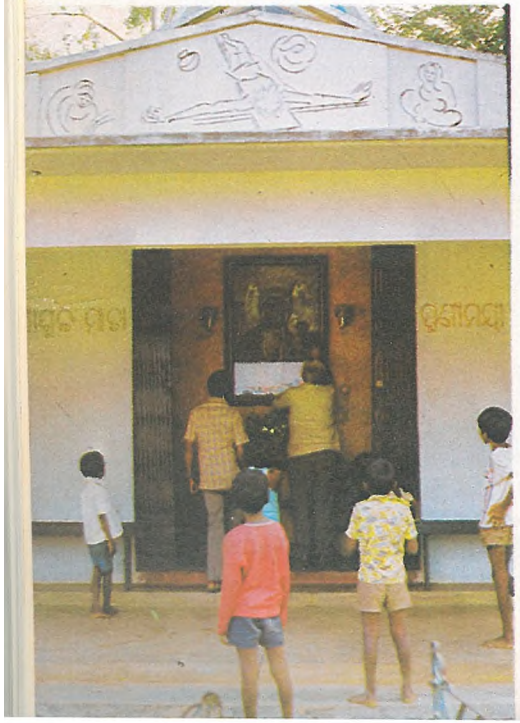

O. Marian w rozmowie z parafianami

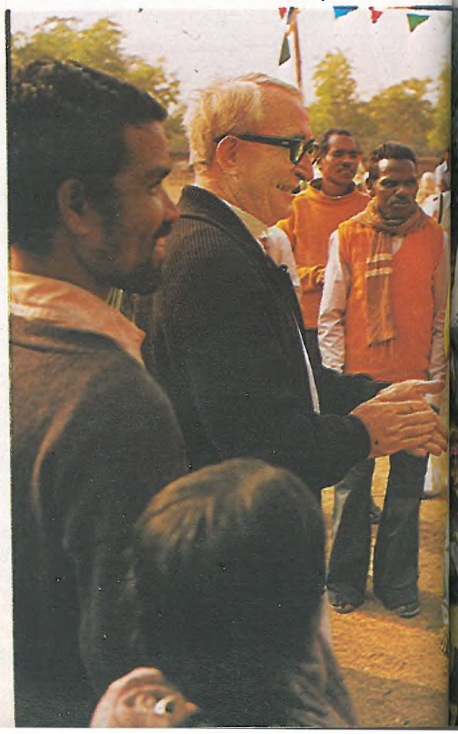

Spowiedź przed Mszą św.

Puri. Kościół nowo wybudowany przez o. Mariana

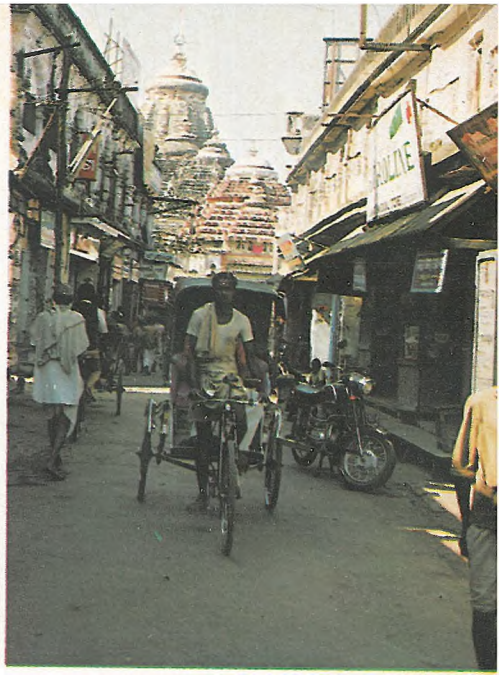

Ulica w Puri. W tle świątynia Dżagannathy

O. Marian ze swoim wychowankiem bp. Alfonsem Bilungiem

Ojciec Marian na tle nowego Domu Parafialnego

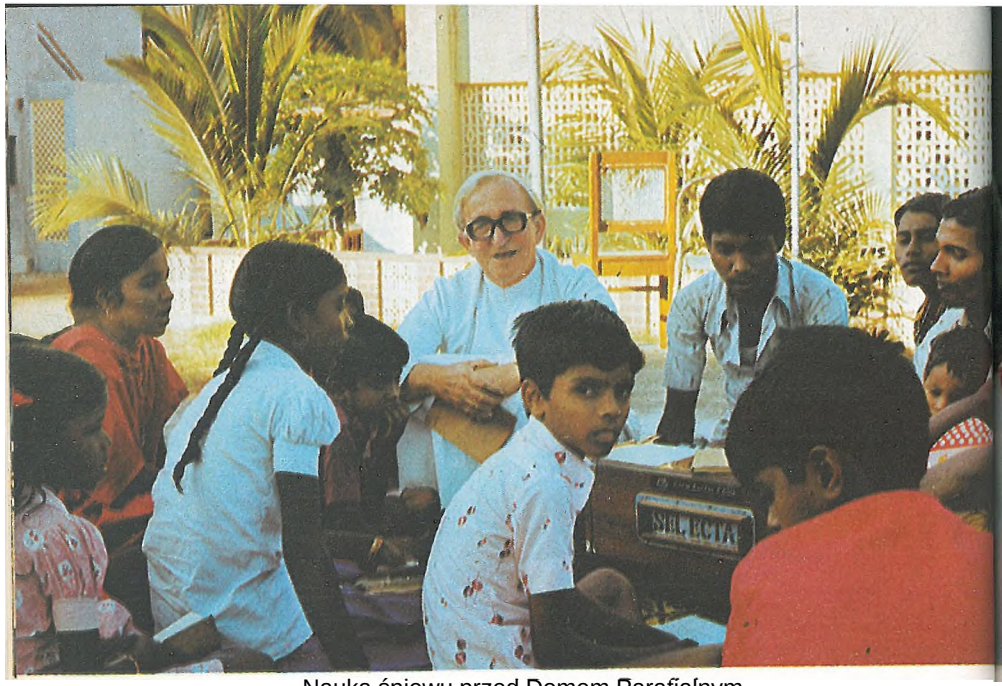

Nauka śpiewu przed Domem Parafialnym

Matka Julia i zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Szarytek w Puri

Boże Narodzenie w Puri. Spotkanie z młodzieżą po Mszy św.

Wypłata dla robotników budujących tamę w. Dobhar

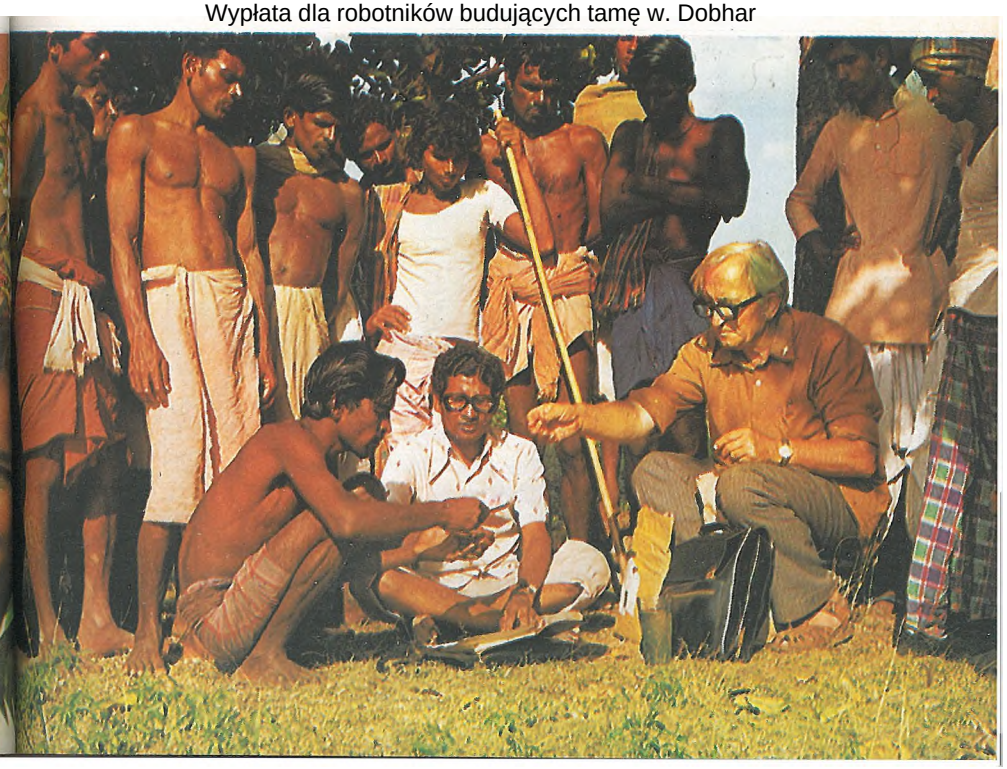

Puri. Centrum Poszukiwania Prawdy (Ośrodek dialogu)

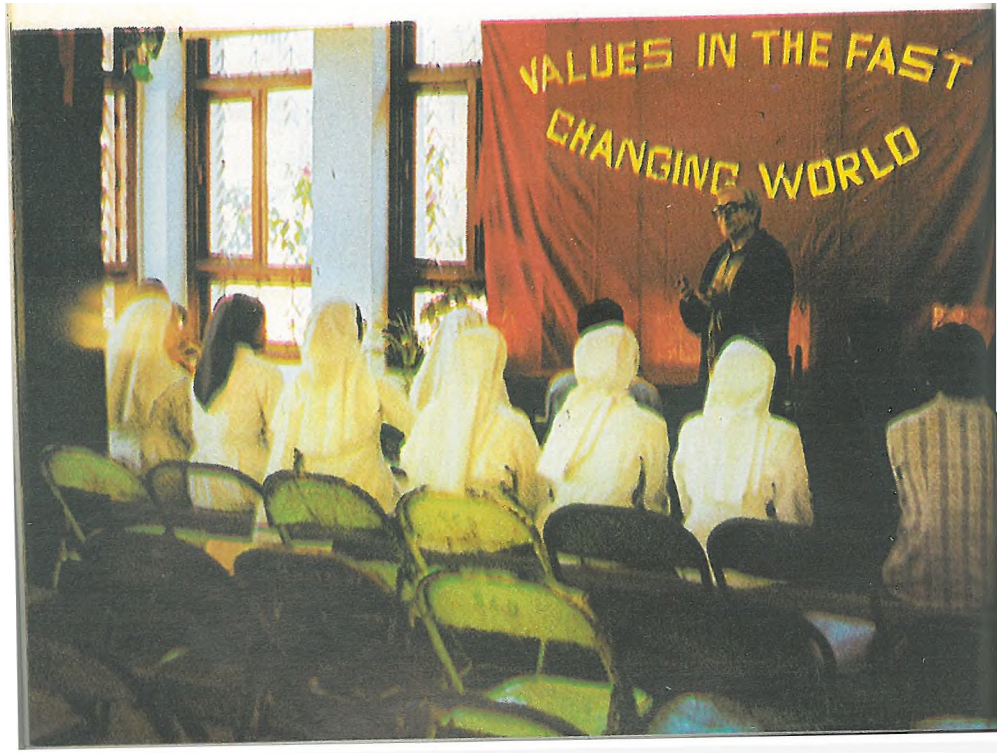

Ojciec Marian mówi: - Jestem pewny, że tym dzieciom nikt nigdy nie mówił ani o współczuciu, ani o litości, ani o miłosierdziu. Może też nikt im nie mówił o Bogu. Ale chyba właśnie w tym ich wrodzonym poczuciu miłosierdzia dla bezdomnych psów znajduje się nadzieja na uratowanie tego, co w nas wszystkich jest najcenniejsze: na uratowanie człowieczeństwa w istocie ludzkiej.

Nie mogę zasnąć, chociaż już dawno minęła północ. Za wiele wrażeń, przeżyć, za wiele pytań bez odpowiedzi. Wydaje mi się, że podświadomie czekam na coś. Ze jeszcze coś się zdarzy, czego nie powinienem przeoczyć. Bardzo często w podróżach po świecie podlegam takim przeczuciom. I na ogół mnie nie zawodzą. Rzeczywiście. Z daleka dolatują dźwięki muzyki: piszczałek, kołatek, bębnów, mosiężnych kastanietów. I rytmiczne pokrzykiwanie wielu ludzi. Czyjeś jednogłosowe pytanie i zbiorowa, skandowana odpowiedź. Hasło i odzew. Podchodzę do okna, rozsuwam zasłony. Migotliwy blask pochodni dociera do wnętrza naszego pokoju. Ulicą kroczy pochód. Niosą mary ze zmarłym na miejsce kremacji. Na czele pochodu zespół muzykantów przemieszany z tymi, którzy niosą zapalone łuczywa. Ich płomienie w panującej dookoła ciemności torują nieboszczykowi drogę prowadzącą do krainy, gdzie przebudzi się szczęśliwszy, niż był dotąd. Jakże mu zazdroszczą ci, którym się wydaje, że żyją! Życie wszakże jest tylko złudzeniem, które kończy się wraz ze śmiercią, kiedy to odzyskuje prawdziwe kształty. Kim i kiedy powróci znów do życia ten człowiek zmarły? I kto jest bliższy prawdy? Hindusi czy my, monoteiści, spadkobiercy Echnatona, Mojżesza, Chrystusa i Mahometa? Kto jest bliższy? Wie już o tym ten, którego krewniacy czy przyjaciele niosą właśnie na swoich barkach. Długi przedmiot, owinięty białym płótnem. Białym. A więc to mężczyzna.

Niektórzy specjaliści od zagadnień z pogranicza ducha i materii twierdzą, że Hindusi, aby się unowocześnić, muszą przestać wierzyć w *karmę* - skutki czynów z poprzednich wcieleń - podobnie jak muzułmanie muszą się wyzbyć pojęcia *kismet*-wiary w przeznaczenie. Inaczej nigdy nie dogonią współczesności. My, Europejczycy, przeciwstawiamy się przeznaczeniu, walczymy z nim. Uznając supremację Boga i mając świadomość, że naszą wolę winniśmy poddać Jego woli, odrzucamy przeznaczenie jako coś, co nas krępuje, ogranicza, poniża, paraliżuje. Rodzice chcą zapewnić dzieciom lepszy los niż ten, jaki im przypadł w udziale, dzieci pragną lepszego życia, niż mieli ich rodzice. Na tym polega postęp w rozumieniu Europejczyka od czasów starożytnych aż po współczesność. Większość Hindusów zgadza się na swój los. Nie dyskutuje z nim, nie walczy, bo nie może przeciwstawić się woli Bożej. Zgodnie z naszą etyką ojciec Marian pomaga-

jąc biedakom nie tylko że nie przeciwstawia się woli Bożej, ale ją wypełnia. No tak, ale my mieliśmy najpierw Prometeusza, a potem Jezusa na Golgocie. I ta ofiara przekształciła naszą świadomość. Wzbogaciła ją, rzucając wyzwanie. Ojciec Maksymilian Kolbe, występując z szeregu, nie wahał się ani przez chwilę.

„Tutaj są tacy ludzie, którzy opiekują się biednymi..”

Tu, w tropiku, dzień po nocy następuje tak prędko, jakby ktoś włączył światło.

Bogiem słońca jest Rama. Aby wrócił, trzeba go codziennie o to poprosić. Dołączam i ja swoje słowa do starohinduskiej melodii:

Rama, Rama, o Rama, Rama, usłysz wołanie,
Daj garść ryżu, nadzieję, trochę szczęścia nam żywym, a tym,
Co wracają do ciebie wodą Gangi przez ogień i dym,
Tym daj radość wieczności za ich ziemskie cierpienia,
Zlituj się, panie!

Prawie cały ten dzień spędziliśmy w kolonii trędowatych.

Bywa, że w dniu powszednim ojca Mariana następuje niemożliwa do przewidzenia komplikacja. Powodują to jakieś dwie albo trzy sprawy wymagające równoczesnego załatwienia. Człowiek w takiej sytuacji najczęściej chwyta się za głowę, aby jej nie stracić. Ale nie ojciec Marian.

Było już ciemno, gdy on, doktor Mahapatra, pani doktor Wanda Błeńska (postanowiła i w tym roku spędzić swój zasłużony urlop pomagając placówce w Puri) oraz siostry szarytki kończyli opatrywać ostatnich pacjentów oraz rozdawać lekarstwa w kolonii trędowatych. Kiedy ta stara kobieta usiadła przy schodkach wewnątrz przychodni, wyglądała jak kupka porzuconych szmatek, z leżącym obok drewnianym patykiem i brudną metalową miseczką. Ktoś poszukał ojca Mariana na terenie kolonii i powiedział, że przyszła właśnie jakaś bezdomna staruszka, z którą nie wiadomo co zrobić, bo nie mówi językiem *orija*, ale jego południowym dialektem, używanym w rejonie oddalonym od Puri o około trzysta kilometrów. Taki właśnie dystans przebyła ta stara kobieta. Ojciec Marian

pochylił się i położył jej rękę na głowie. Spojrzeli sobie w oczy; oczy nie kłamią... Gdy kobiecina wstała - z trudem, bo była bardzo znużona i chyba głodna - okazało się, że nie jest wyższa od dziesięcioletniej dziewczynki. Jak trafiła do kolonii? Zwyczajnie. Ktoś po drodze jej powiedział, że tutaj są tacy ludzie, którzy opiekują się biednymi. Kobiecina była absolutnie zagubiona i samotna na mapie tego ogromnego kraju - kontynentu, z którego wielkości nie zdawała sobie sprawy. Cały jej dobytek to te szmaty, kostur i naczynie z ryżem, które ktoś litościwy jej ofiarował. Będąc już blisko Puri posługiwała się jedynym kompasem: pytała ludzi spotkanych po drodze, gdzie jest takie miejsce, w którym opiekują się biednymi. I ludzie powiedzieli. Teraz oto stoi otoczona nieznajomymi, wśród których są i kalecy, i kobiety w białych strojach, i odczuwa lęk. Może to i dobrzy ludzie, ale obcy. I co z nią zrobią? Bo ona sama nie wie, co ma z sobą zrobić.

Po ukończeniu zajęć w kolonii wsadziliśmy staruszkę do ambulansu i pojechaliśmy w stronę domu szarytek. Jedna z sióstr głaskała staruszkę po głowie i uśmiechała się serdecznie, ilekroć napotkała jej niespokojny wzrok. Staruszka usiłowała odwzajemnić uśmiech, już nie miała w oczach uprzedniego lęku, czuła, że trafiła do ludzi, którzy chcą jej pomóc. W jaki sposób? O tym ojciec Marian wiedział od chwili, gdy pochylił się nad nią. Teraz pojedzie do szarytek, tam ją wykąpią i nakarmią, a jutro zostanie odwieziona do Bhubaneszwar, do zakładu prowadzonego przez misjonarki miłości Matki Teresy.

Skręcając w uliczkę, przy której znajduje się dom sióstr szarytek, ambulans nasz został zatrzymany przez grupę złożoną z kilku mężczyzn i kobiet. Właśnie szli do sióstr z prośbą o pomoc, ale zauważyli, że auto nadjeżdża. Co się stało? Ano, nic szczególnego, ale na plaży leży mężczyzna, stary już człowiek, coś mu się stało w nogę, bo nie może się podnieść i jęczy. To jest trędowaty, jedną nogę ma uciętą powyżej stopy, a druga go boli. Co robić?

Do akcji włączyła się pani doktor Błeńska.

- Niech ojciec jedzie z tą kobietą do matki Julii, a ja pójdę z tymi ludźmi na plażę, sprawdzę, co się stało, i jeśli będzie trzeba, to go tu przyniesiemy.

Gdy pó kilkunastu minutach ambulans zawrócił, mężczyzna w otoczeniu sporej gromady przygodnych gapiów czekał już na zakręcie. Po wstępnym badaniu pani Wandy okazało się, że ma krwawy wylew w kolanie. Wypadek zdarzył się nad samym brzegiem morza. Mężczyzna, istotnie trędowaty, bez jednej stopy, pokuśtykał do wody, by się rytualnie oczyścić. Fala podcięła mu nogę i upadł uderzając o coś twardego. Wylew spowodował szybko narastającą opuchliznę. Trzeba natychmiast założyć opatrunek.

Ostrożnie, przy pomocy ojca Mariana i kierowcy Petera, umieściliśmy chorego w ambulansie. Za kilka minut byliśmy już w przychodni przy kościele. Kalekę opatrzyła pani Wanda przy pomocy jednej z sióstr. Ojciec Marian postanowił zatrzymać go w pomieszczeniu przy kuchni pod opieką własną i pomocnika kucharza. Będą przez całą noc na zmianę czuwali, a jutro rano, w zależności od wyniku nowego badania, zdecyduje się, co dalej robić.

I tak skończył się jeden ze zwykłych dni powszednich.

Rano, po rozwiezieniu sióstr szarytek do miejsc ich codziennych zajęć, ambulans, wewnątrz którego znajdowały się dwie siostry i bezdomna staruszka-wędrowniczka, przyjął „na pokład" trędowatego mężczyznę z opatrunkiem na kolanie, panią Wandę i mnie. Być może, trędowaty będzie musiał poddać się operacji, a tej dokonać może tylko chirurg pracujący w zakładzie Matki Teresy w miejscowości Dżanla, trzydzieści kilometrów na południe od Bhubaneszwar. Ojciec Marian zdążył jeszcze nałożyć na chorego swoją czerwoną koszulę. Sam nie mógł jechać, bo miał jakąś pilną sprawę w jednym z miejscowych urzędów[r]. Przyrzekłem mu, że będę pamiętał o modlitwie za duszę jego matki na tak zwanym „pechowym zakręcie". Ale tę prośbę będę mógł spełnić dopiero w drodze powrotnej, gdyż „pechowy zakręt" znajduje się bliżej Bhubaneszwar, kilkanaście kilometrów za tym skrzyżowaniem, którego lewe ramię prowadzi do Dżanla.

Przy kierownicy usiadał Peter. Ja zająłem miejsce obok. W środku były dwie siostry szarytki, pani Wanda, staruszka w wypranym sari i z węzełkiem czystych rzeczy, oraz mężczyzna po wypadku. Jadąc cieszyłem się, że przy okazji odwiedzę swoich starych znajomych sprzed dwóch lat. Ci znajomi to ogromne drzewa „łańcuchowe", rosnące przy szosie około trzydziestu kilometrów od Puri. Są tak olbrzymie, że aby zrobić zdjęcie, trzeba stanąć dość daleko w perspektywie drogi albo założyć obiektyw szerokokątny. Prawie cała ta święta droga wysadzana jest tym gatunkiem drzew, ale moje znajome olbrzymy należą do najokazalszych.

Na większych nierównościach zraniony mężczyzna pojękuje z cicha. Pani doktor podłożyła swoją haftowaną torebkę pod jego cierpiącą nogę i przez dłuższą chwilę masowała opuchliznę, co choremu sprawiało widoczną ulgę. Patrzył na panią Wandę i dziękował jej uśmiechem. Potem, gdy ból minął, wyjęła z kieszeni swój misyjny różaniec, co wzbudziło zainteresowanie bezdomnej staruszki. Różaniec jest pięciokolorowy. Żółte paciorki za Azję, niebieskie za Oceanię, białe za Europę, czarne za Afrykę i zielone za Amerykę Łacińską.

Po godzinie jazdy, wkrótce po skręcie w lewo, zauważyłem na szczycie wysokiego wzgórza białą świątynię. Wzgórze wydaje się wyższe niż jest

w rzeczywistości, gdyż wyrasta z szerokiej, otaczającej ją płaszczyzny. Świątynia góruje nad miejscowością Dhaula, gdzie w trzecim wieku przed Chrystusem król Aśoka podbił Kalingów, a następnie - przerażony krwawym żniwem swego zwycięstwa - przyjął buddyzm jako religię państwową. Niedaleko stąd znajduje się skała z pierwszym tekstem jego *Orędzia Dobrego Prawa*, które zapoczątkowało w Indiach tolerancję religijną. Prawie dwa tysiące siedemset lat przed *Edyktem mediolańskim* Konstantyna Wielkiego!

Ośrodek misyjny - a właściwie szpital i niewielkie osiedle dla rodzin trędowatych - znajduje się blisko drogi. Już z daleka, w porównaniu z otoczeniem suchym i pustynnym, wygląda jak oaza spokoju i piękna. Dla wielu najnieszczęśliwszych to nie chwilowa przystań, ale port docelowy ich życia. To tutaj odbywa się bitwa o zdrowie, szacunek i godne miana człowieka miejsce na ziemi. Domki rodzinne ustawione szeregowo, każda rodzina zajmuje segment. Kuchnia jest oddzielnie, ale blisko, szpital po przeciwnej stronie terenu porośniętego drzewami owocowymi, ozdobnymi krzewami i gazonem pełnym kwiatów. Między krzewami sztuczna grota z figurką Matki Boskiej. Za ogrodzeniem widać poletka z uprawami ryżu i jarzyn oraz drzewa owocowe. Pracują tam kobiety, żony leczonych tu trędowatych.

Doktor Remy Rousselot jest Francuzem. Ma trzydzieści trzy lata i pochodzi spod Bordeaux. Po ukończeniu studiów pracował przez pięć lat w Afryce, potem cztery lata w Indiach na placówkach misyjnych, z tego dwa lata w szpitalach pod patronatem Matki Teresy. Podczas obiadu - jemy to samo co zakonnice i chorzy - doktor Rousselot mówi: — Wiele potrzebnych nam lekarstw i środków opatrunkowych dostajemy z Francji i z Polski, z tym, że z Polski przychodzą te najbardziej nam potrzebne. Wysyłają je „Caritas" i Stowarzyszenie Misyjne. Nasze leprosorium otrzymuje lekarstwa przez ich stację rozdzielczą u Matki Teresy w Kalkucie.

Tak już jest i nic na to nie poradzę: im dłużej jestem za granicą, tym bardziej czuję się Polakiem. Nie, nie nacjonalistą. Patriotą. Często muszę swoim rozmówcom wyjaśniać, na czym polega zasadnicza różnica między tymi pojęciami.

Losem naszego trędowatego doktor Rousselot przyrzekł zająć się natychmiast. Chory jest już w pokoju zabiegowym, gdzie specjalna aparatura ustali stan jego kolana.

Do Bhubaneszwar jedziemy szosą prowadzącą z Kalkuty do Madras. Jest to jedna z najgłówniejszych magistrali Indii. Arteria przepompowująca codziennie masę towarów i ludzi. Peter prowadzi znakomicie. Nic

dziwnego: długo praktykował u takiego mistrza kierownicy jak ojciec Marian. Nauka „nie poszła w las", zwłaszcza że w Indiach lasów jest bardzo mało.

W zakładzie dla bezdomnych kobiet w Bhubaneszwar, prowadzonym przez misjonarki miłości, panuje podobna atmosfera spokoju i odpoczynku jak w Dżanla-chociaż obiekt położony jest w środku miasta. Staruszką, którą przywieźliśmy, zajęły się siostry, zaprowadziły na salę, wskazały miejsce. Jaka była radość, gdy w zespole obecnych tam kobiet odnalazła swoją rodaczkę, pochodzącą z tych samych stron i mówiącą tym samym językiem! Ośrodek prócz oddziału dla kobiet opuszczonych prowadzi zakład opieki nad kobietami z zaburzeniami psychicznymi i kalekami o dużym stopniu inwalidztwa. Przygarnął też kilkoro sierot, podrzutków.

- No bo co miałyśmy z nimi robić - wyjaśnia z uśmiechem siostra Serafina, przełożona zakładu - skoro znalazłyśmy je pod bramą albo na ulicy? Małe są przy nas, starsze poszły do szkoły, a co z nimi będzie dalej - zobaczymy. Wszystkie nasze dzieci znajdują rodziny zastępcze. Większość w Indiach, ale niektóre za granicą.

Wfacając wstępujemy do domu biskupa Rafaela Cheenatha, SVD. Na podwieczorek były słodycze i herbata. Stół, lodówka, a zapewne i łóżko ekscelencji stały na nogach zanurzonych w pojemnikach z wodą. To jedyna skuteczna metoda przeciw wszędobylskim mrówkom. Biskup interesował się pracą pani Wandy Błeńskiej wśród trędowatych w Ugandzie, a mnit pytał o sytuację w Polsce i o nadzieje związane z ponownym przyjazdem Ojca Świętego. Był doskonale zorientowany w wielu zagadnieniach, nawet tych dość odległych od problemów współczesnych Indii. Prosił, abyśmy przekazali ojcu Marianowi wyrazy szacunku i przyjaźni.

Wracamy do Puri.

Chyba nie przeoczę „pechowego zakrętu" ojca Mariana, Tak, to chyba było w tym miejscu. Szosa skręca w lewo, światła reflektorów przez ułamek sekundy wydobywają z ciemności gruby pień, obrośnięty zwisającymi ku ziemi pnączami.

Było to w czasie pory deszczowej. Ojciec Marian wiózł z Puri do Bhubaneszwar trójkę Francuzów: młodego księdza i jego rodziców, którzy mieli za dwie godziny samolot do Kalkuty. Na tym zakręcie samochód wpadł w poślizg i w momencie, gdy ojciec Marian stracił panowanie nad kierownicą, usłyszał kilkakrotnie, chociaż cały wypadek trwał zaledwie kilka sekund, wyraźne słowa: „Nie rób zderzenia z drzewem". Był to najwyraźniej głos matki ojca Mariana. Dziwne tylko, że po angielsku. Posłuszny temu głosowi, ojciec Marian usiłował manewrować kierownicą tak, aby nie dopuścić do kolizji z drzewem. Dzięki tym zabiegom - a może

i jeszcze czyjejś pomocy - ominął je i wylądował w szuwarach porastających brzeg bagnistego rozlewiska. Pasażerowie wyszli z kraksy prawie bez szwanku. Przygodny samochód zabrał ich do Bhubaneszwar. Tam w szpitalu ich opatrzono i zdążyli na samolot do Kalkuty. A samochód ojca Mariana poszedł do remontu. Po tygodniu ojciec Marian wrócił nim do Puri. Teraz, gdy przejeżdża obok tego miejsca, za każdym razem słyszy głos swojej matki. Ten sam, który go wtedy ustrzegł przed śmiercią. I mówi pacierz za jej duszę. Z wdzięczności za uratowanie życia i jemu, i Francuzom.

Czy ojciec Marian źna rachunek prawdopodobieństwa? Tego nie wiem. Może i nie zna, ale wie, że im kto częściej jeździ samochodem, tym bardziej wzrasta statystyczna możliwość wypadku. Wie o tym także i pilot samolotu, i kapitan statku, i kaskader. Ojciec Marian znakomicie prowadzi samochód, ale jest po operacji katarakty na obu oczach, a ponadto jego źrenicom nie pomaga trwający tu przez większą część roku silny blask tropikalnego słońca. Zwłaszcza rano jego oczy dość opornie przekraczają granicę między nocą a dniem.

Jest wczesne popołudnie 14 listopada 1986 roku. Przed domem państwa Naidu, gdzie mieszkamy, zatrzymuje się ambulans misji. Słyszę głos ojca Mariana. Po chwili jesteśmy już w drodze. Samochód tym razem prowadzi sam ojciec Marian. Jedziemy na północ, do wioski Dobhar, która z inicjatywy i przy pomocy ojca Mariana buduje czterokilometrową groblę przeciwpowodziową dla ochrony pól ryżowych. Znam tę drogę sprzed dwóch lat. Prowadzi w stronę Konarak, gdzie znajduje się Czarna Pagoda, jedno z arcydzieł hinduskiej architektury i rzeźby sakralnej. Obok świątyni jest niewielki *aśram*. Ojciec Marian przedstawił nam dwóch znajomych *guru*, braminów, nauczycieli tego po części zakładu naukowego, a po części ośrodka medytacyjno-filozoficznego. Bowiem w Indiach wiedza i kontemplacja tworzą dwie nierozdzielne zasady poznawania prawdy. Co łączy ojca Mariana z tymi braminami, z których jeden wykształcił w sobie taką siłę woli, że może - zrobiłem zdjęcie - długo patrzeć otwartymi oczami prosto w słońce. Co ich łączy? To samo dążenie do prawdy, to samo poszukiwanie, ta sama idea nauczania, ta sama pasja w zbliżaniu się do Absolutu.

Egzotyka obcego kraju to nie tylko pejzaż.

Kiedyś pewien Hindus tłumaczył mojej żonie, kto to jest Bóg. - Bóg. jest jeden — powiedział — co do tego nie ma wątpliwości. Bóg w języku *hindi* nazywa się *Bhagwan*. To słowo składa się z dwóch części: *Bhag* i *Wan*. *Bhag* oznacza część mężczyzny - kobietę. *Wan* - mężczyznę. Bóg więc objawia się wówczas, gdy mężczyzna i kobieta są razem złączeni w momencie tworzenia nowego życia. Wtedy właśnie mężczyzna staje się

bogiem dla kobiety. A swoją drogą, niemal każdy hinduista myśląc o Bogu myśli o czymś innym, co powoduje absolutne pomieszanie pojęć.

Ale w końcu chodzi przecież tylko o to, jaką drogę wybieramy, aby zbliżyć się do Boga. W tym reportażu próbuję opisać drogę ojca Mariana. A raczej tylko ten krótki, kilkutygodniowy jej odcinek, jaki dane mi było przejść z nim razem. Nie, nawet nie razem z nim. Obok niego.

Jedziemy przez gęsto zarośnięty teren. Ojciec Marian mówi:

- Kto z nas jest najbliżej Boga? Czasem spotyka się na skraju dżungli samotną chatkę. Nic w niej nie ma, żadnego sprzętu, nic, mieszka w niej samotna staruszka. Przecież ona żyje absolutnie bez grzechu, nikomu nie szkodzi, nikomu nie przeszkadza, nikogo nie krzywdzi. Ona chyba jest bardzo blisko Boga...

Bardzo blisko Boga był także stary trędowaty, zamieszkujący przy wiejskiej drodze w szałasie tylko niewiele dłuższym od psiej budy. Ta buda, sklecona z byle jakich gałęzi i chrustu, stała przy misyjnym szlaku ojca Mariana prowadzącym do wioski Dobhar. Jej mieszkaniec żył z jałmużny rzucanej mu przez litościwych ludzi; placek czy odrobinę ryżu popijał wodą z kałuży, a gdy nie było wody, nie pił wcale. Na kikutach prawie bez stóp nie mógł się poruszać. Jego cały stan posiadania to skorupa rozbitego naczynia. Opiekował się pobliską kapliczką ze świętymi kamieniami i czasem dostawał jedzenie od tych, którzy tu przychodzili, aby się pomodlić. Ojciec Marian nazywał go *Ecce Homo*. Nie zgadzał się iść do kolonii trędowatych, więc ojciec Marian przywiózł go do ambulatorium i leczył. Ale on nie czuł się dobrze w otoczeniu ludzi podobnie jak on okaleczonych, drażnił go gwar rozmów, bo przywykł do samotności, do śpiewu ptaków, do przebywania w obecności Boga bez świadków. Wrócił więc do swojej psiej budy przy drodze i tam zmarł pewnej nocy z powodu ukąszenia przez jadowitego węża. Ludzie z pobliskiej wioski spalili jego szałas, a ciało zakopali obok w pozycji siedzącej, co świadczy o szacunku i poważaniu. On wprawdzie był trędowaty, ale dobry. I przez tyle lat przyzwyczaili się do niego jak do drzewa przy drodze. Z czasem zapomną o nim, ale jego legenda pozostanie, i kto wie, może miejsce jego pochówku stanie się kiedyś miejscem pielgrzymek, jak groby niektórych bezimiennych ludzi zmarłych na Saharze?

W mijanych wioskach wielu mieszkańców pozdrawia ojca Mariana imieniem *Bapa*. Istotnie, uważają go za „ojca". Od czasów wielkich powodzi w roku 1980 i 1982 jest to już nie nazwa grzecznościowa, nie określenie, ale najzaszczytniejszy tytuł, na jaki człowiek, zwłaszcza obcy, może zasłużyć. Ten tytuł „adoptuje" bowiem ojca Mariana, niwelując różnice religijne i obyczajowe, obdarza go rangą społeczną należną ludziom najbardziej godnym szacunku.

Deszcze wprawdzie padają co roku, ale wtedy były szczególnie obfite, ziemia nie mogła już wchłonąć więcej wilgoci i pewnej nocy z furią wściekłej bestii woda runęła jednocześnie na kilkanaście wiosek. Kto zdążył, ten zabrał cokolwiek z chałupy i uciekł na możliwie najwyżej położony garb terenu, mając nadzieję, że tam woda nie sięgnie. Istotnie, nie wszędzie wzniosła się tak wysoko, ale droga do żywności i wody pitnej została odcięta. Jak długo może wytrzymać człowiek - zwłaszcza dzieci i starcy - bez jedzenia i picia? Dwa, trzy dni i noce. A co potem? Znaleźli się w pułapce, skazani na powolne umieranie. Pili więc tę przeklętą, zatrutą odchodami i środkami owadobójczymi wodę. Zaczęli chorować. Biegunka, krwawe wymioty, słabość. I oczekując ratunku umierali, na tych garbach ziemi wystających z wody.

Gdy tylko wieść o tym dotarła do Puri, burmistrz miasta zwołał na naradę co ważniejszych obywateli. Ojciec Marian powiedział wprost: - Panie burmistrzu, proszę przydzielić pod opiekę misji katolickiej osadę najbardziej zagrożoną. - Burmistrz spojrzał na mapę i wskazał palcem. - Dobhar - powiedział krótko. Wtedy ojciec Marian dowiedział się, że taka wioska istnieje.

Zorganizował pomoc: żywność, lekarstwa, środki opatrunkowe i dezynfekcyjne, postarał się o łodzie. Jedzenie dowoził z Puri. Do gotowania zaangażował bramina, ponieważ to, co bramin przygotuje, mogą spożywać wszyscy, ale z całą świadomością umieścił kuchnię w osiedlu dla niedotykalnych, obok jednej z wiosek. Ludzie się dowiedzieli, gdzie stoi kuchnia. Nikt nie chciał tknąć jedzenia. — Wolimy umrzeć z głodu niż się skalać - mówili. W końcu zgodzili się przyjmować suchy prowiant i wodę. Indie to rzeczywiście kraj, w którym bardzo łatwo się urodzić, ale bardzo trudno żyć.

W czasie drugiej powodzi, w roku 1982, ojciec Marian w pewnej szkole — dziś ruinie - żywił zagrożoną ludność, wydając sześćset posiłków dziennie. Przy końcu akcji sięgał już samego dna rezerw.

- Trzeba przyznać - wspomina dzisiaj - że w razie zagrożenia czy kataklizmu władze bardzo się starają pomagać wszystkim, którzy spieszą z ratunkiem. Dość sprawnie koordynują całą operację i przyjmują sprawozdania.

Powódź się skończyła, ale pamięć ludzka pozostała żywa. O tych, którzy nie przeżyli, zapomniano prędko, ale o tych, którym inni zawdzięczają życie -pamięta się do dzisiaj. Ojciec Marian także przywiązał się do wioski Dobhar. Długo zastanawiał się, co należałoby zrobić, aby na przyszłość uratować wieś od powodzi. Badając wielokrotnie okolicę doszedł do wniosku, że trzeba — bo nie ma innej rady — zbudować wał

ochronny. Groblę długości czterech kilometrów. Biorąc pod uwagę warunki i środki, jakimi rozporządzał on i mieszkańcy wsi, to przedsięwzięcie zdawało się z razu tak wielkie jak budowa chińskiego muru.

- Bo widzisz - mówi do mnie ojciec Marian, a mijamy właśnie tereny upraw ryżowych, pocięte tu i ówdzie wysokimi nasypami - gdy woda zaleje pola, ludzi czeka głód. Są bezradni. I nikt im w takiej sytuacji nie pomoże. Doraźnie - tak, ale potem? W Indiach nie ma tradycji sąsiedzkiej pomocy. Kto umiera z głodu - widocznie zasłużył. W tym roku, a grobla nie jest jeszcze skończona, ludzie z mojej wioski trzymali po nocach warty z pochodniami, patrzyli, czy woda nie przerywa grobli albo czy ktoś z sąsiadów z zazdrości czy złośliwości nie psuje im nasypu, który budują od trzech lat. W tym roku nasza grobla zdała pierwszy egzamin. Uratowała kilkaset hektarów pól z dojrzewającym ryżem. Gdzie indziej woda wyrządziła wielkie szkody. Może z naszego przykładu skorzystają sąsiedzi i wezmą się do roboty.

„Wziąć się do roboty" — to wyrażenie niezbyt popularne w Indiach. „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże" - takie porzekadło wymyśliła Europa. Indie jeszcze na to nie wpadły.

Jedziemy jedną z grobli, bo innej drogi nie ma. Po obu stronach zalane pola, zniszczone uprawy, tam gdzie podeschło - zostało bajoro. Zanim będzie można na nim sadzić ryż, upłynie sporo czasu. Ale ryż, aby żywił, musi wyrosnąć. Ilu ludzi doczeka? Ilu nie doczeka? W Indiach nie prowadzi się takich statystyk. I chociaż w tym kraju - co należy powtórzyć z naciskiem - coraz mniej ludzi umiera z głodu, tych, którzy „nie doczekali", jest jeszcze sporo. Tak samo jak sporo jest zadłużonych aż na siedem następnych pokoleń. Ich wnuki i prawnuki urodzą się niewolnikami. Za długi przodków, których nie potrafią sobie nawet wyobrazić. Bo tak już bywa w życiu: jedni ludzie dziedziczą zaszczyty i bogactwo, a inni przekleństwo.

Ojciec Marian prowadząc wóz po grobli spogląda przed siebie z widocznym niepokojem.

- Obawiam się, że nie dojedziemy. Ta woda chyba przerwała nasyp przed nami. I co zrobimy?

- Jedźmy jednak, dopóki się da - decyduje po chwili.

Ale „dało się" zaledwie parę obrotów kół. Woda zrobiła w grobli wyrwę o szerokości czterdziestu metrów. Wysiadamy. Ojciec Marian z troską spogląda na leniwie przepływającą wodę. Jest czarna i mulista.

- Ty zostań przy ambulansie - mówi do pomocnika - a my postaramy się przejść.

Torbę z lekarstwami zarzuca sobie na plecy, zdejmuje buty i zakasuje spodnie możliwie najwyżej. Ja robię to samo, z obawą myśląc o mojej torbie ze sprzętem fotograficznym. Schodzę do wody pierwszy. Będę sondował grunt, wybierając takie przejście, gdzie woda będzie najbardziej płytka. Ale i ta sięga mi najpierw do kolan, a potem powyżej. Ojciec Marian brnie odważnie, jednak na tyle ostrożnie, aby się nie pośliznąć i nie przewrócić. Wreszcie stajemy po drugiej stronie wyrwy. Nasze nogi i spodnie są oblepione czarnym błotem. To nic, wyschną, zanim dotrzemy do wioski. To już niedaleko. Około dwóch kilometrów.

Przy następnym przejściu przez wodę, na szczęście dużo krótszym, czeka na nas spora gromada mężczyzn i dzieci. Z daleka zauważyli ojca Mariana i wyszli mu naprzeciw. - *Namaskaro! Namaskaro bapa!* - Zanim dotrzemy do wioski, zatrzymamy się jeszcze kilka razy. Bo właśnie mija nas kobieta z wyraźnie zaropiałymi oczami. Ojciec Marian przystaje, pozdrawia ją i natychmiast sprowadza rozmowę na jej oczy. Kobieta nie wie, co się stało. Jak wszyscy Hindusi, lekceważy swoje schorzenie. Ale ojciec Marian dostrzega niebezpieczeństwo i reaguje natychmiast. Wyciąga z torby tubkę z maścią i ostrożnie smaruje powieki kobiety. Po zabiegu kobieta odchodzi biorąc ze sobą lekarstwo.

Wszystkie leki, jakie ojciec Marian zabrał dzisiaj z sobą, są polskie. Sporą ich paczkę przywieźliśmy z Kalkuty, a wręczyła nam ją pani Elżbieta Folta, żona naszego polskiego konsula. Pamiętała o tym pomimo wielkiego pośpiechu związanego z powrotem do kraju.

Zanim doszliśmy do wioski, ojciec Marian jeszcze kilkakrotnie, na stojąco oczywiście, dokonywał leczniczych zabiegów. Zdezynfekował i opatrzył wrzody na głowie dziecka, a jego matce dał kartonik z aspiryną, następnie oczyścił ropień na nodze jednego mężczyzny i czyrak na ramieniu drugiego. Po chwili podeszła do nas starsza kobieta i długo o czymś rozmawiała z ojcem Marianem. Ksiądz z uwagą przeszukiwał zawartość torby i wreszcie znalazł właściwe lekarstwo.

W wiosce Dobhar mieszka tysiąc pięćset ludzi. Jest szkoła, w której naukę pobiera około dwustu dzieci. Większość z nich otacza nas zwartą gromadą i okrzykami radości wita dużą torbę z cukierkami. Poprzednia powódź zniszczyła kilkanaście chat. Ściany są z gliny, a glina łatwo nasiąka wilgocią i rozsypuje się. Dzięki pomocy ojca Mariana najciężej poszkodowanym odbudowano domy, ale użyto cegły, aby uchronić ludzi przed kolejną katastrofą. Ojciec Marian pamiętał też o studni. Wydrążono nowy otwór i ocembrowano. - W czasie powodzi - wyjaśnia z radością, ale i z odrobiną dumy ojciec Marian - brud nie dostał się do wnętrza studni i ludzie przez cały czas pili dobrą, zdrową wodę.

Gdy pomysł zbudowania grobli został zaakceptowany, ojciec Marian zbudował ceglany magazyn, nakryty blachą falistą. W tym pomieszczeniu zgromadził worki z kaszą, ryżem i fasolą, a także pojemniki z oliwą i narzędzia. Ci wszyscy, którzy pracowali przy sypaniu grobli, otrzymywali wynagrodzenie według zasady „jedzenie za pracę". Wspólnie z mieszkańcami wioski ustalono normę: czterysta pięćdziesiąt gramów kaszy pszennej i sto gramów oliwy na głowę za każdy metr sześcienny wału. Ludzie ochoczo wzięli się do roboty. Pracowali na akord, za żywność, ale wiedzieli, że pracują dla siebie, dla swoich dzieci i dla całej wspólnoty. Ich zapał powiększała świadomość, że ktoś się o nich troszczy, że ten biały człowiek obcej wiary zbliża ich do tego samego Boga, do którego modlą się oni, że tego ich Boga reprezentuje. Więcej: uosabia. W Indiach każdy człowiek, który coś ofiarowuje innemu człowiekowi, uosabia Boga. Bóg jest po to przecież, aby dawać. To ludzie zabierają. Bóg daje.

Siedzę na pniu zwalonej palmy obok magazynu i przy świetle księżyca zapisuję swoje wrażenia z dzisiejszej eskapady. Otacza mnie tłum dzieci złożony chyba ze stu nagich, brązowych ciał. Jeden starszy chłopiec, mówiący trochę po angielsku, tłumaczy moje informacje o Polsce. Długo muszę wyjaśniać, co to znaczy zima, a zwłaszcza śnieg. W wiosce nie ma jeszcze telewizora, chociaż, aby zbliżyć ją do świata, doprowadzono już elektryczność i zainstalowano żarówkę prawie w każdej chacie. Z daleka, nocą, wioska musi wyglądać jak statek płynący po oceanie ciemności.

W środku magazynu ojciec Marian długo o czymś rozmawia z miejscową starszyzną. Częstują nas mlekiem kokosowym i herbatą. Boję się tej herbaty, ale ojciec Marian rozprasza moje obawy: - Pij spokojnie - mówi.

- Woda była przegotowana.

W czasie obu naszych podróży przez Indie nie baliśmy się ani kobry, ani wściekłego psa, ani rogów byka. Baliśmy się ameby. Bo ameba jest nie tylko w wodzie. Może być także w jarzynach, w owocach, w restauracji i na talerzu wytartym brudną szmatą, a także w kurzu ulicznym, w powietrzu

- wszędzie. Czy można się zabezpieczyć przed amebą? Nie można. Można mieć tylko szczęście albo nie. Ale oczywiście najbardziej niebezpieczna jest woda. Dlatego wynajmując pokój w hotelu sprawdzałem za każdym razem, czy jest gniazdko elektryczne dla grzałki. Ale przegotowana woda pita w hotelu to tylk.o część zabezpieczenia. Przecież cały dzień się chodzi, zwiedza, styka z ludźmi i zwierzętami, jada się w restauracjach lub ulicznych jadłodajniach, gdzie za talerz służy bananowy liść.

Na zakończenie naszej wizyty w wiosce Dobhar nastąpiła jeszcze jedna scena, jakby z antycznego teatru. Ojciec Marian stojąc w blasku księżyca na podwyższeniu przed bramą magazynu, wygłosił do zebranych mieszkańców monolog. Tym razem jego „oralna terapia" - jak się wyraził - dotyczyła biegunki. Jak się chronić przed tą chorobą, która zwłaszcza w porze deszczowej zbiera bogate żniwa? Sposób jest prosty: na szklankę wody wziąć tyle cukru, ile się ujmie czterema palcami, i tyle soli, ile się ujmie trzema palcami. Dobrze rozmieszać i pić po każdym wypróżnieniu. Ludzie słuchali z uwagą, potem kilku obecnych zadało pytania, na które ojciec Marian odpowiadał, długo coś tłumacząc i wyjaśniając.

Wracamy tą samą błotnistą drogą. Najpierw groblą prosto, potem groblą w prawo, następnie znów po pas w wodzie przez odcinek przerwanego wału. Pomocnik ojca Mariana zauważył nas z daleka i włączył reflektory samochodu. Zanim nałożyliśmy buty, trzeba było długo oskrobywać nogi z błota i szlamu.

Gdy już wyjechaliśmy na drogę, ojciec Marian powiedział, że tu zwykle zaczyna odmawiać różaniec: za cierpiących, za szukających drogi w ciemnościach, za niesprawiedliwie prześladowanych, za umierających. Po raz pierwszy w życiu uczestniczyłem w odmawianiu różańca w trzech językach: po angielsku, po polsku i w miejscowym *orija*. *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryjo* pod rozgwieżdżonym niebem tropikalnych Indii. I od razu ma się wrażenie, że tak niedaleko stąd do Częstochowy.

Liśćmi palm nie porusza nawet najmniejszy powiew. Gwiazdy świecą mocniej niż w Polsce i jest ich dużo więcej.

Ojciec Marian wspomina:

- Kiedyś wracałem z wioski Dobhar do Puri. W tym właśnie miejscu zobaczyłem w świetle reflektorów samotną kobietę, idącą w stronę miasta. Zatrzymałem samochód i zaproponowałem, że ją podwiozę. Odmówiła. Następnego dnia prasa doniosła o gwałcie i morderstwie kobiety właśnie na tym odcinku drogi.

Do dzisiaj ojciec Marian ma wyrzuty sumienia, czy aby nie za krótko przekonywał tę kobietę, że powinna wsiąść do jego samochodu.

Ale nie zawsze „komentarze do życia" ojca Mariana są tak refleksyjne i gorzkie. Ojciec Marian ma wrodzone poczucie humoru i często jego wspomnienia okrasza śmiech. Zwłaszcza gdy przypomina jakiś fragment z opowiadań Wiecha albo dowcip sołtysa Kierdziołka. W takich chwilach czuję, że te zabawne dykteryjki łączą ojca Mariana z krajem, że są konieczną, odprężającą cezurą po dniu pełnym napięcia, spowodowanym nieustannym wpatrywaniem się w igłę kompasu, który wskazuje człowieka potrzebującego pomocy.

Teraz też. Po chwili modlitewnego skupienia przyszedł moment na rekreację. Śpiewamy wspólnie pieśni harcerskie, legionowe i oazowe.

Budzą się wspomnienia. Osobiste i te najgłębsze, związane z historią. A historia to i czyny heroiczne, i cierpienia, i nadzieja na lepsze jutro. Wiara i nadzieja zawsze łączyły Polaków. Tych w kraju i tych na obczyźnie. Nadzieja na wolność, nadzieja na powrót, nadzieja na „byle do wiosny". Ojciec Marian zna to powiedzenie. Ale wiosna w Indiach związana jest z zupełnie innymi problemami. Wiosna to powrót gorąca, wilgoci, podwójnego zmęczenia, szybszego wyczerpania. To samo słońce, które w Polsce uzdrawia, tutaj potrafi zabić. U nas oczekiwane jest z radością - tutaj z obawą. Także ojciec Marian boi się zbyt gorącego słońca. Ono jest wrogiem jego chorych oczu. Często nawet paraliżuje wzrok. A życie zmusza do nieustannej gotowości, bez względu na porę roku czy warunki. Czując, że nadchodzi słabość, ojciec Marian klęka pod krzyżem i prosi Pana Jezusa, aby dał mu siły, zaś niezliczeni jego przyjaciele w dalekim starym kraju, w Polsce, modlą się o to, aby Bóg okazał mu choć tyle miłosierdzia, ile on tak szczodrze świadczy innym.

Myślę, że Bóg o tym pamięta, ale czasem, zwłaszcza w sytuacjach wyjątkowo trudnych, nie zaszkodzi o tym przypominać.

Od czasu do czasu ojciec Marian wyjeżdża z Puri - a nie zapominajmy, że Indie to nie kraj, ale kontynent-tu wszystko jest daleko. Wyjeżdża więc do Kalkuty, gdzie znajduje się siedziba polskiego konsulatu, do odległych miast, aby wziąć udział w różnego rodzaju konferencjach o charakterze lokalnym lub międzynarodowym, a także - zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia lub Wielkanocy - do tych ośrodków, gdzie przebywają polscy inżynierowie i robotnicy kontraktowi, aby być z nimi, aby nieść im pociechę duchową i na chwilę bodaj przybliżyć tradycję religijną dalekiego kraju. Odprawia Mszę świętą, udziela sakramentów, jest równocześnie spowiednikiem i powiernikiem, nauczycielem i rozjemcą, tle jest przede wszystkim przedstawicielem kultury i tradycji narodowej. Dwadzieścia godzin w pociągu, w wagonie drugiej klasy, gdzie na ogół panuje ogromny tłok, a ławki są zwykłe, drewniane, nie są dla niego żadną przeszkodą. W miejscowości Rourkela polscy specjaliści budują wielką elektrownię, zaś niedaleko Kalkuty kopalnię węgla i hutę. Ojca Mariana nie przerażają przesiadki, kilkugodzinne czekanie na dworcach, bilety bez rezerwacji miejsca. Mówi, że lubi jeździć, lubi być w ruchu mając świadomość, że ktoś na niego czeka. - W pociągu odpoczywam, tutaj nikt mnie o nic nie prosi, niczego nie oczekuje, niczego się nie domaga. — Zaiste, musi odczuwać wielkie zmęczenie, skoro kiedyś odpoczynek był aż tak głęboki, że złodziej rozpruł leżącą pod jego głową plastikową torbę i wyjął portfel. Ojciec Marian, gdy się obudził, zobaczył swój portfel leżący obok na ławce i doszedł do wniosku, że „coś tu się nie zgadza", bo przecież zasnął

z portfelem w teczce i torbą pod głową. Od tego czasu torba plastikowa ojca Mariana jest pozszywana. Ale po amatorsku, na chybcika, na okrętkę. Najwyższa pora, aby ojcu Marianowi kupić nową torbę. Ale co zrobić ze starą, do której jest tak przywiązany?

Kochać ludzi jak misjonarz...

Wieczorem, podczas naszych rozmów, ojciec Marian zasypia. Głowa opada, ręce nieruchomieją na kolanach. Jak bardzo kocham go właśnie w takich chwilach, gdy dzień potyka się o próg nocy, a myśli o problemy, którym będzie musiał sprostać już jutro, za kilka zaledwie godzin, za chwilę.

Jak cicho. Nawet ptaki, mieszkańcy pobliskiego drzewa, przestały się wykłócać o lepsze miejsce do spania. O tej szarej — po polsku — godzinie ojciec Marian jest zwykłym strudzonym wędrowcem u kresu normalnego, powszedniego dnia.

Teraz właśnie jest odpowiedni moment na refleksję.

Jezus powiedział: „Kto chce iść za Mną, niech porzuci wszystko... Niech weźmie krzyż"... A krzyż misjonarski, ze wszystkich krzyży, jakie Jezus rozdzielił między ludzi, jest chyba najcięższy. Jednak pomimo ciężaru tego krzyża praca misjonarzy w Indiach tak wrosła w świadomość tutejszych ludzi, że nawet powstało powiedzenie: „pracować jak misjonarz", a także „kochać ludzi jak misjonarz".

Ojciec Marian poszedł za Jezusem. Porzucił wszystko, a Jezus prowadząc go za sobą wskazał Indie i Puri — jedno z najświętszych tutaj miast. Teraz ojciec Marian jest jednym z tych, którzy swoją działalnością torują w Indiach ścieżkę Jezusowi, oczyszczając ją z chwastów nietolerancji, z cierni braku miłości i miłosierdzia, z ostów obojętności. Wielu ludzi spotykanych po drodze uświadamia sobie, że ten Bóg-Człowiek reprezentowany przez ojca Mariana nie dzieli ludzi na kasty, przed nikim nie zamyka drzwi świątyni i nie każe sobie płacić za błogosławieństw, Przeciwnie: śpieszy z pomocą każdemu, kto Go wzywa, sam wynajduj-, najbardziej potrzebujących, jest litościwy i współczujący. A w zamian oczekuje tylko miłości. Okazywanej sobie w miłości do drugiego człowieka.

Ojciec Marian nie tylko głosi Ewangelię. On ją przede wszystkim realizuje. W dosłownym brzmieniu, opierając swoją codzienną działalność

na fundamencie najtrwalszym, na przykazaniu miłości. Śpieszy z pomocą najbiedniejszym - chorym i kalekim, bezdomnym i samotnym, w rozmaity sposób dotkniętym przez los i nie umiejącym mu się przeciwstawić.

Działalność ojca Mariana, Matki Teresy z Kalkuty i wielu, wielu innych ma nie tylko siłę magnetyczną, ale wpływa na świadomość tych wszystkich, którzy są w pobliżu. Oni - misjonarze znani i nieznani - są współczesnymi apostołami Cywilizacji Miłości, ustroju, który, być może, kiedyś zapanuje na świecie.

Dobroć i gotowość poświęcenia to w Indiach nie zawsze najbardziej widoczny element życia społecznego, zwłaszcza że od wielu wieków obowiązuje tu zasada, że tego, co Bóg stworzył - człowiekowi zmieniać nie wolno. Pomoc, miłosierdzie i opieka w pewnym sensie wpływają na kształt stworzenia, które takie, jakim jest - jest w wyniku dziedzictwa, to jest grzechów popełnionych w poprzednich wcieleniach. Ta zasada jest wytrychem, którym można otworzyć jedną z bram sezamu hinduskiej filozofii mówiącej o przeznaczeniu człowieka. Tak. Można ten sezam otworzyć, nawet zobaczyć, co kryje w środku, ale nie można go zmienić. Aby go zmienić, trzeba zacząć od świadomości, od mentalności, od edukacji sumienia. Jest to proces najbardziej złożony i trwający wyjątkowo długo. Najtrudniej bowiem wyplenić z człowieka egoizm, zaś w jego miejsce zaszczepić przekonanie, że nie wolno być obojętnym zarówno na własny los, jak i na los kogokolwiek innego.

O tym, że pozytywna przemiana społeczeństwa Indii jest możliwa - ojciec Marian nie ma najmniejszych nawet wątpliwości. Bo ojciec Marian przez wszystkie lata swej pracy w tym kraju stał się po trosze jego obywatelem. Nawet czymś więcej: jego patriotą. Z jaką sympatią, a nawet miłością wskazuje mi, na przykład, siedzące przy drodze dzieciaki lub grupę kobiet suszących ryż, albo stado krów i opartego na jednej nodze pasterza, który jako żywo przypomina czasy biblijne, gdy i królowie w swej młodości pasterzowali zwierzętom. Ojciec Marian na szlakach swej parafii ma ulubione drzewa, stawy, rzeki, a nawet pojedyncze chatki i fragmenty krajobrazu. Kiedy mijamy któreś z takich miejsc, twarz ojca Mariana rozjaśnia się, a stopa naciska lekko hamulec. I wtedy mam wrażenie, że z całej postaci ojca Mariana emanuje światło radości, niemożliwe do utrwalenia na taśmie filmowej. Widząc samotnie idącego pielgrzyma czy kobietę z dziećmi pozdrawia ich gestem ręki lub słowem. Czasem przystaje i nawiązuje rozmowę. Żegnają go zawsze gesty złożonych dłoni, które tak samo pozdrawiają bogów, prosząc ich o coś lub za coś dziękując.

Ojca Mariana smuci każda wiadomość o jakiejś katastrofie, na przykład ta o gromadzie ludzi zasypanych w Kaszmirze, o żołnierzach, którzy zginęli w akcji ratunkowej, o napadzie terrorystycznym na pociąg w Orisie i o kilku zranionych pasażerach w czasie walki bandytów z policją, o kimś zamordowanym z zazdrości, z zemsty albo dlatego, aby mu zamknąć usta. Ale równocześnie cieszy go każda podana w prasie informacja o nowej szkole, nowym moście, nowym odcinku drogi, szpitalu czy fabryce, której produkcja zwiększy ilość czegoś - tam na rynku i da pracę tylu-a-tylu ludziom. Długo omawiał ze mną nowy samochód indyjski, zbudowany w kooperacji z Japonią. Ojciec Marian wie, że chociaż Bóg wszystkim rządzi, to jednak pragnie, aby ludzie maksymalnie starali się Mu pomagać, aprzynajmniej, aby swoim zachowaniem nie utrudniali Jego działalności.

Ja jednak myślę, że mimo całego przywiązania do Indii, ojciec Marian pozostał Polakiem. I że pewnego dnia jako Polaka powoła go Pan Bóg do siebie, aby odpoczął. Równocześnie wiem, że jako misjonarz ojciec Marian jest międzynarodowym apostołem miłości, bo miłości nie można wyznaczyć zakresu działania, ponieważ każde ograniczenie skazuje ją na deformację.

Czy jakiś Hindus, patrząc na swój kraj obiektywnie, zapyta siebie lub swego rodaka, dlaczego ten obcy biały człowiek, przedstawiciel innego Boga, urodzony pod innym niebem, zajmuje się tym, co właściwie powinni robić sami Hindusi - władze, organizacje społeczne, partie polityczne, a może przede wszystkim bramini świątyni Dżagannathy? Dlaczego właściwie ten obcy człowiek, ten przybysz, wziął pod opiekę indyjskich nędzarzy, kaleki, trędowatych, bezdomnych i osieroconych? Przecież Indie to taki bogaty kraj! Ma wszystko: kopaliny, ziemię, rzeki, lasy, góry, całą armię wykształconych ludzi, ogromne zakłady przemysłowe, myślicieli, artystów, kapłanów... Wszystko!

Ojciec Marian zna te pytania. Mógłby postawić ich znacznie więcej. Ale on na te wszystkie pytania znalazł jedną odpowiedź: Człowiek. Każdy człowiek. Odpowiedź ta przerasta mnie, gdyż ja mówię: „ten człowiek”, „tamten człowiek”, „taki człowiek”, „biały człowiek”, „inny człowiek”... A on mówi: Każdy człowiek. Przyznaję rację ojcu Marianowi. Z pokorą, szacunkiem i wdzięcznością. Może i z odrobiną zazdrości, bo on znalazł lepszą definicję niż moja, znalazł doskonalszą odpowiedź.

Kiedyś w rozmowie z ojcem Marianem powiedziałem:

- Mnie się zdaje, proszę księdza, że najtrudniej jest być dobrym.

Ojciec Marian popatrzył na mnie z uwagą, uśmiechnął się i zaprzeczył:

- Wcale nie, drogi Jerzy, wcale nie... - Po chwili dodał: - Trzeba tylko chcieć, trzeba się postarać.

I jeszcze jedno, ostatnie już pytanie u schyłku tego zwyczajnego dnia: - Jaka jest proporcja? Ilu ludzi jest otoczonych opieką, a ilu jej potrzebuje?

Ten, kto na to pytanie usiłowałby odpowiedzieć, stanąłby znów przed wielkością abstrakcyjną, jaką jest kropla wody w stosunku do oceanu. Zresztą po co pytać o ilość ludzi żyjących we współczesnych Indiach po obu stronach granicy miłosierdzia? Przecież powiedział Ten, z miłości do którego ojciec Marian tak szczodrze rozdaje siebie najbardziej potrzebującym pomocy, że „Cokolwiek uczyniliście jednemu”...

Jednemu.

A ich jest...

Ich - to znaczy których?

Ich - to znaczy odrzuconych. To znaczy takich, którzy - jak mówi Matka Teresa z Kalkuty - „istnieją po to, aby ich odnaleźć”

Odrzuceni

Stwórca, który z nicości wywiódł ten świat cały,
Przecz własne swoje twory rozbija w kawały?
Jeśli się nie udały, kogoż za to winić?
Ale dlaczego niszczy, jeśli się udały?

Omar Chajjam
(Tł. Andrzej Gawroński)

Te miejsca są święte, ponieważ:

- Tutaj bóg Siwa odtańczył swój sławny taniec ukazujący stworzenie i zniszczenie człowieka.
- Tutaj Siddharta Gautama siedząc pod tym drzewem został Przebudzonym, czyli stał się Buddą.
- Tutaj bóg Wisznu objawił się w postaci kłody drzewa, z której wyrzeźbiono posąg Dżagannathy.
- Tutaj król Czoła przywiózł wodę ze świętej rzeki Ganges.
- Tutaj spalono zwłoki Mahatmy Gandhiego, Ojca Indii.

A to miejsce jest przeklęte: tutaj mieszkają trędowaci.

Znam dobrze to miejsce. Byłem tam tyle razy, że rozpoznaję je od każdej strony. Wiem: ulegam sugestii, poddaję się uczuciu, które łączy obawę, obrzydzenie i współczucie. Równocześnie. I ilekroć przechodzę obok tego miejsca, wydaje mi się, że porastające je drzewa, krzewy i zarośla są tu tylko po to, aby przed oczami ludzi, a także przed wzrokiem ich sumienia, ukryć to, co jest wstydliwe, co psuje piękny pejzaż tropikalnych Indii.

To miejsce od dawna znajdowało się na marginesie miasta Puri, chociaż w jego administracyjnych granicach. Ale istniało poza świadomością jego mieszkańców. To znaczy mieszkańcy wiedzieli, że coś takiego istnieje, ale nie mówili o tym, tak jak członkowie szanującej się rodziny nie rozmawiają 0 krewnym, którego uczynki czy sposób życia skazał na infamię, a więc na milczenie.

Ale trędowaci nie popadli w niełaskę rodziny indyjskiej z powodu jakiegoś haniebnego czynu, chociaż w powszechnym przekonaniu ich los jest zasłużoną karą za grzechy popełnione w poprzednich wcieleniach. Chrześcijanie z mozołem usiłują przekonać Hindusów, że jakiekolwiek odium nie może zastąpić kuracji i że nawet współczucie nie wystarczy. Aby terapia była skuteczna, wymaga lekarstw, środków opatrunkowych 1 całego zespołu działań na rzecz rehabilitacji, także moralnej. Wykształconych i światłych obywateli Indii nie trzeba o tym przekonywać. Ale jak przełamać świadomość wielomilionowych mas, przywiązanych do tradycji aż do granic ciemnoty, aż do całkowitego paraliżu świadomości?

Egzystencja trędowatych składa się tylko i wyłącznie z cierpienia. Oficjalnie jest ich w Indiach blisko cztery miliony. Ale w rzeczywistości stanowią grupę trzykrotnie liczebniejszą. Muszą się z nimi zetknąć nawet tacy uprzywilejowani turyści, którzy poznają Indie zza szyb luksusowych autokarów i balkonów najdroższych hoteli. Niektórzy z nich wychodzą na ulicę i rozpoczynają zwiedzanie na własną rękę. Napotykają świątynie i wtedy muszą ich zauważyć. A zauważywszy - doznają szoku. Nawet gdyby byli bardzo odporni psychicznie. Widząc zbliżające się ku ich twarzom ręce bez palców, ramiona bez dłoni, często z ropiejącymi otwartymi ranami, nie myślą o otworzeniu aparatu fotograficznego. To już nie krowy na ulicach, nie riksze z napędem na ludzkie nogi, nie tysiące, setki tysięcy kamiennych rzeźb, wobec których sztuka europejska powinna upaść na kolana, to nie bezdomni na ulicach, nie egzotyka, nie folklor. To żywi ludzie, okaleczeni przez okrutną chorobę. I turyści zdają sobie z tego sprawę, chociaż refleksje dopadną ich później. Na razie pierwszym ich odruchem jest pragnienie ucieczki. Ale cofając się napotykają inne wyciągnięte ku nim kikuty, nagie lub owinięte brudnymi szmatami, ujrzą zdeformowane twarze, bezzębne usta i często puste oczodoły. A są w Indiach miejsca, gdzie przechodzień orientuje się nagle, że takimi ludźmi jest otoczony ze wszystkich stron. I wtedy doznaje uczucia już nie wstrętu, nie obrzydzenia, ale grozy. Nagle pojmuje, że znalazł się w pułapce, z której jedyną ucieczką jest jałmużna. Aparat fotograficzny decyduje się otworzyć dopiero przy którymś kolejnym spotkaniu. Jeśli jest zwyczajnie po ludzku wrażliwy, gdy wróci do kraju i będzie pokazywał swoje slajdy znajomym,

jego głos objaśniający zdarzenie będzie się łamał, potykał, wreszcie zamilknie, bowiem wymowa zdjęć jest zbyt silna, aby dodawać do nich komentarz.

Dopiero po seansie któryś z przyjaciół zacznie zadawać pytania: - Ile jest ich w Indiach? Gdzie mieszkają? Czy ktoś się nimi opiekuje? Czy trąd jest zaraźliwy? Dlaczego ci ludzie przebywają na ulicach, a nie w szpitalach? — Ktoś bardziej wrażliwy może zapyta: - Czy można im jakoś pomóc?

Otóż, jeśli nie było się dłuższy czas w Indiach, na żadne z tych pytań nie udzieli się odpowiedzi. Sytuacja trędowatych dotyczy wszystkich krajów tropikalnych. Jej zasięg jest więc światowy, zaś komplikacja polega na tym, że angażuje nie tylko medycynę, ale i wrodzone człowiekowi poczucie miłosierdzia.

Od początków cywilizacji, gdy rozproszone jednostki — aby łatwiej przeżyć — zaczęły się łączyć w stada, miłosierdzie było probierzem ludzkiego sumienia, wykładnią stosunku człowieka do człowieka. Równocześnie jednak stanowiło granicę między tymi, którym się powiodło, i tymi, którzy z takich czy innych powodów ponieśli klęskę lub zostali na nią skazani. Do tej grupy społeczności ludzkiej należą trędowaci.

Świat dobrze wie, że można by ich wszystkich uratować przeznaczając na ten cel zaledwie. tygodniowe, może dwutygodniowe wydatki na zbrojenia. Dlaczego więc świat nie przerzuci tych sum z jednego konta na drugie? No właśnie: dlaczego? Jest to tragiczny znak zapytania, jeden z najbardziej dramatycznych w naszej epoce.

Ojciec Marian w kontakcie z trędowatymi nie uzewnętrznia swoich doznań. Nie może. Jemu nie wolno. I tylko czasem, później, zwykle wieczorami, gdy wspomina początki swojej działalności w Purii i mówi
0 rozpoczęciu pracy na rzecz „odrzuconych", pochyla głowę albo wstaje
1 przez dłuższą chwilę chodzi po pokoju. Ale ja kolonię trędowatych nazywam „miejscem nieszczęsnym", a on „wioską nadziei".

Dziś trudno powiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach to osiedle zostało zlokalizowane właśnie tu, a nie gdzie indziej. Stało się to chyba wtedy, gdy jakiś samotny trędowaty spędził tu kolejną noc swojego żebraczego szlaku i uświadomił sobie, że jest to ostatnie jego miejsce w życiu, ponieważ nie ma już sił, aby iść dalej. Spędził więc tę noc w zaroślach, na ziemi, ale pomimo wilgoci i gryzących insektów, czyhających na wszystko, co nieruchome, doczekał świtu i zaczął wyglądać pierwszych tego dnia pielgrzymów zdążających do pobliskiej świątyni.

Nie wiem, ile prawdy jest w porzekadle, że „powodzenie oddala ludzi od siebie". Jestem natomiast zupełnie pewny, że nieszczęście przyciąga.

Ludzie osamotnieni, zaszczuci, lepiej czują się w grupie, łatwiej ich zauważyć, gdy domagają się jałmużny, jeden drugiego wiezie na prymitywnym, drewnianym wózku, jeden drugiemu oczyszcza i obwiązuje rany. I tak chyba powstała ta kolonia trędowatych, ta dzika wspólnota odrzuconych, skazanych na samotność przez okrutny trybunał losu. Do pierwszego trędowatego przysiadł się drugi. Konkurent, tak, ale będzie mu towarzyszem. Potem dokuśtykał trzeci, czwarty, może obok, pod gałęziami krzewu, zbudowała szałas z chrustu kobieta, która wraz z dziećmi postanowiła wejść na żebraczy szlak, aby nie porzucić kalekiego męża i ojca. Hindusi kochają małe dzieci. Widok nędzarskiej rodziny łatwiej do nich przemawia i powoduje, że ręka z mniejszymi oporami sięga do kieszeni.

Pierwsi osiedleńcy zorganizowali *Panczajat*, czyli radę. Wybrali swego przewodniczącego i płacili składki na rzecz najbardziej potrzebujących, chociaż są raczej nielitościwi nawet względem swojej społeczności. Każdy nowy przybysz musiał zapłacić za prawo zamieszkania w osiedlu. Dzisiaj przy tej samej drodze, a zwłaszcza w pobliżu świątyni Śiwy, siedzą dwa szeregi trędowatych. Jeden z nich o twarzy profesora uniwersytetu, z kocem zarzuconym na głowę czyta tekst jakiejś starej księgi. Jest tak pochłonięty lekturą, którą chyba traktuje jako modlitwę, że nawet nie widzi wycelowanego w siebie obiektywu mojego aparatu. Chociaż jest trędowaty, sprawia wrażenie, że recytuje tekst nie po to, by zwrócić na siebie uwagę pielgrzymów i otworzyć w ich sumieniach furtkę współczucia. Inni wyciągają ręce bez palców, wskazują okaleczone stopy, tulą do siebie dzieciaki w podartych szmatach, dzieciaki, które patrzą przed siebie nic nie widząc, z obojętnością dorosłych pozbawionych wszelkiej nadziei. Dwie stare żebraczki uśmiechają się, ale ich zdeformowane twarze ukazują grymas z pogranicza cierpienia i nienawiści. Inne, siedzące obok, są zupełnie apatyczne i zrezygnowane. Wszyscy oni wypracowali sobie jakieś indywidualne metody, jakiś własny styl, w ich przekonaniu najskuteczniejszy. Ci, którzy mogą chodzić, są bardziej agresywni. Wykorzystują odruchowy lęk ludzi zdrowych przed dotknięciem trędowatego.

Tak to się zaczęło...

Czy ojciec Marian wyrażając zgodę wobec władz zwierzchnich na objęcie misji katolickiej w Puri przewidywał, że w ramach swej działalności

będzie mu sądzone uzdrawiać trędowatych? No, może nie uzdrawiać, j ak to według tekstu *Ewangelii* (Mt 3,1-3) czynił Nauczyciel, ale 1 e c z y ć. To znaczy walczyć z chorobą, przywracać nadzieję, pobudzać utracone poczucie godności i prawa do miana obywatela, a z potomstwa zdejmować powoli przekleństwo związane z przynależnością do rodziny „odrzuconych".

Więc jednak ojciec Marian swoim działaniem uzdrawia trędowatych, przynajmniej wielu z nich, chociaż jest to proces bardzo skomplikowany, długotrwały i zależny nie tylko od lekarza.

Wrócę jeszcze do tego zagadnienia, a teraz muszę się cofnąć do dnia przybycia ojca Mariana do Puri i do jego pierwszej rozmowy z matką Julią, przełożoną sióstr szarytek.

- Proszę matki - powiedział wtedy - decydując się na objęcie tutejszej misji naszkicowałam z grubsza pewien plan, pozwalając sobie, oczywiście, wziąć pod uwagę obecność w Puri waszego zgromadzenia... Proszę o pomoc. W pierwszym rzędzie o zorientowanie mnie w sytuacji i wskazanie takich miejsc, do których mógłbym dotrzeć z posłannictwem Jezusa.

Wtedy matka Julia powiedziała ojcu Marianowi o osiedlu trędowatych.

- To jest teren pozbawiony jakiejkolwiek kontroli i najmniejszej bodaj opieki ze strony władz. Gdy coś się tam wydarzy, docierają do nas okruchy wieści, ale ludzie szybko o tym zapominają, bo się wstydzą, że coś takiego w ogóle istnieje tuż koło nich. Ci nieszczęśnicy mieszkają w prowizorycznych szałasach, które sobie pobudowali. Zżera ich nie tylko trąd, ale i inne choroby. Na tym podmokłym gruncie, zwłaszcza w porze deszczowej, są atakowani przez moskity, insekty i szczury. A są tam przecież całe rodziny, kobiety i dzieci... Tym ludziom potrzebne jest wszystko, ponieważ wszystkiego są pozbawieni. Myślałam już wcześniej, czy nie należałoby im jakoś ulżyć, ale jest nas za mało. Niedawno ukończyłyśmy budowę małej przychodni przy zgromadzeniu i w miarę możliwości udzielamy pomocy ambulatoryjnej okolicznym nędzarzom, ale potrzebujących opieki jest coraz więcej...

Ojciec Marian doskonale zna ten próg, o który potknęły się ostatnie słowa matki Julii. Rozumie Indie i wszystkie problemy wynikające ze stale powiększającej się ilości obywateli. Matka Julia uniosła nieco opuszczoną ze smutkiem głowę i powiedziała:

- Wiedziałam, że ojciec ma przyjechać, i cieszyłam się na tę chwilę. Miałam nadzieję... proszę mi wybaczyć, ale żywiłam cichą nadzieję, że może razem z ojcem, może wspólnie...

Zapadło krótkie milczenie, ponieważ to, o co ojciec Marian zamierzał teraz zapytać, wydawało mu się bardziej ważkie niż propozycja współpracy zadeklarowana przez matkę Julię. Tej współpracy był pewny.

- Proszę matki... czy władze, to znaczy, czy miejscowe władze zechcą nam na taką działalność zezwolić?

Matka Julia nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Ależ tak, z pewnością. Będzie im nawet na rękę, że ktoś zechce zająć się problemem, którego oni nie potrafią rozwiązać. Na szczęście, gubernatorem stanu jest Ali Khan, muzułmanin, ale szczerze wrażliwy na ludzką nędzę. Niestety, sam niewiele może poradzić, kraj ma ogromne potrzeby, a środki ograniczone. Realizuje więc przede wszystkim sprawy podstawowe, a tego i tak jest mnóstwo.

- Jutro - powiedział zdecydowanie ojciec Marian - odprawię Mszę świętą o godzinie szóstej rano. A potem, po spotkaniu z Chrystusem, zamelduj ę się u prezydenta miasta. Chciałbym się przedstawić i poprosić o życzliwość i zaufanie. Na razie nie będę o nic innego zabiegał. Znam swoje uprawnienia wynikające z konstytucji, a także ograniczenia. Postaram się bycz nimi w zgodzie, ale równocześnie robić to, co uważam za konieczne.

Prezydent miasta rozmawiał z ojcem Marianem rzeczowo, ale z dystansem, chłodno. Jednakże zgodził się na przedstawioną propozycję pomocy trędowatym.

Kilka dni później ojciec Marian pojechał z matką Julią do kolonii. Zostawili samochód na drodze i wydeptanymi ścieżkami weszli między zarośla. Mieszkalne szałasy były do siebie podobne - sklecone z gałęzi i palmowych liści. Niektóre, nieco większe, z pewnością zajmowane przez rodziny, miały nawet niewysokie ściany z gliny. Okopcone kamienie na przedprożach spełniały rolę kuchennych palenisk.

- Skąd ci ludzie biorą wodę do picia? - zapytał ojciec Marian.

- Tu obok jest niewielka sadzawka, rodzaj bajora, i chyba stamtąd - wyjaśniła matka Julia.

Kilkoro małych, zupełnie nagich dzieciaków nieufnie przyglądało się dziwnym gościom.

Nagle usłyszeli czyjś histeryczny krzyk: - Zabierzcie stąd te kury! Zabierzcie kury!

Pobiegli w stronę, skąd dochodziło wołanie. Między dwiema chatami ujrzeli leżącą na ziemi starą kobietę w łachmanach, której obrzękłą stopę bez palców dziobała czarna kura. Ojciec Marian odgonił ptaka i pochyli! się nad kobietą.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, z uwagą dobierając słowa, był to bowiem jeden z pierwszych jego kontaktów z żywym językiem *orija*.

- Nie chcę niczego - wyjęczała kobieta. - Żeby tylko te kury mnie nie dziobały.

W jej otwartej ranie na nodze ojciec Marian ujrzał białe robaki.

- Czy w przychodni u matki są jakieś środki opatrunkowe? Gaza, bandaże, coś do dezynfekcji?

- Tak. Mamy trochę, ale jeśli będzie trzeba, postaramy się o więcej.

- Będziemy tego potrzebowali bardzo dużo - powiedział ojciec Marian.

Minęli jeszcze kilka szałasów, obserwowani przez znajdujących się tam ludzi. Niektórzy siedzeli, inni leżeli, bezradni w swym kalectwie, i sprawiali wrażenie zupełnie apatycznych, zrezygnowanych.

- Tu nie wolno przychodzić — usłyszeli czyjś głos z wnętrza pobliskiego szałasu. - Zostawcie nas w spokoju.

- Słyszał ojciec? - spytała matka Julia.

- To nas nie dotyczy — odparł zdecydowanie ojciec Marian. Teraz już wiedział, co należy dla tych ludzi zrobić w pierwszej kolejności.

Obok, na kupie cuchnących śmieci, żerowały dwa duże szczury. Matka Julia zauważyła je także.

- Szczury podgryzają trędowatych w nocy - powiedziała. - Ich gnijące kończyny są nieczułe na ból, ale ukąszenie szczura może zakazić chore miejsce i zatruć cały organizm. Walka z nimi jest niemożliwa na obecnym poziomie sanitarnym kraju.

W chwili gdy ojciec Marian zastanawia! się nad odpowiedzią, ujrzał siedzącą przed chatą młodą kobietę w brudnym, zielonym *sari.* Oparta o ścianę z chrustu, nogi miała szeroko rozstawione, a jej ręce spoczywały na brzuchu tak wydętym, jakby w jego wnętrzu znajdowała się piłka sporych rozmiarów.

- Ta kobieta będzie wkrótce rodzić - powiedziała matka Julia.

- Trzeba będzie ją zawieźć do szpitala.

- Nie przyjmą jej - powiedziała twardo matka Julia.

- Nie przyjmą? - zdziwił się ojciec Marian.

- Ojciec nie zna tutejszych zwyczajów. Ona jest trędowata. A nawet jeśli nie jest trędowata, to z pewnością ktoś z jej rodziny jest trędowaty, skoro ona tu mieszka. A to wystarczy.

- To wystarczy — powtórzył szeptem ojciec Marian.

- Tak. Należy do grupy „odrzuconych". Może żyć, ale poza tym nie ma żadnych innych praw.

I tak się zaczął patronat matki Julii i ojca Mariana nad osiedlem trędowatych. Patronat na razie nieoficjalny, w sferze projektu, ale już zdecydowany. Teraz trzeba było czekać na okazję, aby go zacząć realizować. Matka Julia gromadziła środki opatrunkowe i dezynfekcyjne,

zaś ojciec Marian szukał sposobów nawiązania ściślejszego kontaktu z miejscowymi władzami.

Na początku listopada 1975 roku nadarzyła się okazja, aby z ideą patronatu nad osiedlem „odrzuconych" wystąpić oficjalnie. Trudno ustalić, od kogo wyszła inicjatywa, faktem jest, że ówczesny wojewoda okręgu Puri zwołał konferencję w sprawie opieki nad ludźmi potrzebującymi pomocy i do udziału w niej zaprosił, oprócz przedstawicieli miejscowych instytucji dobroczynnych, także reprezentantów różnych wyznań. Wszystkich oprócz kapłanów świątyni Dżagannathy. W czasie tej właśnie narady padło pytanie: co można by zrobić dla mieszkańców kolonii trędowatych, która powstała samorzutnie w obrębie, chociaż na peryferiach, miasta, a skoro już powstała, nie ma sensu dalej udawać, że jej nie ma. I wówczas, w ramach dyskusji, ojciec Marian poprosił o głos i powiedział, że misja katolicka chciałaby roztoczyć patronat opiekuńczy nad tą osadą. Patronat wyłącznie charytatywny i opiekuńczy w dosłownym rozumieniu tego słowa. Gdy propozycja została przyjęta, ojciec Marian od razu wyjaśnił plan, omówiony już wcześniej z matką Julią. On, w towarzystwie dwóch, trzech sióstr ze Zgromadzenia Sióstr Szarytek będzie dwa razy w tygodniu odwiedzał kolonię, udzielając pomocy chorym i kalekim. Wspólnie będą opatrywali ich rany, a następnie przystąpią „do szeroko pojętej akcji lekarskiej w postaci »ruchomej kliniki« albo - jeśli panowie wolicie - »kliniki na kołach«. Mamy nadzieję na otrzymanie od naszych zwierzchnich władz misyjnych wozu terenowego, który zostanie przygotowany do realizacji zamierzeń".

Istotnie. Wkrótce potem misja otrzymała od arcybiskupa wóz terenowy, który został przerobiony na ambulatorium lekarskie. Dzisiaj ojciec Marian wspomina tamte czasy mówiąc:

- Od samego początku było sprawą oczywistą, że moja praca misyjna musi polegać na dawaniu świadectwa Ewangelii, świadectwa miłości bliźniego i szacunku dla każdego człowieka, i nie tylko dla człowieka, ale w ogóle - dla wszystkiego, co Bóg stworzył. W hinduizmie jest to szczególnie wyeksponowane i powoduje widoczne skutki. I chociaż teoria często mija się z praktyką dnia codziennego, zasada nie czynienia nikomu krzywdy stanowi piękny fundament tej wiary. A że nasza działalność była obserwowana... No cóż, Jezusa także śledzili faryzeusze.

Regularnie dwa razy w tygodniu ambulans misji ze znakiem Czerwonego Krzyża przeciskał się główną ulicą Puri - Tempie Road - przez tłum przechodniów, handlarzy i pielgrzymów. Zmierzając ku osiedlu trędowatych, mijał najpierw główne wejście do świątyni Dżagannathy, następnie skręcał w prawo, aby przy kaplicy Hanumana - gdzie zawsze kłębi się

mnóstwo ludzi i krów - przejechać obok bocznej bramy, ozdobionej dwoma posągami rycerzy na koniach, wojowników, którzy mierzą dzidami w leżących na ziemi wrogów. W tradycyjnym, odwiecznym - można powiedzieć - pejzażu Puri, samochód został oczywiście natychmiast zauważony nie tyle przez pielgrzymów, ile przez stałych mieszkańców. W mieście zawrzało. Plotki oparte na domysłach podawano sobie z ust do ust. Rychło dotarły do władz: „Po co oni, ci chrześcijanie, tam jeżdżą? Z pewnością po to, żeby nawracać tych nieszczęśliwych trędowatych, żeby Dżagannathcie odebrać wyznawców".

Ojciec Marian zdawał sobie sprawę, że akcja misji jest nieustannie śledzona przez władze, które zaangażowały nawet specjalnych „obserwatorów", zaś ich zadanie polegało na śledzeniu, czy pod pretekstem pomocy lekarskiej nie jest uprawiana chytra propaganda religijna.

W tym czasie przypadek zetknął ojca Mariana z doktorem Mahapatrą, lekarzem pochodzącym z kasty braminów. Zgodził się on - za opłatą oczywiście - współpracować z misją i leczyć najbardziej potrzebujących pomocy. Dopiero dużo później wyszło na jaw, że należał do grupy „obserwatorów", co mu zresztą nie przeszkadzało w sumiennym wypełnianiu czynności zawodowych. Od początku akcji ojciec Marian marzył właśnie o kimś takim, jak doktor Mahapatra, zaangażowanym na stałe. Lekarz musiał jednak spełniać dwa warunki: być dobrym, oddanym sprawie fachowcem i zasługiwać na zaufanie.

Nie tylko przejazd przez miasto „kliniki na kołach" był obserwowany. Nadzorowi - i to wcale nie dyskretnemu - podlegały przede wszystkim zabiegi. Ponieważ wszyscy znali dni i godziny odwiedzin ambulansu w osiedlu trędowatych, za każdym razem, gdy ambulans tam docierał, oczekiwany był przez grupę bardziej lub mniej licznych świadków. Ojciec Marian i szarytki, a także doktor, musieli się na to zgadzać, chociaż nachalna obecność gapiów nie ułatwiała pracy. Śledzili każdy krok, każdy gest, każde słowo. Często z ich strony docierało jakieś prowokacyjne zdanie lub ironiczny komentarz. Ale jedno było bezsporne: dzięki akcji misji mieszkańcy Puri dostrzegli swych nieszczęśliwych współbraci, zaś niesienie im bezpłatnej pomocy lekarskiej musiało wywołać jakieś echa w sumieniach wielu ludzi, dotychczas obojętnych na los innego człowieka.

W roku 1976 premier Indira Gandhi ogłosiła stan wojenny w całych Indiach. Ponieważ doktor Mahapatra nie był członkiem Partii Kongresowej, aby uniknąć różnego rodzaju szykan, musiał wyjechać z Puri i ukrywać się gdzieś na prowincji. Gdy nastąpiły pierwsze oznaki normalizacji, napisał długi list do ojca Mariana, oferując swoją współpracę z misją na stałe. Jego propozycja została przyjęta i od tego czasu doktor

Mahapatra związał swoje życie zawodowe z działalnością misji katolickiej. Jest hinduistą, ale powiedział kiedyś, że chciałby w przyszłym wcieleniu urodzić się katolikiem. Jego najmłodsza córka ma na imię Maria, chociaż nie została ochrzczona.

Zorganizowana opieka medyczna - zresztą nie tylko medyczna - spowodowała nagły wzrost liczebności mieszkańców wioski trędowatych. „Klinika na kołach" zatrzymywała się na zmianę pod drzewami w trzech pierwszych skupiskach szałasów. Pomocy doraźnej udzielano także przychodzącym, którzy wprawdzie żyli w Puri, ale nie mieli stałego miejsca pobytu.

W każdej ludzkiej działalności istnieje pewna prawidłowość. Polega ona na tym, że dopiero po zrobieniu pierwszego kroku człowiek uświadamia sobie ogromną drogę, jaką musi przebyć, aby, choć osiągnięcie celu w pełni jest niemożliwe, przybliżyć się do niego maksymalnie. Właśnie tak było z ojcem Marianem. Z dnia na dzień uświadamiał sobie coraz bardziej, jak ogromnego podjął się zadania, i poczuł lęk, czy będzie miał dość sił i środków, aby je realizować chociażby w części.

Dzisiaj, po dwunastu prawie latach pracy tutaj, nawet mu do głowy nie przyjdzie, aby - bodaj w swym sumieniu - przeprowadzić coś w rodzaju bilansu, podsumowania. Wie, że zrobił dużo, ale równocześnie zdaje sobie sprawę, że swoją działalność musi nieustannie rozwijać i poszerzać. Jedno ma prawo powiedzieć sobie z całym przekonaniem: że wprowadził Jezusa na jedną z takich indyjskich ścieżek, które przez wiele lat, a może nawet wieków, były zarośnięte gęstymi, ciernistymi krzakami, uniemożliwiającymi dostęp człowieka do człowieka. Dzisiaj ojciec Marian mówi wprost:

- To było bezpańskie, ugorne pole, które chrześcijaństwo musiało zacząć uprawiać. Bo po czym poznać chrześcijanina? Jakie inne, prócz miłosierdzia, może dawać świadectwo miłości bliźniego? Jak inaczej może okazać, że zna Ewangelię i przestrzega jej wskazań? Nasza praca wśród trędowatych miała ich także przekonać, że można stworzyć w stosunkach między ludźmi klimat życzliwości. Musieliśmy wysiać ziarno miłosierdzia w tę skamieniałą od wieków glebę hinduskiej tradycji. Byliśmy pewni, że jakieś nasiona zakiełkują w ludzkich duszach i wydadzą plon w postaci szlachetnej refleksji.

Ojciec Marian daleki jest od wąsko pojętej filantropii. On wie, że aby przywrócić godność człowiekowi, nie wystarczy zapewnić mu godnej miana człowieka egzystencji lub śmierci. Trzeba jeszcze w nim samym rozbudzić poczucie odpowiedzialności za siebie, za najbliższych mu i także za całą wspólnotę. A tę odpowiedzialność można wzbudzić jedynie przez pracę, przez wysiłek, przez podjęcie obowiązków.

I tak powstała idea leczenia nie tylko ciał, ale i dusz, bowiem dusze trędowatych są. podobnie okaleczone jak ich ciała. Może nawet bardziej. Terapią nie mogła być nauka o ofierze Zbawiciela, bo to byłoby za trudne. Chrzest także nie wchodził w rachubę - to byłoby za łatwe. Kiedyś, dawno temu, misjonarze z Kataka ochrzcili kilku trędowatych i rozwścieczeni ludzie zdemolowali misję. Zdarzały się też wypadki aresztowania i osadzania w więzieniach co gorliwszych misjonarzy. Zbytnia gorliwość nie zawsze idzie w parze z mądrością. Bo plonów nie daje się zebrać przed posianiem. Najpierw trzeba zaorać pole, rzucić w glebę ziarno, a następnie bardzo długo czekać. W tym wypadku ziarnem musi być nie słowo, lecz przykład.

W Puri nie ma szpitala dla trędowatych. Owszem, jest niewielki państwowy szpitalik obok kolonii, wprawdzie z ogrodem, otoczony murem, ale na siedemdziesiąt miejsc zaledwie. Ogromna większość chorych pozostaje bez żadnej opieki. Nie istnieje też zorganizowana pomoc dla wyleczonych, bo także z wyleczonymi - czy zaleczonymi - są kłopoty, gdyż nikt nie chce ich zatrudniać. Nawet dzieci są napiętnowane. Jest to błędne koło. Chory nie idzie do szpitala, boi się nawet prosić o lekarstwa, bo to go automatycznie stawia po stronie „odrzuconych". Do czasu kiedy choroba nie ujawni się sama, człowiek zarażony nią żyje jakby w podziemiu, w konspiracji, i tylko czeka, kiedy nadejdzie moment katastrofy, stan, którego dalej ukrywać się nie da. Jest to chyba najcięższy okres w życiu trędowatego. Okres pełen strachu, wsłuchiwania się w siebie i nieustannej obserwacji ciała. Często jednak ludzie mający świadomość zagrożenia, aby się ratować, proszą o pomoc. Przedstawiciel rządu stanowego rozdawał im lekarstwa, D.D.S. - Dapson, ale wszak trędowaci zapadają też na inne choroby. Żyjąc w warunkach antysanitarnych, w ulicznym brudzie, nierzadko jedząc odpadki znalezione na śmietnikach, łatwo zapadają na schorzenia płuc, nerek, wątroby i serca, dręczą ich różnego rodzaju infekcje, powodujące najczęściej biegunkę, dyzenterię czy tyfus. Wielu ludzi choruje na *elephantiasis* - to sprawa komarów wyjątkowo tu złośliwych - a także na reumatyzm, artretyzm, na wrzody, parchy, ropnie i egzemy... Na absolutnie wszystko, co powoduje bliski kontakt z ekskrementami, śmieciami, rynsztokami, padlymi zwierzętami i wszelkiego rodzaju otwartym brudem. W takich okolicznościach zwierzęta zarażają ludzi, a ludzie zwierzęta. Skutki tej dramatycznej „wymiany" widoczne są na każdym kroku.

Już w pierwszym okresie osobistego kontaktu z trędowatymi ojciec Marian ustanowił następującą gradację ich potrzeb: jedzenie, odzież, warunki mieszkaniowe, leczenie i reedukacja moralna. O ile sprawę żywności i odzieży można było załatwić stosunkowo łatwo, poprawienie

warunków mieszkalnych stanowiło poważny problem. Techniczny i finansowy. Tak mówi o tym teraz:

- Ponieważ ich szałasy były strasznie prymitywne, gorsze niż psie budy w Europie, więc chodziło o to, aby zbudować nowe domki, jednoosobowe i rodzinne, lepsze, z jakimś zapleczem sanitarnym. Myśmy z matką Julią na teren „dzikiej kolonii" weszli po to, żeby tym biednym kalekom najpierw ułatwić i uprzyjemnić życie, a potem leczyć, żeby ci ludzie uwierzyli, że nie są sami, zaszczuci i wypędzeni poza nawias społeczeństwa, ale że ktoś się nimi opiekuje z samego poczucia solidarności ludzkiej, żeby nie rodzili się i nie umierali w błocie, w śmieciach i odchodach i żeby odzyskali wiarę w poczucie własnej, ludzkiej godności. No i jeszcze - żeby ich potomstwu zapewnić życiowy start.

Boże! - chciałoby się zawołać. - Jak strasznie dużo można wypowiedzieć w jednym tylko zdaniu!

Wstręt i odraza do trędowatych, a także lęk przed zarażeniem - to naturalny odruch ludzi zdrowych. Długoletni i bezpośredni kontakt z trędowatymi ojca Mariana i sióstr szarytek musiał w ich świadomości spowodować rewizję tej postawy zarówno wobec samych chorych, jak i ich potomstwa.

- Skoro oni nie boją się zarazić - zaczęto mówić - widocznie z tymi trędowatymi nie jest tak, jak myśleliśmy dotychczas.

Oto drobny przykład, jeden z wielu: na farmie kurzej pracuje kilkunastoletni chłopiec, urodzony w kolonii, syn rodziców trędowatych. Chociaż skończył pięć klas w szkole przy kolonii, właśnie z tego powodu nie przyjęto go do państwowej szkoły. Zaczął więc pracować na kurzej farmie. Ale koledzy spoza kolonii, którzy go dotychczas unikali, teraz go odwiedzają. Nie tylko razem się bawią, ale także wspólnie spożywają posiłki, używając tych samych talerzy i szklanek.

Dawniej trąd uważano za jednoznaczny i nieodwołalny wyrok skazujący. Mówiło się: „Raz trędowaty - na zawsze trędowaty". A także: „Potomstwo trędowatych - na zawsze trędowate". Dzisiaj, dzięki przykładowi ojca Mariana i innych misjonarzy, ostrza tych maksym nieco się stępiły. Ale mimo to wielu trędowatych nie chce zamieszkać w wiosce. Wolą żebrać, spać gdziekolwiek i posilać się byle czym. Bo ciągle jeszcze słowo „trędowaty" kojarzy się z zabobonnym słowem „potępiony".

Zbliżał się poród jednej z kobiet. Ojciec Marian zawiózł ją ambulansem do miejskiego szpitala. Długo musieli czekać przed wejściem. W końcu powiedziano im, że pani doktor nie ma teraz czasu. W drugim szpitalu powiedziano wprost: Trędowatych nie przyjmujemy. — Gdzie więc ma

rodzić ta kobieta? - zapytał ojciec Marian i usłyszał odpowiedź: - Nie wiemy. - W kolejnym szpitalu została przyjęta, ale już było za późno na interwencję. Kobieta zmarła razem z dzieckiem, które nawet nie zdążyło otworzyć oczu. Trudno się dziwić lekarzom, że nie chcą się zajmować trędowatymi. Straciliby pacjentów.

Pewnego razu trzeba było zrobić dwie amputacje w przychodni przy misji. Usiłowano pożyczyć instrumenty, ale wszędzie im odmawiano, gdyż nikt nie zgodzi się używać instrumentów po zabiegu dokonanym na trędowatym. Nie było innego wyjścia jak kupić - i to bardzo prędko - cały komplet narzędzi chirurgicznych.

W drodze do kolonii ojciec Marian ujrzał leżącą przy drodze kobietę. Jej obie nogi to były szerokie, ropiejące, otwarte rany. Nie mogła iść dalej i upadła. Mimo natychmiastowej pomocy kobieta zmarła tego dnia wieczorem. Gangrena posunęła się za daleko. - Zmarła hinduistką, ale w objęciach Chrystusa - mówi Matka Teresa z Kalkuty. A ojciec Marian dodaje: - Może każdy z nas umiera w objęciach Jezusa? Co my, żywi, możemy o tym wiedzieć? - i znów powraca do wspomnień, bo wspomnienia to taka choroba, na którą nie ma lekarstwa.

- Kiedy byłem w Dachau i w Gusen, pomagałem często w obozowej infirmerii. Raz opiekowałem się chorym na krwawą biegunkę. Stan biedaka był opłakany: krwawa biegunka była poza kontrolą. Opar kału ludzkiego wychodził spod jego ciała. Z pomocą pielęgniarza umyłem go i ubrałem w świeżą bieliznę. Gdy go położyliśmy do łóżka na świeżej pościeli, wdzięczny, jakby marzący szept wyszedł mu z ust: „Teraz czuję się tak dobrze, teraz chciałbym umrzeć". I umarł...

Ojciec Marian robi trędowatym opatrunki, oczyszcza rany, uczestniczy w zabiegach i operacjach. Rany trędowatych są szczególnie odrażające: robaki, gnilec, smród. Jedyny ratunek to wyobrazić sobie, to przekonać siebie, to wmówić w siebie, że są to rany Chrystusa.

Ojciec Marian mówi: - Niech mi Pan Jezus przebaczy, że w pewnych sytuacjach pracowałem przy nich z półprzymkniętymi oczami.

- Czy ojciec doświadczył kiedy obecności Chrystusa? - zapytał ojca Mariana pewien turysta, oficer irlandzki, i dodał: - Takiej bliskiej, bezpośredniej, jakby ojciec spotkał nagle kogoś znajomego?

- Tak - odparł bez wahania ojciec Marian. - Widzę Chrystusa zawsze wtedy, gdy pozdrawia mnie trędowaty.

Raz wiózł do szpitala starego człowieka, niewidomego, którego potrąciła w tłumie motorowa riksza. I nagle ten staruszek - a nie mógł przecież wiedzieć, że ojciec Marian jest księdzem - zaczął bardzo głośno śpiewać: -Niech żyje Bóg, niech żyje Pan Jezus! - Jakby tym śpiewaniem

chciał zagłuszyć swoje cierpienie. Wtedy ojciec Marian miał wrażenie, że między nimi, w tym samochodzie, jest także Chrystus.

- Nie można zamykać drzwi przed Chrystusem - mówi ojciec Marian. - Gdyby ludzie o tym wiedzieli, z pewnością dużo mniej byłoby samotnych. Czasem przychodzi starzec albo staruszka, prosi o przyjęcie do kolonii i zostaje. Nawet gdyby aktualnie nie było miejsca, muszą zostać. No bo co zrobić z człowiekiem, który nie ma dokąd pójść, a zresztą niewiele ma już kroków przed sobą? I jakoś się takich przytula. Mamy w kolonii pomieszczenia zapasowe, na wszelki wypadek. Ale gdy ktoś nowy przychodzi, to aby zostać, musi uzyskać zgodę Rady Kolonii, czyli *Panczajatu.* Każde takie zdarzenie wywołuje spory, dyskusje, przetargi, często dość upokarzające dla petenta. Każdy trędowaty najbardziej obeznany jest z upokorzeniem. Trąd to choroba, która znieważa nie tylko organizm człowieka, ale przede wszystkim jego godność. Niszczy go więc pod każdym względem. Gorzej: unicestwia.

Kolonia trędowatych organizuje się

Podczas pierwszego pobytu w leprozorium byłem wstrząśnięty, przerażony. Podczas drugiego - wrażenie było mniej silne. Każda kolejna bytność tam stępiała jakby moją wrażliwość. Wiem, że wstrząs, przerażenie i szok pierwszego spotkania z tym bezmiarem ludzkiej nędzy powróci w miarę oddalania się od kolonii trędowatych, w miarę upływu czasu, i będzie się potęgował. Przewiduję, że refleksja dopadnie mnie znów, jak przed dwoma łaty, dopiero po powrocie do kraju, kiedy już nie w bezpośrednim kontakcie, nie w rzeczywistości, ale na moich dokumentalnych slajdach zobaczę tych okaleczonych ludzi, ich dzieci z problematyczną przyszłością, ich nędzne chatki z gliny, a między nimi białą postać ojca Mariana, jego uśmiechnięte oczy, uśmiechnięte dlatego, aby smutek miał się za czym ukryć, i jego ręce, którymi dotyka ran z taką samą czułością, z jaką dotykałby Chrystusa po zdjęciu z krzyża. I może wtedy nareszcie uświadomię sobie, jak bardzo powinienem być wdzięczny Bogu, że nie skazał mnie na takie cierpienia, jakich doświadczają setki podopiecznych ojca Mariana. Setki moich braci i sióstr - ta ogromna, skupiająca soczewka mojego sumienia.

Wydawać by się mogło, że po zapewnieniu stałych dostaw żywności dla najbardziej potrzebujących i opieki lekarskiej, drugim z kolei problemem, jaki nasz rodak - misjonarz postanowił rozwiązać, będą

warunki mieszkaniowe jego podopiecznych. Ale nie. Uznał, że przede wszystkim musi się zatroszczyć o ich nogi, o ich zaropiałe stopy, bo one przecież mają najbliższy kontakt z tym, co najbrudniejsze, a więc stale grożą zainfekowaniem całego organizmu i w konsekwencji gangreną. Pan Huismans, obywatel Holandii, odpowiedział ria prośbę-apel ojca Mariana, zrozumiał jego troskę i wystarał się o fundusze na zbudowanie i wyposażenie warsztatu szewskiego. Pracownia została uruchomiona bardzo prędko. Jeszcze zanim została ukończona, ojciec Marian sprowadził ze swojego poprzedniego miejsca w Purulia (stan Madhia Pradesz) młodego szewca, który nie tylko umiejętnie wyposażył warsztat w odpowiednie narzędzia, ale - co ważniejsze - znalazł i wyuczył zawodu swego następcę, który prowadzi zakład do dzisiejszego dnia. Obaj z ojcem Marianem starają się o surowiec: gumę ze starych opon, paski skórzane, igły, dratwę i klamerki. Pracownia szewska pracuje na deficycie. Klient-trędowaty płaci jedną trzecią ceny obuwia, dwie trzecie wydatków subsydiuje misja. Ten wielki wydatek misji jest więcej niż uzasadniony. Ortopedyczne buty należą do zakresu opieki medycznej i to podstawowej. Trąd to choroba, która atakuje zewnętrzne nerwy człowieka, niszcząc je i pozbawiając czucia przede wszystkim ręce i nogi. Wynik tego jest często katastrofalny. Matka kładzie czasem garnek z ryżem na otwarte palenisko, bo takich tylko piecy się używa, za późno spostrzegając, że włożyła rękę w płomień. Prawie sześćdziesiąt procent trędowatych musi iść do swego „warsztatu" pracy, którym jest żebranie, prawie dwa kilometry z osiedla do głównej ulicy Puri. To ich codzienna droga krzyżowa. Pozbawione czucia nogi nie reagują na kaleczące kamienie ulicy. Guma, stanowiąca najistotniejszą część obuwia., wchłania to, co może zranić pozbawioną czucia nogę. Ponieważ schorzenia trędowatych w różnym stopniu deformują ich nogi i nawet po zaleczeniu zostawiają różne ubytki, obuwie musi być wykonane na indywidualny „obstalunek". Szewc robi też buty i sandały na normalne nogi, sprzedaje je nawet zdrowym odbiorcom i w ten sposób zarabia na siebie oraz na materiał, którego zawsze musi mieć pod dostatkiem. W każdym razie podopieczni ojca Mariana przestali kuśtykać na owiniętych szmatami kalekich stopach. To uratowało życie wielu chorym, wpłynęło też dodatnio na ogólny stan ich zdrowia.

Za pieniądze uzyskane we Włoszech dzięki osobistym staraniom matki Julii, zbudowano obok pracowni szewskiej przychodnię lekarską, aby możliwie mocno zaakcentować jakby punkt centralny przyszłego osiedla, które swoją „strukturę urbanistyczną" zaczęło powoli wyłaniać z pierwotnej, bezplanowej i bezładnej zabudowy. Powstały uliczki, które połączyły trzy pierwsze, dzikie osiedla w jedną całość. Kolonia zaczęła

Plac przed świątynią Dżagannathy w Puri. Na lewo ambulans o. Mariana

Kolonia trędowatych - ambulans przyjechał do chorych

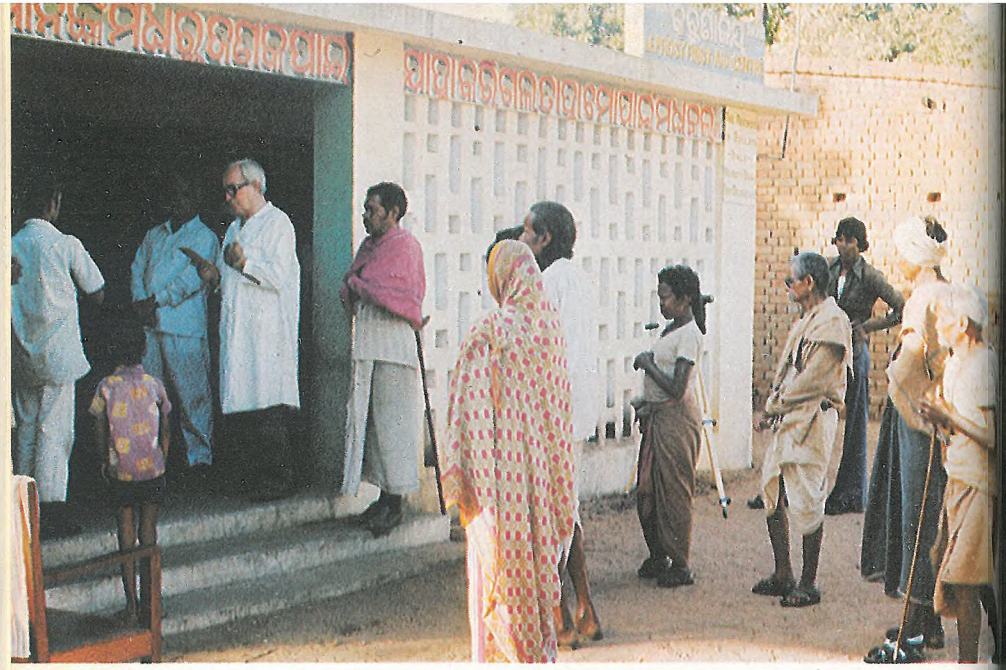

Modlitwa przed rozpoczęciem zabiegów

Odwiedziny trędowatej staruszki

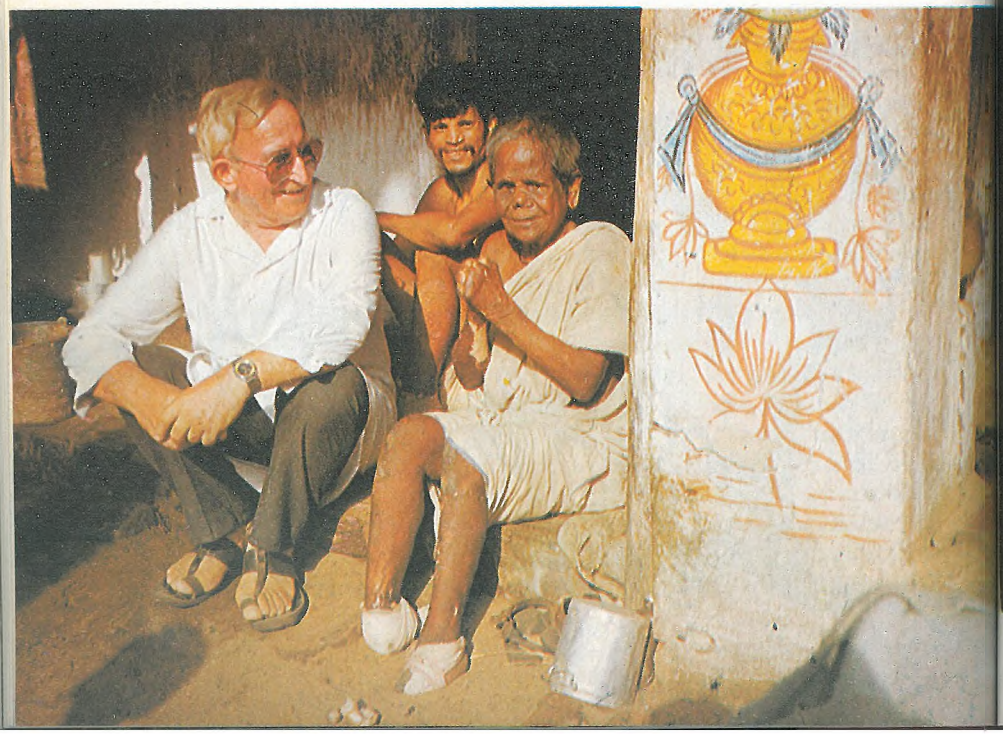

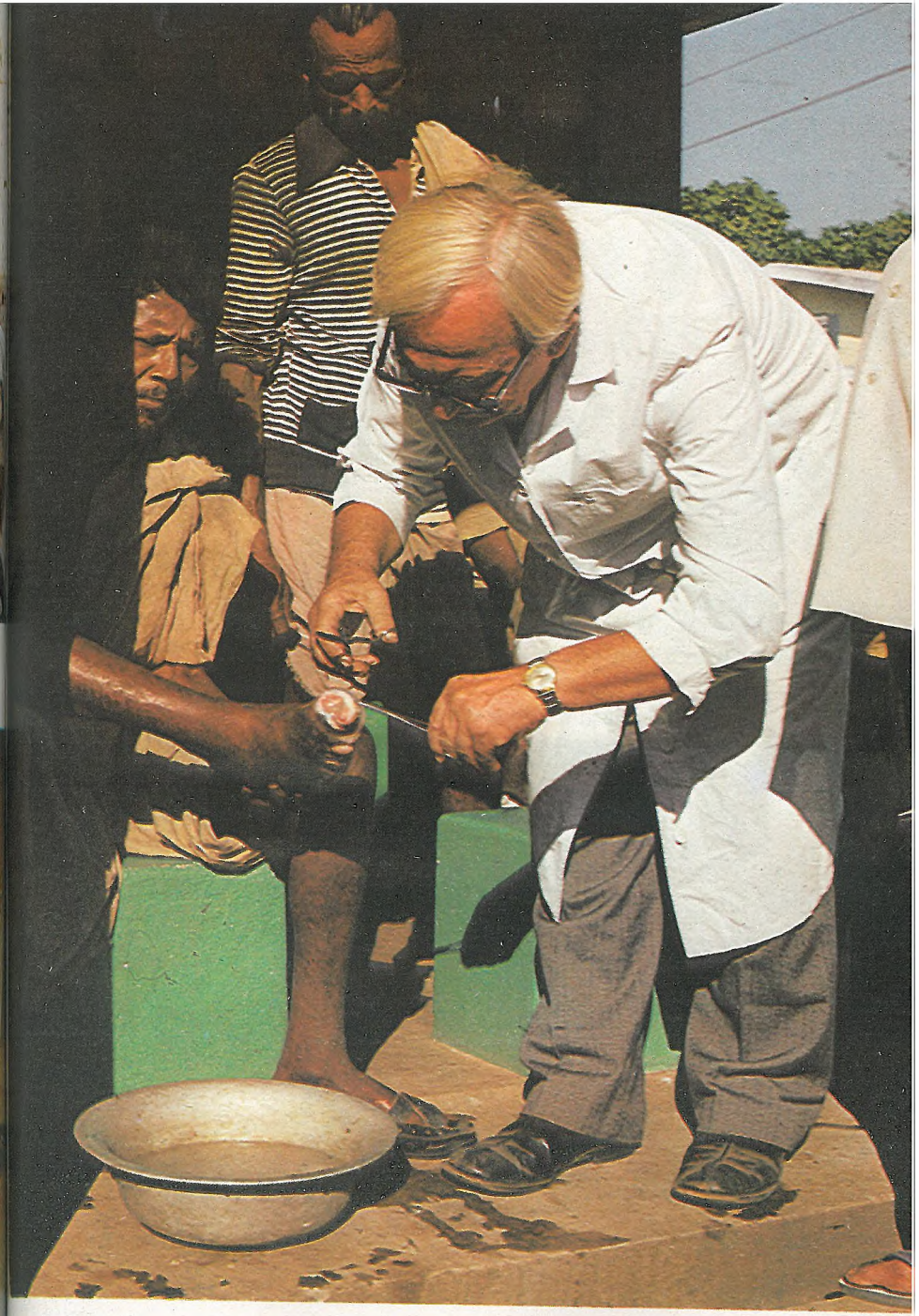

Ojciec Marian opatruje trędowatego

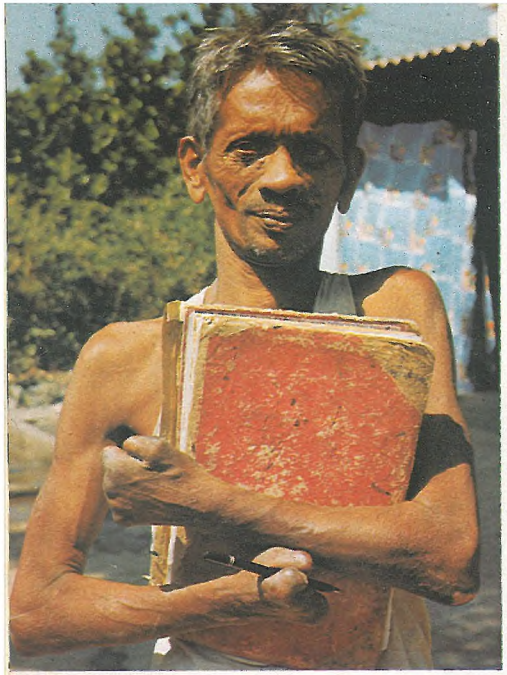

Księgowy Kuchni Miłosierdzia

Przed szkołą Beatrix w kolonii trędowatych

Posiłek podczas dużej pauzy w szkole Beatrix

Opieka nad młodszym rodzeństwem

Rekreacja w szkole dla dzieci trędowatych

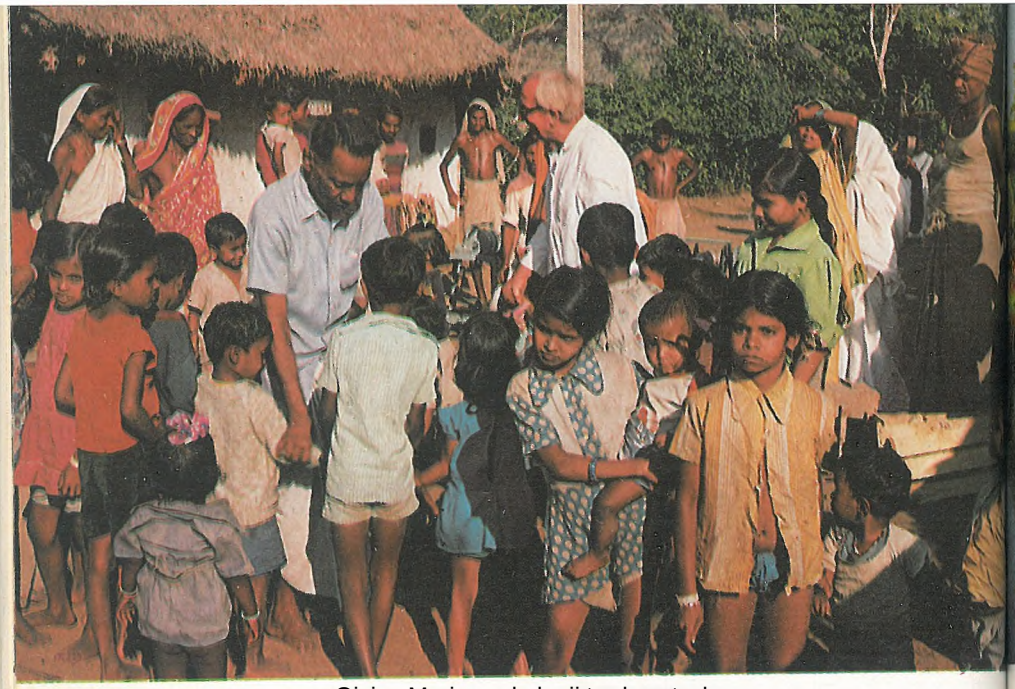

Ojciec Marian w kolonii trędowatych

„Ogród nadziei” w kolonii trędowatych

Ulica w kolonii trędowatych

Wytwórnia powrozów w kolonii trędowatych

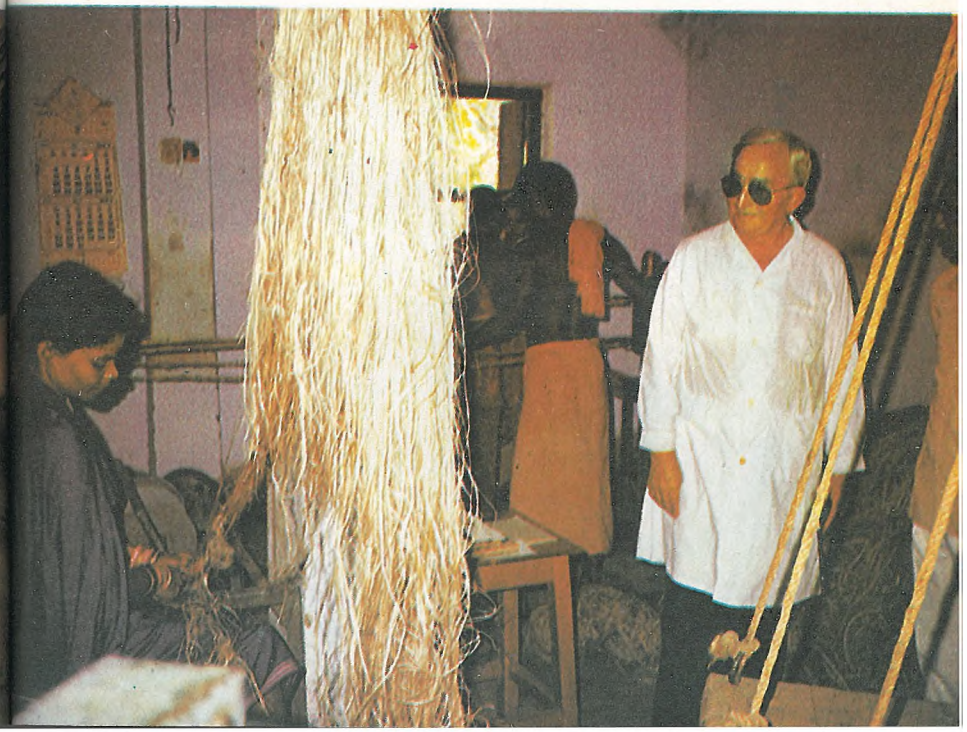

O. Marian i doktor Mahapatra przyjmują chorych

Namaste, bracie...

zyskiwać status wioski, co skłoniło mieszkańców do większej dbałości 0 czystość, schludność, a nawet estetykę. Zaczęły powstawać pierwsze gliniane domki, złożone z trzech podstawowych elementów, zgodnie z hinduską odwieczną tradycją: weranda, pokój i kuchnia. Na tym schemacie zbudowano wszystkie hinduistyczne świątynie, według kanonu, jaki powstał w Aihole. Jego pierwowzorem była także zwykła, wiejska chata.

Przy wznoszeniu każdego nowego domku pomagali sąsiedzi, zdając sobie sprawę, że los ich wszystkich jest wspólny. Powstawały zalążki, nieśmiałe jeszcze, ludzkiej solidarności. Indywidualizm zaczął - chociaż nie bez oporów i nie bez konfliktów - przeradzać się w instynkt gromadny. Na tym przykładzie każdy współczesny socjolog mógłby prześledzić, jak wyglądały narodziny świadomości narodowej przed wieloma wiekami. 1 jak powstają jeszcze teraz na niektórych obszarach świata.

Przychodnia składa się z trzech zasadniczych pomieszczeń: z werandy frontowej i bocznej oraz pokoju zabiegowego, wyposażonego jak każde ambulatorium lekarskie. Weranda frontowa spełnia funkcję poczekalni, zaś boczna — sali opatrunkowej, gdzie chorzy nawzajem przewiązują sobie rany, bandażują, smarują środkami dezynfekcyjnymi i znieczulającymi. Często w zabiegach wymagających większej wprawy pomagają siostry szarytki, a nierzadko też ojciec Marian. Ale on niewiele ma czasu, bo gdy tylko pojawi się na terenie kolonii, natychmiast otacza go gromada ludzi, z których każdy ma do ojca jakąś nie cierpiącą zwłoki sprawę.

Doktor Mahapatra, siostry szarytki i ojciec Marian odwiedzają kolonię regularnie dwa razy w tygodniu. W poniedziałki i czwartki. Ambulans przyjeżdża wczesnym popołudniem, odjeżdża około godziny ósmej, a więc już ciemną nocą. Kilkunastu chorych czeka na werandzie. Przeważnie siedzą, bo długie stanie na stopach bez palców lub opuchniętych i ropiejących jest niemożliwe. Trąd jeszcze i w taki sposób upokarza człowieka, że odbiera mu prawo do wyprostowanej postawy.

Zaraz po przybyciu sanitarki i otwarciu ambulatorium doktor i ojciec Marian nakładają białe fartuchy, a potem na stojąco, z rękami złożonymi do modlitwy, wszyscy obecni śpiewają taką pieśń:

Au kiczhi, Prodhu, czahe na dżibone,
Tume dżodi tbao kotire.
Sukho dio oba dukbo dio, Prodhu,
Somano sobu mo kotire,
Tume dżodi thao kotire,
Tume dżodi tho kotire...

Pieśń ma dwie zwrotki. A oto jej tłumaczenie na język polski:

O Panie, gdy Ty jesteś przy mnie w pobliżu,
Niczego więcej nie pragnę w moim życiu.
Daj radość albo smutek,
Dla mnie wszystko jedno, o Panie,
Gdy Ty jesteś przy mnie w pobliżu.
Porzuciłem Ciebie
Goniąc za nadzieją radości.
Patrz, błąkam się od zjawy do zjawy,
Mimo słońca, gwiazd i księżyca
Nie widzę przed sobą drogi.
Błąkając się umieram w ciemności.
Już niczego nie pragnę w swoim życiu, o Panie,
Byłeś Ty był przy mnie w pobliżu!

Na kartce z tekstem tej pieśni ojciec Marian dopisał: „Drodzy Jerzy i Ewo, nazwijcie tę pieśń Pieśnią Trędowatych i śpiewajcie ją razem z nami i ze mną. Puri 10 XI 1984".

Po odśpiewaniu pieśni doktor Mahapatra i siostry rozpoczynają swoje zwykłe, rutynowe czynności: opatrują rany, sprawdzają wyniki leczenia, rozdają lekarstwa. Każdy chory ma swoją kartę, zaś precyzja - zwłaszcza jeśli chodzi o walkę z trądem - ma znaczenie podstawowe.

Przez cały czas wizyty panuje nieustanny gwar, który często sprawia wrażenie hałasu, niemożliwego do zniesienia przez lekarzy w Europie. Ale tutejsi pacjenci to przeważnie ludzie prości, prymitywni, trzeba im wszystko dokładnie tłumaczyć, wyjaśniać, wielokrotnie powtarzać zalecenia. Ponadto skarżą się na liczne dolegliwości, które artykułują podniesionym, nawet agresywnym głosem, bo każdemu jego stan zdrowia wydaje się najważniejszy. Nie rozumiem, o czym mówią, ale z ich gestów mogę się domyślić. Trędowaci są nerwowi, rychło się podniecają, to naturalne, mają świadomość swojej sytuacji, prawdziwe zaś mistrzostwo osiągnęli w sposobie zwracania na siebie uwagi. Są także podejrzliwi, zawistni, zdolni do agresji, a nawet okrucieństwa. Choroba upodliła ich i wyzwoliła pretensje do całego świata. Okazana im opieka i troskliwość powinny z czasem wyciszyć te negatywne emocje. Ojciec Marian ma tę nadzieję.

Przychodnia w kolonii spełnia rolę zarówno ambulatorium, jak i polikliniki. Zestaw lekarstw obejmuje w zasadzie wszystkie możliwe schorzenia, trzeba go ciągłe uzupełniać i rozszerzać. Medycyna wprawdzie czyni postępy, ale i chorych przybywa. Choroba w różnym stopniu dotknęła każdego z nich. Jedni mogą chodzić, mogą pracować - inni

skazani są na przymusową bezczynność. Właśnie z myślą o tych najbardziej okaleczonych ojciec Marian stworzył „Kuchnię Miłosierdzia", która podobnie jak pracownia szewska i przychodnia doczekała się własnego lokalu w samym centrum kolonii i obecnie zasługuje na nazwę prawdziwej instytucji charytatywnej, subsydiowanej z funduszy misji katolickiej.

Początki były skromne. Rok 1975. W jednym z zaprzyjaźnionych, prywatnych domów, zaczęto gotować jedzenie i rozdawać je dziesięciu najbiedniejszym, najbardziej okaleczonym trędowatym, którzy sami nie byli w stanie zdobyć pożywienia. Warunek uczestnictwa był jeden: tym, którzy korzystają z kuchni, nie wolno żebrać. Niektórzy otrzymują zapomogi z kasy państwowej w wysokości czterdziestu rupii miesięcznie. Ci płacą za swoje wyżywienie trzydzieści rupii, a dziesięć zatrzymują dla siebie. Kalecy nic nie płacą. Koszty ich utrzymania pokrywa w całości misja. Ponieważ codzienne dowożenie jedzenia było poważnym utrudnieniem dla całej organizacji pracy, ojciec Marian postanowił wybudować w kolonii osobny pawilon. Postarał się o pieniądze i szybko zgromadził materiały. Pomagali trędowaci, którzy mogli wykopać fundamenty, a potem ustawić rusztowania i nosić cegły. Do roboty przyłączyły się także kobiety i dzieci. Wszyscy zdawali sobie sprawę z ważności obiektu i dlatego powstał bardzo szybko. Jego sercem jest oczywiście wielkie palenisko, nakryte dużą płytą żelazną, z otworami różnej wielkości: na garnek do gotowania ryżu, na patelnię do smażenia placków, do kotła na wodę. *Czapati*, czyli tradycyjne hinduskie placki z mąki ryżowej, wałkuje się na betonie przed kuchnią. Obok znajduje się pomieszczenie na produkty żywnościowe i naczynia. Studnia z pompą zapewnia dobrą wodę.

Księgowość Kuchni Miłosierdzia prowadzi z wielką skrupulatnością zaleczony trędowaty bez palców u rąk. Czy można trzymać długopis w bezpalcej dłoni? Można. Ale trzeba bardzo chcieć i długo ćwiczyć. Księgowy, Sotrugono Mohanti, bardzo chciał i długo ćwiczył. Była to dla niego szansa, aby coś w życiu osiągnąć, aby coś robić, coś znaczyć. Okazał wiele zapału i nie sprawił sam sobie zawodu. To ojciec Marian nauczył go, jak należy prowadzić codzienną inwentaryzację produktów i zapisywać koszt każdorazowego posiłku. Rozliczenia otrzymuje ojciec Marian każdego miesiąca. Wynika z nich, że dzienny koszt utrzymania jednej osoby korzystającej z kuchni wynosi przeciętnie 4.20 rupii. Wyżywienie obejmuje trzy posiłki: *czapati*, herbata z mlekiem i cukrem, ryż z jarzynami, a czasem z kurzym mięsem, owoce. Obecnie z dobrodziejstwa kuchni korzysta sześćdziesiąt osób najbardziej biednych, przeważnie kalecy wraz z rodzinami. Miesięczne wydatki na kuchnię pochłaniają prawie sześć tysięcy rupii. To bardzo dużo, ale bez tej pomocy opieka nad

kolonią nie byłaby pełna. Działalność kuchni ma służyć także idei reedukacji moralnej: zabraniając żebraniny, budzi wrodzone człowiekowi, a uśpione przez chorobę poczucie własnej godności.

Ostatnio Kuchnia Miłosierdzia została wzbogacona o jeden niezwykły w otaczającej ją scenerii element: we frontowej ścianie pawilonu wmurowano wnękę na telewizor. Aparat kupił ojciec Marian. Wieczorami przed szklanym ekranem gromadzi się wielu mieszkańców wioski. Dzieci siadają na podłodze, kalecy na stołeczkach, zdrowi przeważnie stoją. Aparat przekazuje informacje, daje rozrywkę, mimo woli łączy tych „odrzuconych" z krajem i ze światem, pozwala im jakby powrócić do społeczeństwa przez sam fakt uczestniczenia w jego życiu i w sprawach, które się toczą dokoła. A nad tą salą telewizyjną błyszczą gwiazdy, świeci księżyc i szumią cicho liście palm kokosowych. Widziałem już kiedyś podobną scenę. Było to na Środkowej Saharze, w Dżanet, małej oazie zamieszkałej przez Tuaregów. Na końcu świata. Tam, gdzie neolityczni mieszkańcy pustyni pozostawili po sobie największą w świecie plenerową galerię malarską.

Ale tu, w kolonii, są trędowaci. Jestem tak wzruszony tym widokiem, że nawet zapominam o zrobieniu „pamiątkowej fotografii". Zresztą na fotografii byliby to tylko ludzie przed telewizorem. Nie byłoby natomiast widać, że są trędowaci. Więc może dobrze, że ten fragment działalności ojca Mariana utrwalił się wyłącznie na kliszy mojego serca.

Jedzenie można kupić. To jasne. Ale można je także wytworzyć samemu. Bodaj w części, ale można. Aby to osiągnąć — a tu każdy, choćby najmniejszy zysk ma znaczenie - trzeba uprawić ziemię. Ale w kolonii nie ma ziemi. Jest tylko piasek. Bo wydmy nadmorskie sięgają aż tutaj. Porastają je zarośla i drzewa, owszem, ale one dają tylko cień, poza tym są bezużyteczne. Czy na bezpłodnym piasku można uprawiać rośliny jadalne? Wszyscy wiedzą, że nie można. Wszyscy - z wyjątkiem ojca Mariana. Jego myślenie jest proste, ale logiczne: jeśli wiara przenosi góry, potrafi też zmusić piasek, aby rodził żywność. Ryzyko ogromne, ale spróbować trzeba. Zysk będzie podwójny. Człowiek, który otrzymuje wszystko za darmo, bez wkładu własnego wysiłku, szybko się demoralizuje. Trzeba zakończyć proces degeneracji moralnej i ograniczyć jego skutki. W walce z tym schorzeniem jedyną terapią jest praca.

Nie będę powtarzał, że aby zrealizować swój zamiar, swoją jakże ryzykowną *ideefixe*, ojciec Marian musiał się wystarać o fundusze. Przypominam tylko z obowiązku reportera o tym ważkim szczególe, który przy każdej takiej akcji stanowi bazę, fundament, punkt wyjścia. I znów, jak w przypadku pracowni obuwniczej, przychodni lekarskiej i Kuchni Miłosierdzia

znalazł się dobroczyńca, jakaś Fundacja, Organizacja Pomocy, Stowarzyszenie czy Osoba Prywatna, które usłyszały prośbę o pomoc i nie pozostały obojętne.

„Ogród nadziei" - *Asha bogicza* — mógł powstać i rozwijać się dzięki kilku ofiarodawcom z Australii. Za fundusze od nich ojciec Marian mógł zakupić dla kolonii półtora akra piaszczystego gruntu, właściwie wydmę.

Mówi ojciec Marian: - Na tę wydmę trzeba było nanieść ziemię, czekał nas ogromny wysiłek, ale najtrudniej było przekonać ludzi, że muszą zaryzykować. Uparłem się. I wygraliśmy wszyscy. Najpierw musiałem przekonać członków *Panczajatu*, to znaczy Radę Kolonii. Potem ich zapał udzielił się innym. Każda grudka ziemi została przyniesiona ludzkimi rękami. Zasadziliśmy sto trzydzieści dwie palmy kokosowe, przy ich pielęgnacji pracuje piętnastu ludzi, wytyczyliśmy poletka dla jarzyn, kanały nawadniające, wydrążyliśmy studnie, aby w porze suchej nie zabrakło wody, urządziliśmy staw. Kupiliśmy nasiona i sadzonki. Gdy pierwsze rośliny zaczęły kiełkować, całą kolonię opanował nastrój radości i nabożnego podniecenia. Niektórzy nie wierzyli własnym oczom. Obserwowali wzrastanie roślin jak powracających bogów. Dzisiaj wegetację uważają za coś naturalnego. Sami pracują, sadzą rośliny, doglądają, walczą ze szkodnikami, noszą wodę ze studni. Ponieważ palmy mają imiona, ludzie traktują je tak, jakby były osobami, znajomymi, przyjaciółmi. Już po siedmiu latach te palmy zaczęły owocować. Przynoszą dochód, a trzeba dodać, że orzech kokosowy, zwłaszcza jego płyn, ma ważne znaczenie rytualne w obrządku hinduistycznym. Polewa się nim święte idole i figury bogów. Stąd troska o palmę ma w sobie coś z nabożeństwa, coś z oddawania czci Bogu-Stwórcy wszystkiego.

Gdy wchodzimy do ogrodu od strony południowej, otacza nas grupa podnieconych ludzi. Prowadzą nas - cały czas coś mówiąc - do takiego miejsca, gdzie trzeba było wykarczować wielkie, uschnięte drzewo. Otóż z tym właśnie drzewem jest problem: w jego spróchniałym wnętrzu zalęgły się cztery kobry. Co z nimi zrobić? Jak się ich pozbyć? Zabić nie wolno. Są święte. Wszystko, co żywe, jest święte. W tym wypadku nie tylko święte, ale niebezpieczne. Przypomina mi się tytuł mego zadania maturalnego: „Jak pogodzić kult przeszłości z postępem?". Czyżby nowy węzeł gordyjski? Tak, ale można go rozwiązać bez użycia miecza. Ktoś z naszych rozmówców podaje sposób, aby wyprowadzić kobry poza granice osiedla. Ojciec Marian wyraża zgodę. W porządku.

Ale jest jeszcze inny problem. Zagon z roślinami podobnymi do pomidorów zaatakowały szkodniki. Żuki z gatunku stonki ziemniaczanej gryzą liście. Kilka roślin już uschło. Co robić? Jeden z ogrodników zerwał liść, na którym były te szkodniki, i po demonstracji wyrzucił na ścieżkę

obok grządki. Powinien zabić szkodniki, choćby przydeptać nogą. Ale zabijać nie wolno... Trudno w takim kraju jak Indie walczyć ze szkodnikami. Ale ojciec Marian musi znaleźć rozwiązanie. Tego od niego oczekują. Wierzą, że on znajdzie sposób na „pogodzenie kultu przeszłości z postępem". - Pomyślę - mówi krótko ojciec Marian.

Wiem, jak postąpi. Pomodli się. Poprosi o pomoc. Tak jak jego podopieczni proszą jego o pomoc. Zawsze przecież powtarza, że wszystkie inicjatywy pochodzą nie od niego, ale od Tego, Który Jest po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Być może Ten, Który Jest, podszepnął ojcu Marianowi w roku 1977, aby założył w kolonii wytwórnię powrozów i sznurków. Z juty. Na te wyroby w całych Indiach, od Himalajów po Przylądek Komoryn, handel zgłasza nieustanne zapotrzebowanie. Jutę wybrano dlatego, że jest miękka, nie rani palców zniszczonych chorobą i daje dobry jakościowo wyrób, który zawsze można sprzedać. Ale budynek mieszczący halę fabryczną, jej całe wyposażenie w maszyny i narzędzia nie spadły przecież z nieba. To prawda. Gdy chodzi o pieniądze - poezja zmienia się w prozę. Tak było i w tym przypadku. Inicjatywę ojca Mariana za pośrednictwem Prokury Misyjnej w RFN poparła finasowo Organizacja Opieki nad Trędowatymi z siedzibą w Monachium.

Wytwórnia daje zatrudnienie trzydziestu ludziom, w większości kobietom, żonom trędowatych. Ubiegłoroczny deficyt w wysokości piętnastu tysięcy rupii, a wynikły z zakupu zapasu juty, musiała pokryć misja. Ale najważniejsze, że ludzie mają zatrudnienie, że uwierzyli w siebie, że z pomocą ojca Mariana odzyskali poczucie godności. Zarabiają po dziesięć rupii dziennie. Pracują bardzo porządnie, ale wymagają dozoru. Ważne jest, aby wytwórnia nie straciła zaufania odbiorców, trzeba więc nie tylko sprostać zamówieniom, ale dbać o jakość wyrobów. Wystarczającym obciążeniem jest to, że pochodzą z kolonii trędowatych.

Kalkulacji moralnej zaksięgować się nie da. Ekonomię można i trzeba. Wytwórnia sznurów, powrozów i lin to przedsiębiorstwo spółdzielcze, którego udziałowcami są sami robotnicy - trędowaci. Sekretarzuje ojciec Marian. Postęp kosztuje, trzeba jeszcze teraz do niego dopłacać, ale z czasem zwróci koszta inwestycji i zacznie przynosić procentowy dochód. Wiedzą o tym wszyscy. Spółdzielnia to szkoła solidarności społecznej, to próba charakterów, to często egzamin dojrzałości moralnej. Dlatego jest taka ważna. Wspólna praca to wspólna odpowiedzialność. Uczą się jej ludzie, którzy dotychczas myśleli wyłącznie o sobie.

Ojciec Marian osiągnął dwa ważne cele. Ale ma jeszcze trzeci. Pragnie, by instytucje założone przez niego były samowystarczalne i przestały

korzystać z dobroczynnego garnuszka. Przecież na świecie jest mnóstwo takich ośrodków jak „kolonia odrzuconych" w Puri, one też potrzebują pomocy. Chodzi o to, aby tutejsi mieszkańcy wioski przeszli przez etap moralnej terapii, aby czyjaś filantropia nie zakorzeniła się zbyt głęboko w ich świadomości. Niech starają się sami własną pracą i postawą pomnażać wspólne dobro.

Księgowość - pod nadzorem ojca Mariana — prowadzi wykształcony ekonomista, syn trędowatych rodziców. Na każdą transakcję musi mieć zgodę i podpis ojca Mariana. Właśnie jadą po nowy transport surowca. Trzeba będzie za niego zapłacić trzynaście tysięcy rupii. Już mają z czego. Każdy robotnik oddaje zarobki do banku. To one składają się na fundusz potrzeb, zaś pewien procent został z góry przeznaczony na rozwój wytwórni i amortyzację maszyn.

Gdy w listopadzie 1984 roku po raz pierwszy odwiedziłem kolonię trędowatych, ówczesna ferma kurza zajmowała jeden niewielki pawilon przy wejściu do „ogrodu nadziei". Dzisiaj, po dwóch latach, pawilonów tych jest kilkanaście, a kur w rozmaitym wieku około trzech tysięcy. W ubiegłym roku spadło na farmę nieszczęście: choroba zabiła ponad połowę pogłowia. Obecnie stosuje się szczepionki. Straty musiała pokryć misja, inaczej całe przedsięwzięcie popadłoby w ruinę.

Inicjatywie utworzenia farmy kurzej przyświecała troska o urozmaicenie jedzenia i o dochód na potrzeby mieszkańców. Większość „produkcji mięsnej" przeznaczano dla hoteli, zaś jajka dla Kuchni Miłosierdzia i dzieci w szkole Beatrix. Po katastrofie odbudowano hodowlę i obecnie całe to przedsięwzięcie daje spodziewany dochód, który został przeznaczony na Centrum Opieki nad Dzieckiem, zgodnie z wolą sponsora, to znaczy Fundacji Świadectwa Ewangelii.

Właśnie tu, na kurzej farmie, poznałem pana Gopina Panda, przewodniczącego, kolonijnej rady zwanej *Panczajat.* Mieszkańcy wioski przez aklamację jemu właśnie udzielili kredytu zaufania wierząc, że będzie się starał zarówno o nich, jak i o całe osiedle. Ma pięćdziesiąt trzy lata. Od dawna nie golił brody ani nie strzygł włosów. Należy do kasty braminów. Jest trędowaty. Został wyleczony. Dlaczego nie wraca do rodziny, do przyjaciół, do dawnego środowiska? Ponieważ w ich opinii jest nadal trędowaty i pozostanie takim do końca życia.

Muszę koniecznie opowiedzieć jego historię.

Miał w mieście Kataka niewielki hotelik z restauracją. W dziewiętnastym roku życia dostrzegł na swoim ciele *czou,* białe plamy - oznaki trądu. Ale nie poszedł do lekarzy, aby nie zdradzić choroby. Nie ufał ich dyskrecji. Szukał ratunku u znachorów i zaklinaczy. Trochę mu te

mikstury znachorów pomogły, plamy przybladły. Ożenił się. Jakby zapomniał o chorobie. Miał nadzieję, że i choroba o nim zapomniała. Jeszcze przez jedenaście lat pracował w hoteliku, ale gdy plamy pokazały się na głowie, nie mógł ich ukryć. Ludzie zaczęli go unikać. Wieść rozeszła się bardzo prędko. Hotel i restauracja straciły klientelę. Odszedł z domu. Zostawił wszystko. Przez pięć lat chodził żebraczym szlakiem, który wiódł go do świętych przybytków bogów. Różnych bogów. Pościł, umartwiał się, poniżał, on, bramin, stał się kimś gorszym od niedotykalnego, błagał bogów o pomoc, uzbierane pieniądze poświęcał na ofiary, odwiedzał święte przybytki poświęcone bogu Siwie, bo Siwa uwalnia od trądu. Tak jak uleczył trędowatego króla, który z wdzięczności wystawił ogromną świątynię w Konarak, zwaną „Czarną Pagodą". Wierzył tak święcie w łaskę modlitwy i magiczne moce ofiary, że jakoś wyzdrowiał. Czyżby terapia przez autosugestię? A może rzeczywiście Siwa?... Najważniejsze, że plamy zniknęły. Rozważał, czyby nie wrócić, nie opowiedzieć o swoim cudownym wyleczeniu, ale się wahał. Czy ktoś mu uwierzy? Skoro Siwa skazał go na trąd, nie może wbrew sobie od trądu uwolnić. Był już w drodze do domu, kiedy plamy znów się pokazyły. W roku 1962 przyszedł do Puri, do szpitala państwowego, jego żona została w Kataka, wyszła ponownie za mąż, on sam wyraził zgodę, skoro jest skazany - myślał - dlaczego ma zniszczyć życie swojej żonie, tak sobie tłumaczył, sam siebie przekonywał, chociaż bardzo cierpiał. W szpitalu był kucharzem, bo wszyscy mogą jeść to, co ugotuje bramin. W roku 1966 opuścił szpital i zaczął żebrać. Oszukiwał udając bardzo okaleczonego, szmatami obwiązywał sobie ręce i nogi, szmaty specjalnie barwił, aby były bardziej przekonywające, ale czuł wyrzuty sumienia, było mu i wstyd, i bał się kary bogów, aż pewnego dnia przyszedł do kolonii jak bezdomny pies. Był leczony: maści, zastrzyki, pigułki. Obecnie jest już prawie wyleczony. W roku 1975, gdy ojciec Marian objął patronat nad kolonią, spostrzegł, dla siebie szansę. Ojciec Marian zauważył jego dobre chęci. Powierzał mu nadzór nad różnymi robotami. Teraz dozoruje wszystkiego jako przewodniczący *Panczajatu* i zarabia w ten sposób. Ojciec Marian płaci mu miesięczną pensję: czterysta pięćdziesiąt rupii. Jako trędowaty został wykreślony z kasty braminów i pozbawiony wszelkich przywilejów. Nie może być braminem, kto styka się z ludźmi nieczystymi i je z każdej kuchni. No i sam jest nieczysty. Czasami, potajemnie, odwiedza go ktoś z rodziny. On nigdy nie odwiedzi dawnego domu, aby nie przypominać o swoim istnieniu i nie skazić jego reputacji pokrewieństwem z trędowatym. Zresztą wie, że byłby tam źle przyjęty. On dla nich dawno umarł. Jego ojciec też był trędowaty i też opuścił dom i nigdy do niego nie powrócił.

Rozpłynął się w tym ogromnym kraju, utonął w oceanie takich samych nieszczęśliwców, na żebraczym szlaku zgubił swoje nazwisko, imię i przynależność kastową.

O tym wszystkim mówi spokojnie i rzeczowo, jakby relacjonował życie innego człowieka. Jeśli czasem się uśmiecha, to tylko kącikami ust. Ale jego oczy są smutne, a gesty rąk wyrażają zdziwienie. Dlaczego tak się stało ? Czy ma nadzieję, że bogowie wynagrodzą jego cierpienia w przyszłym wcieleniń? O to nie pytam.

- Zażywam opium - mówi i na chwilę jego pomarszczoną twarz pokrywa chytry uśmieszek. Wie, że to niedozwolone, ale to pomaga, pozwala zapomnieć, na chwilę uwalnia od cierpienia i od wstydu za nędzę, upokorzenie i upodlenie.

Odchodzi, aby w sąsiednim pomieszczeniu dopilnować szczepienia kur. Podpiera się laską. Choroba uszkodziła mu nogę.

Rozbolała mnie głowa. Oczy łzawią. To ten zapach środka dezynfekcyjnego pomieszany z fetorem kurzych odchodów.

Ostatnio nowa idea zaprząta umysł ojca Mariana: wytwórnia płótna odzieżowego. Koszt siedemdziesiąt tysięcy rupii. Trzeba zbudować halę fabryczną, na początek kupić dziesięć warsztatów mechanicznych, przysposobić co najmniej dwudziestu uczniów, zaangażować kilku nauczycieli-specjalistów. Pieniądze na tę inwestycję obiecała dać Państwowa Organizacja Opieki nad Trędowatymi - *Hindi Kusht Nibaran Sang.* Gdy teren zostanie zarejestrowany na własność spółdzielni, ojciec Marian przystąpi do budowy wytwórni. Trędowaty bramin już się cieszy, że znów coś się zacznie i będzie miał pełne ręce roboty. I tak od wielu lat nie może narzekać na brak zatrudnienia. Pilnuje porządku i prowadzi administrację kolonii, dogląda ogrodu i sprawuje pieczę nad rejestrem wydatków. To jemu ojciec Marian zlecił nadzór w czasie budowy szkoły Beatrix, ponadto prowadzi kartotekę obecności mieszkańców, płaci robotnikom, sprawdza i kontroluje ich robotę, daje ojcu Marianowi rozliczenia, udziela wyjaśnień oraz sygnalizuje kolejne potrzeby i wydatki.

A są one ogromne. Każdego tygodnia kolonia pochłania dwa tysiące rupii. Na szczęście, ojciec Marian wystarał się o dotację w postaci trzystu dwudziestu trzech tysięcy rupii z Fundacji Świadectwa Ewangelii i w ten sposób następny rok został zabezpieczony. Mierząc skalą ostatnich dziesięciu lat, roczne utrzymanie kolonii kosztowało ponad czterysta tysięcy rupii. Dla co najmniej siedemdziesięciu pięciu procent populacji Indii jest to suma tak samo abstrakcyjna i niewyobrażalna, jak na przykład odległości międzygalaktyczne w Kosmosie.

Szkoła Beatrix

Użyłem słowa „populacja". Niech więc ono z kolei zaprowadzi nas do następnej inwestycji ojca Mariana. Tym ważniejszej, że związanej już nie z egzystencją, nie z reedukacją, ale z przyszłością. Jest to szkoła Beatrix.

W styczniu 1983 roku misja katolicka, a także całe miasto Puri, przeżyło podniosłą uroczystość, na którą przybyli wszyscy miejscowi luminarze, reprezentanci władz municypalnych i różnych dziedzin działalności na rzecz społeczeństwa. W Indiach prawie codziennie uruchamia się jakąś placówkę oświatową, ale ta była wyjątkowa: szkoła dla dzieci z rodzin trędowatych, a więc dzieci, które jedynie w minimalnym procencie mogły liczyć na społeczną adaptację.

Myśl o zbudowaniu szkoły przy kolonii „odrzuconych" przez kilka długich lat prześladowała ojca Mariana. Przestała dokuczać dopiero dnia 19 stycznia 1983 roku, gdy inwestycja została ukończona.

„Na początku było Słowo". Słowo stanowi podstawowy element nauczania. Nauczanie zaś przez cały czas pracy misyjnej ojca Mariana było głównym nurtem jego działania. Działalność Zgromadzenia Księży Werbistów opiera się na głoszeniu Słowa Bożego.

Ojciec Marian wiedział, że dzieci trędowatych albo nie są przyjmowane do szkół państwowych, albo są tam dyskryminowane. Jedynym wyjściem z tej sytuacji było wybudowanie dla nich osobnej szkoły. Aby zrealizować taki projekt, potrzebne są fundusze i miejsce. Właśnie w tej kolejności: najpierw pieniądze. Napoleon powiedział, że do prowadzenia wojny najważniejsze są pieniądze. Ojciec Marian realizując budowę szkoły dla dzieci trędowatych także wypowiedział wojnę. Komu? Ciemnocie, krzywdzącej tradycji i poniżaniu potomstwa „odrzuconych".

Tam, gdzie obecnie stoi przychodnia lekarska, przez dwa lata w niewielkim, prymitywnym pomieszczeniu mieściła się szkółka. Założył ją ojciec Marian, a pierwszym nauczycielem był trędowaty z wykształceniem pedagogicznym. Ale ojciec Marian wiedział, że na tym nie poprzestanie, że musi zbudować prawdziwą, piękną szkołę, taką samą, jaką mają dzieci zdrowych i zamożnych rodziców. Aby wynagrodzić krzywdy tych, które bez żadnej winy zostały przez społeczeństwo skazane na odrzucenie.

Jedno było pewne: przyszła szkoła nie może stanąć na terenie kolonii, ale niedaleko niej. Ojciec Marian od dawna wiedział, że obok kolonii jest teren należący do baptystów. Pięknie zadrzewiony, z sadzawką i kilkoma parterowymi zabudowaniami. *Aśram.* Z pomocą pośpieszył przypadek.

W dniu, gdy w wiosce rybackiej misja katolicka inaugurowała nową przychodnię lekarską pod opieką sióstr szarytek, szef wioski powiedział, że teren, o który ojciec Marian zabiega, jest jego własnością. Z wdzięczności za wybudowanie w jego wiosce obiektu lekarskiego, zgodził się na przeniesienie szkółki z kolonii trędowatych do *aśramu.* W ten sposób misja zyskała miejsce na nową szkołę. Teraz trzeba było zdobyć fundusze. I w tej sprawie przypadek okazał się szczęśliwy.

Corocznie w styczniu przyjeżdżał do Puri pewien bogaty Holender, pan Teodor Bogaart, członek organizacji *„Calcuta - Amsterdam Sponsorship"*, której celem jest opieka nad dziećmi, w pierwszym rzędzie nad sierocińcem prowadzonym przez Matkę Teresę i jej Zgromadzenie Misjonarek Miłości.

Pewnego dnia ojciec Marian przedstawił panu Bogaartowi swój projekt zbudowania szkoły dla dzieci trędowatych, zaś biskupa z Bhubaneszwar poprosił o audiencję. Ekscelencja znając zamiary polskiego misjonarza i całkowicie je akceptując, prowadził rozmowę pod kątem akcji pomocy dzieciom, gdyż na tym odcinku w Indiach jest szczególnie dużo do zrobienia. Pan Bogaart wrócił do Holandii i rozpoczął starania o zdobycie pieniędzy. Działał bardzo energicznie, tak że w roku 1981 ojciec Marian mógł przystąpić do rozpoczęcia budowy. *Missioner Society* z Madras przekazało diecezji katolickiej i misji w Puri dwa i pół hektara gruntu z przeznaczeniem „na szkołę dla dzieci z kolonii trędowatych". Tak zostało zapisane w akcie prawnym. Zaś na tablicy znajdującej się przy wejściu do szkoły umieszczono taki tekst: „Ta szkoła jest podarunkiem dla dzieci z kolonii trędowatych w Puri od kochających je przyjaciół z Holandii za pośrednictwem akcji Stowarzyszenia Kalkuta - Amsterdam".

Szkoła otrzymała nazwę „Beatrix" dla uczczenia imienia królowej Holandii. Ale prawną rejestrację nowej placówki opóźnił pewien charakterystyczny incydent. Aby nie drażnić miejscowych władz, świadomie opuszczono w nazwie szkoły słowo „królowa". Mimo to imię „Beatrix" wywołało zamieszanie, a nawet sprzeciwy tak poważne, że musiało interweniować ministerstwo oświaty w Delhi. Wezwano ojca Mariana, aby się wytłumaczył i przedstawił swoje racje. Ojciec Marian wyjaśnił, że każda szkoła powinna się jakoś nazywać, zaś imię Beatrix jest takim samym imieniem jak każde inne, z tym tylko, że bardziej oryginalne. Władze oświatowe uznały te argumenty za wystarczające i zarejestrowały szkołę.

Na środku jej frontowej elewacji umieszczono rzeźbę przedstawiającą chłopca i dziewczynkę trzymających otwartą książkę. Na niej napis w języku *orija: Dbormo Dhiro - Kormo Biro*, *co* znaczy „Wytrwały w obo-

wiązku - bohaterski w pracy". Bardzo ładne hasło dla szkoły. W prywatnych rozmowach ojciec Marian nazywa szkołę Beatrix „Szkołą tysiąclecia polskiego".

Obecnie uczęszcza do niej prawie dwieście pięćdziesiąt dzieci. Jest to typowa *elementary school.* Ma pięć klas i zatrudnia sześciu etatowych nauczycieli: dwóch katolików, jedną baptystkę i trójkę hinduistów. Ojciec Marian pragnął zaangażować także dwóch wychowawców katolików, ponieważ są bardziej sumienni, ale władze wyraziły zgodę tylko na jednego. Nazywa się on Mathias Tete i ojciec Marian sprowadził go z Dżunmur, z terenu swojej dawnej działalności misyjnej na północy stanu Orisa. W zakresie szkoły podstawowej ma prawo nauczania wszystkich przedmiotów.

Nauczycielką baptystką jest pani Barbara Das, wyleczona trędowata. Choroba, chociaż została pokonana, zostawiła jej okrutne *memento:* brak palców u obu dłoni. Mąż Barbary należy do pomocniczego personelu w miejscowym szpitalu. Wprawdzie odwiedza czasem swoją żonę, która mieszka samotnie w małym domku obok szkoły, ale przychodzi zawsze o zmroku, aby nikt ze znajomych go nie zauważył. Pewnego razu Barbara przyszła do ojca Mariana wraz z mężem i siostrą - artystką związaną z telewizją w Kataka - i poprosiła o jakieś zajęcie. Ojciec Marian zgodził się ją zaangażować mając nadzieję, że jako trędowata będzie z większą troską i zrozumieniem opiekować się dziećmi trędowatych.

Najnowszą nauczycielkę ojciec Marian przyjął do pracy w mojej obecności. Podczas naszego pobytu w kolonii podeszła do nas mieszkanka pobliskiego domku, młoda dziewczyna w pięknym, nowym *sari,* oblamowanym złotym haftem. Jej rodzice od wielu lat przebywają w kolonii. Oboje są trędowaci. Dziewczyna podała ojcu Marianowi zaświadczenie stwierdzające ukończenie szkoły pedagogicznej. Przez dwa lata była studentką uniwersytetu. Nie może kontynuować studiów. Jej rodzice są coraz bardziej niedołężni, jako okaleczeni dość się nacierpieli i nażebrali, aby jej ułatwić zdobycie zawodu, teraz ona musi im pomóc. Dlatego prosi 0 pracę. Nie ma jeszcze dwudziestu lat. Jest bardzo ładna, miła, sympatyczna. Ojciec Marian przyrzekł rozpatrzyć jej podanie i prędko dać odpowiedź. Mnie powiedział, że będzie pozytywna. Zna tę dziewczynę 1ma o niej dobrą opinię.

Aby uczniowie szkoły Beatrix nie czuli się gorsi od innych dzieci, dostali jak w każdej hinduskiej szkole - jednakowe ubranka-mundurki w kolorze szarobłękitnym oraz aluminiowe walizeczki do noszenia książek i przyborów do pisania.

Przedmioty: język *orija* — jedenaście godzin tygodniowo; matematyka - osiem godzin. Ponadto: przyroda, geografia i historia, rysunki,

gimnastyka, śpiew i zajęcia praktyczne w oparciu o dobrze wyposażoną pracownię stolarsko-butaforsko-malarską z warsztatami i maszynami do obróbki drewna. Pod nadzorem nauczyciela dzieci robią tam zabawki, oprawy do obrazów i różne drobne przedmioty użytkowe, a także lepią z gliny, rzeźbią, malują, składają proste kasetki i pudełka. Nie ma przedmiotu „religia", ale jest „wiedza moralna", połączona z przystępnym wykładem o narodowej tradycji i obyczajach. Ojciec Marian uważa ten przedmiot za najważniejszy. Według niego byłoby lepiej, gdyby uczono religii hinduskiej, niż żeby nie uczono religii w ogóle, ho przecież żadna religia nie namawia człowieka do złego. W Indiach życie ludzkie splecione jest z religią szczególnie mocno, chociaż wyraża się bardziej w rytuale. Każda chwila, każde działanie, każda czynność jest częścią jakiejś obrzędowości, wyrazem wiary, ale jakby na osobisty, wewnętrzny użytek. W Aihole obserwowałem kobietę idącą po wodę do studni. Zanim ją zaczerpnęła do miedzianego dzbanka, najpierw zapaliła świeczkę i modliła się przez chwilę. Następnie wrzuciła do wody dwa liście i kilka kwiatków, które przyniosła ze sobą w małej, glinianej miseczce, takiej samej, jakie służą do składania ofiar w świątyniach. Często, jadąc przez Indie, można zobaczyć udekorowane drzewa i ludzi modlących się przed rozpoczęciem pracy w polu. Wiem także, że praktykowany jest zwyczaj przepraszania zboża, kwiatów czy drzew, zanim się je zetnie. W Mahabalipuram widziałem małego chłopczyka o włosach spadających aż na ramiona. Jego ojciec wytłumaczył mi, że ofiarował je bogom jako prośbę w intencji, której nie zrozumiałem, ale z pewnością bardzo ważnej. Chyba dobrze, że dzieci w Indiach uczą się szacunku dla tradycji.

Mija rok za rokiem, przybywa mieszkańców w kolonii, powiększa się też liczba dzieci. Trzeba im zapewnić nie tylko łóżko do spania, nie tylko miskę z jedzeniem, ale też miejsce w szkole.

Ojciec Marian jest zbyt dobrym strategiem, aby coś przeoczyć albo o czymś zapomnieć. Już w trakcie budowania szkoły wiedział, że wkrótce okaże się ona za mała. Myślał, aby powiększyć szkołę przez dobudowanie drugiego skrzydła, przeznaczonego dla najmłodszych uczniów i przedszkolaków, a całość urządzić pięknie i wygodnie, aby te pokrzywdzone przez okrutny los dzieci rosły w atmosferze wesołej i radosnej, zdobywały wiedzę i nie traciły świadomości, że są pełnoprawnymi obywatelami zarówno swego kraju, jak i całego świata.

- Mam nadzieję - mówi ojciec Marian - że te dzieci, nasi uczniowie, będą w stanie za kilkanaście lat przemienić obecną wioskę trędowatych na prawdziwie wzorowe osiedle.

Szkoła jest oddalona od kolonii o kilkaset metrów. Zlokalizowano ją dlatego tu właśnie, aby dzieci chorych rodziców spędzały możliwie najwięcej czasu w atmosferze zdrowej i nie były zmuszone do ciągłego obcowania wprawdzie z najbliższymi, ale kalekami i żebrakami, o zniszczonych nerwach, a więc o wyostrzonej, a równocześnie stępionej wrażliwości.

Poziom nauki w tej hinduskiej „szkole tysiąclecia" dorównuje - a może nawet przewyższa - ogólny standard szkół państwowych tego samego stopnia. Niektóre dzieci po jej ukończeniu przechodzą do wyższych klas zakładów państwowych i dają sobie radę. Te dzieci, oczywiście, nie przyznają się, że są z kolonii trędowatych. Zachowują czujność. W ogromnej masie jakoś można zachować anonimowość. Kilkoro jest już po udanym, życiowym starcie. Jeden chłopiec pracuje w banku, pięcioro w pomocniczej służbie zdrowia przy leczeniu trędowatych. Zarabiają po około tysiąca rupii miesięcznie. Kierownik wytwórni sznurków jest po maturze i ma dyplom wyższej szkoły handlowej, dwie absolwentki szkoły są nauczycielkami, jedną zatrudni wkrótce szkoła przy kolonii. Ale jaki stres przeżywały te dzieci i jeszcze przeżywają, aby nikt się nie dowiedział o ich pochodzeniu! Bowiem sprawa zatrudnienia wyleczonego trędowatego albo dziecka rodziców trędowatych jest nadal problemem i to w skali ogólnokrajowej.

Ojciec Marian wierzy święcie, że kiedyś obudzi się sumienie mieszkańców Indii i ta bolesna sprawa doczeka się humanitarnego rozwiązania. Jest pewny, że jego kolonia przemieni się z czasem w piękne osiedle ludzi wyleczonych, ludzi, z których zostało zdjęte przekleństwo losu, ludzi, którzy przeszli przez piekło po to, aby poruszyć sumienia współobywateli, i doszli wreszcie do swej „ziemi obiecanej". Ale równocześnie zdaje sobie sprawę - bo jest zarówno marzycielem, jak i realistą - że ta metamorfoza nie nastąpi zbyt prędko i minie wiele lat, zanim problem ludzi trędowatych zostanie potraktowany zgodnie z powszechną, postępującą, głęboką przemianą duchową społeczeństwa Indii.

Tymczasem problemem na teraz była sprawa powiększenia szkoły. Wkrótce nadarzyła się oczekiwana okazja. Pan Bóg - chociaż ma wiele kłopotów - usłyszał niespokojne uderzenia serca ojca Mariana i zrozumiał je właściwie: jako pukanie do drzwi.

Właśnie w tym czasie przypadkiem zjawiła się w Puri pani Rosi Goldman z Bonn.

- Ja nie mam pojęcia - wspomina ojciec Marian - od kogo ona się dowiedziała o naszej placówce, ale przyjechała i pewnego dnia spotkała się ze mną. Widząc efekty naszej działalności, sama zaproponowała pomoc. Ja jej tylko wytłumaczyłem, o co nam chodzi w związku ze szkołą.

I w ten sposób pani Rosi Goldman, obywatelka RFN, stała się sponsorem budowy nowego skrzydła szkoły Beatrhc. Jej parafia pod wezwaniem Zmartwychwstania Chrystusa Pana w Bonn dwukrotnie przeprowadziła składkę, a uzyskane pieniądze nie tylko wystarczyły na pokrycie kosztów budowy, ale też na wyposażenie klas. Dodatkowe fundusze zabezpieczyły szkołę na przyszłość dzięki temu, że rozbudowano za nie kurzą farmę, zaś dochód z niej został przeznaczony na rozbudowę i utrzymanie przedszkola. Jest to kombinacja nieco skomplikowana, ale pozwalająca na optymizm. I nie ma co ukrywać: na tym odcinku wszystko teraz zależy od kur. Dlatego ojciec Marian postarał się o specjalne szczepionki, aby chronić je przed ewentualnymi chorobami.

Dzieci przychodzą do szkoły o siódmej trzydzieści rano, wracają do domów przed piątą po południu. Na śniadanie dostają mleko i słodką bułkę. W południe ryż z jarzynami albo kaszę lub płatki owsiane z mlekiem i jakimś gotowanym dodatkiem. Przed opuszczeniem szkoły otrzymują po jednym jajku i słodką bułkę.

Reporterowi najwięcej emocji i motywów do slajdów dostarcza południowy posiłek. Wszystkie dzieci wychodzą z klas o tej samej porze i siadają na rozgrzanym słońcem betonie szkolnego dziedzińca - a gdy pada deszcz — na werandzie biegnącej wzdłuż całego budynku szkoły. Siostry szarytki w towarzystwie gospodyni szkoły roznoszą talerze i pojemniki z jedzeniem. Dzieci jedzą tak jak prawie wszyscy Hindusi: palcami prawej ręki. Jest to symbol połączenia z energią kosmiczną i z pięcioma elementami składowymi Wszechświata: Ziemią, ogniem, wodą, powietrzem i Kosmosem. Młodsze dzieci trochę dokazują, starsze są bardziej skupione, znów zgodnie z tradycją, która nakazuje spożywać pokarmy z szacunkiem i pokorą. Może też dlatego, że bardziej niż maluchy zdają sobie sprawę z wartości jedzenia.

Godzinę posiłku w szkole znają dobrze dzieci pobliskiej biedoty. Przychodzą także, chociaż nie są tutejszymi uczniami. W ogóle się nie uczą, ale są głodne. Siostra szarytka rozdaje im talerze. Za chwilę będą pełne. Jedzenia nigdy nie brakuje i chociaż apetyty małych stołowników dopisują - zawsze znajdzie się repeta dla tych, którzy o nią proszą. Nie dojedzone resztki zjedzą psy, które zawsze o tej porze kręcą się koło szkoły, zwabione zapachem pokarmu.

Powiększenie szkoły przez dodanie jednego skrzydła, połączonego z głównym budynkiem pergolą, nie zaspokoiło wszystkich ambicji ojca Mariana. W wielu normalnych szkołach Indii dzieci mają nie tylko boisko do gier sportowych, ale też przyrządy i urządzenia do zabaw zręcznościowych. Dlaczego dzieci z *Beatrix School* miałyby być pozbawione podob-

nych atrakcji? Dlaczego mają się czuć gorsze od tamtych? Wprawdzie wszystkie podopieczne dzieci ojca Mariana są objęte akcją *Sponsorship*, która zabezpiecza ich przyszłość, ale nie ma to nic wspólnego z zabawą. Gdy zaczną korzystać z funduszu uzbieranego na koncie ojca Mariana, nie zabawa będzie im w głowie, ale start w dorosłe życie. Dlatego teraz, póki są małe, powinny się wybawić do syta.

Przyjazd do Puri dwojga Holendrów, pana Joopa Bijenena i jego żony, nie był przypadkowy. Są znajomymi pana Teodora Bogaarta i od niego dowiedzieli się o akcji zbierania funduszy na budowę szkoły dla dzieci z kolonii trędowatych, sami zresztą dołożyli do niej kilka — a może kilkanaście cegiełek. Teraz przyjechali do Puri, aby zobaczyć szkołę gotową i cieszyć się wspólnym osiągnięciem. Gdy państwo Bijenen poznali szkołę, byli nią tak zachwyceni, że zapytali wprost ojca Mariana, co mogliby jeszcze dla niego i dla dzieci zrobić. I wówczas ojciec Marian, który nigdy nie przepuści takiej okazji, powiedział o swoim planie urządzenia przyszkolnego terenu sportowego. Państwo Bijenen powiedzieli: O *kay* i po powrocie do Holandii rozpoczęli wśród znajomych akcję zbierania funduszy. Zebrali je prędko i przekazali ojcu Marianowi za pośrednictwem banku. Ojciec Marian podziękował w imieniu dzieci, znalazł specjalistę i zbudował basenik z wodą i wiatrakiem, zjeżdżalnie oraz elementy do gier i zabaw ruchowych. Są one teraz bardzo chętnie używane podczas przerw w lekcjach, a także po zakończeniu zajęć szkolnych.

Indyjski Dzień Dziecka

W mej reporterskiej pamięci utrwalił się szczególnie dzień 14 listopada 1986 roku - Indyjski Dzień Dziecka. Okolicznościowa uroczystość w szkole Beatrix miała się rozpocząć o godzinie jedenastej. Wcześniej załadowaliśmy w domu parafialnym przygotowane dla dzieci podarunki. Do nich dołączyli dwa wielkie pudła słodyczy Francuzi, którzy przyjechali na grób swej zmarłej w Puri córki i siostry. Ledwie pomieściliśmy się w ambulansie. Razem z ojcem Marianem, Francuzami, moją żoną i mną pojechały trzy siostry szarytki. One jako Hinduski przyzwyczajone są do takiej „kompresji", my, Europejczycy, znosimy ją z trudem.

Spóźnione w tym roku deszcze monsunowe były tak obfite, że boisko szkolne zamieniło się w spore jezioro. Na szczęście, woda nie przekroczyła

fundamentów i chociaż dzieci, idąc na lekcje, brodzą w wodzie, ich nogi wysychają, zanim dojdą do klas. Siostry natomiast muszą dość wysoko podkasywać swoje białe habity, co daje okazję do wielu śmiechów i żartów. Bo w tym kraju, jakby na przekór nędzy i biedzie, ludzie uśmiechają się przy lada okazji. Sami też chętnie takie okazje prowokują, aby tylko ucieszyć się przez chwilę choćby z drobiazgu, z byle czego, nawet z niczego.

Jeżdżąc po Indiach ma się wrażenie, że dzieci hinduskie traktują życie dużo poważniej niż dorośli. Jakby przechowywały w swej pamięci egzystencję „poprzedniego wcielenia" i zdawały sobie sprawę z powagi tego dziedzictwa. Być może, moje spostrzeżenia i wnioski dotyczą głównie dzieci z rodzin trędowatych, bo te są wyjątkowo obciążone. Ale nie tylko. Dzieci hinduskie odznaczają się dużo większym skupieniem wewnętrznym niż ich rówieśnicy w wielu innych - zwłaszcza bogatszych — krajach świata. To chyba wynik świadomości, przeczucia, że życie, które je czeka, będzie zawierało więcej smutku niż radości. Przypominam: reinkarnacja to przecież droga do doskonałości, a tę osiągnąć można jedynie przez cierpienie. Życie to przekleństwo bogów, to ich pomyłka, to złudzenie, to nierzeczywisty, śmiertelny etap nieśmiertelnego trwania.

Nauczyciele przygotowali skromną oprawę plastyczną dzisiejszej uroczystości: na stole, udekorowany girlandami kwiatów, stoi duży portret Jawaharlala Nehru, pierwszego premiera Indii, kochanego przez cały naród przyjaciela Mahatmy Gandhiego. Dzieci gromadzą się na dziedzińcu, tworząc rząd wzdłuż werandy. Przychodzą nauczyciele i siostry szarytki. Jeden z nauczycieli staje obok portretu, zapala kadzidełko i mały znicz. Uroczystość rozpoczyna zbiorowa modlitwa ze złożonymi pod brodą dłońmi:

He, Ambhomanonkoro sworgostho Pita
Tumb horo nomo pudżito heu
Tumbhoro radżo asu
Dżepori sworgore sepori morthiore
Tumbhoro iczhapumo heu...

co znaczy:

O, nasz niebieski Ojcze,
Twoje imię niech się święci,
Twoje królestwo niech przyjdzie,
Jak w niebie tak na ziemi,
Twoja wola niech się spełnia...

Ojcze nasz... Ta śpiewana recytacja ma w sobie coś z rapsodu. Akcenty rozłożone inaczej niż w naszym języku, tworzą inną frazę rytmiczną, a tyl-

ko powaga słów wywołuje identyczne, głębokie skupienie. *Ojcze nasz...* Przecież ta modlitwa może być wspólna dla wszystkich ludzi na całym świecie, nie zawiera ani jednego wyróżnika, ani jednego regionalnego elementu i chociaż tak modlił się Jezus, Jego słowa są uniwersalne, zrozumiałe dla każdego, bez względu na to, pod jaką szerokością geograficzną się urodził i jak nazywa swego Boga-Ojca.

Dzieci kończą modlitwę dotykając prawą ręką najpierw ziemi przed sobą, a potem czoła. Część oficjalną akademii wypełnia przemówienie jednego z nauczycieli. Mówi o trosce, jaką niepodległe państwo indyjskie otacza dzieci starając się wszystkim zapewnić pomyślną przyszłość. Potem 0 znaczeniu i wartości nauki. Kończy apelem o przyjaźń ze wszystkimi dziećmi na całym świecie.

Program artystyczny, przygotowany przez nauczycieli i zakonnice, był bardzo bogaty, starannie wyreżyserowany i oprawiony plastycznie. Przy akompaniamencie muzyki hinduskiej z taśmy, a także zbiorowych pieśni 1 solowych partii wykonanych na bębenkach i fujarkach, młodociani aktorzy odegrali kilka scen z *Mahabharaty* i *Ramajany*, dwóch głównych eposów historycznych. Byli więc żebracy, książęta i księżniczki, pasterze, a nawet zjawił się sam bóg Kriszna, aby dać przykład radości życia. Hindusi są niezwykle wrażliwi na muzykę i umieją znakomicie ją interpretować tańcem, w którym tradycyjne ruchy rąk i palców mają — niezrozumiałą dla nas, ludzi innej kultury - symbolikę znaczeniową. Małe tancerki, ubrane w ludowe lub historyczne stroje, pełne świecidełek i kolorowych ozdóbek, dowiodły, że swoje wrodzone umiejętności zawdzięczają bardzo starym obyczajom i wierzeniom i że są najmłodszym ogniwem łańcucha, którego nie zdołała przerwać agresywna muzyka współczesna, wyrosła z zupełnie innych korzeni. Właśnie muzyka i stroje przeniosły nas, widzów, do tej epoki, kiedy bogowie żyli na ziemi między ludźmi. Bardziej zrozumiała dla nas była starotestamentowa scena sądu Salomona. Królem był siedmiolatek, zaś zwaśnionymi kobietami dwie jego rówieśniczki. Rolę spornego dziecka odegrała lalka. Chłopćzyk - Salomon - odznaczał się wielką godnością, zaś rozpacz prawdziwej matki była naprawdę przekonywająca. Nauczycielki — reżyserki każdej ze scen, z wielkim przejęciem śledziły tok przedstawienia i tylko od czasu do czasu pomagały aktorom w wygłaszaniu tekstu. Spektakl oglądali też trędowaci, także rodzice dzieci, które uczestniczyły w tym artystycznym wydarzeniu. Wśród nich był Gopina Panda, przewodniczący *Panczajatu* kolonii. Zna wszystkie te dzieciaki, one się przy nim rodziły i przy nim rosły. Okrutny los odebrał mu wprawdzie własne potomstwo, ale przecież wszystkie dzieci kolonii „odrzuconych" są wspólne, uważa więc je za swoje, podobnie jak ojciec Marian.

Po przedstawieniu dzieci odbierały nasze gratulacje, z większą obojętnością niż nauczyciele. Bo dla nich występ był przyjemnością, dla pedagogów zaś czymś w rodzaju egzaminu. Zwłaszcza trędowata nauczycielka, Barbara Das, była wyraźnie wzruszona.

Po części artystycznej dzieci usiadły na dziedzińcu szkolnym, tworząc cztery długie szeregi, i oczekiwały na przywiezione przez ojca Mariana i zakonnice prezenty. Są one skromne, nie można ich nawet porównać z podarkami, jakie otrzymują przy różnych okazjach nasze polskie dzieci, ale są - i to jest najważniejsze. Dzieci wiedzą, że nie zapomniano o nich. Na szczęście nie wiedzą jeszcze o tym, że ich życie, jako poczęte przez trędowatych rodziców, nie będzie łatwe. Otrzymują: ubranka, mydełka, szczoteczki do zębów, książki, kredki i słodycze.

Gdy opuszczamy szkołę, żegna nas las podniesionych rąk i gromkie okrzyki. Jadąc drogą w stronę wybrzeża, skąd łatwiej dostać się do miasta, mam wrażenie, że jakaś myśl przeznaczona dla mnie usiłuje dogonić nasz samochód. Myśl, która łączy się z tymi dziećmi, może nawet bezwiednie przez nie emitowana i wysyłana w moim kierunku.

Tę myśl, która na próżno usiłowała dogonić mnie, odbiera moja żona: wśród podarków, jakie otrzymały dzieci z okazji ich święta, czegoś nam brakowało. Nam, przywykłym mierzyć wszystko europejską skalą. Brakowało nam zabawek. Choćby najskromniejszych, najtańszych: małych samochodzików, laleczek, gier, kolorowych układanek... Tak, to w Indiach jeszcze rzadkość. Widać je za szybami magazynów w bogatszych dzielnicach miast. Zabawki - podobnie jak aparat fotograficzny - to luksusy dostępne tylko bogatym, zaś podopieczni ojca Mariana należą przecież do najbiedniejszych. - A gdyby tak-myślimy głośno -po powrocie do kraju zorganizować wśród dzieci naszych przyjaciół lub harcerzy akcję zbierania zabawek dla dzieci z kolonii trędowatych? Jakie to proste, prawda? A ile radości moglibyśmy sprawić tym małym istotom, które tylko dzięki pomocy polskiego misjonarza nie znalazły się na dnie nędzy i uzyskały prawo do w miarę normalnego życia.

U ojca Mariana nie brak miejsca dla odrzuconych

Obok drogi nad morzem kłębi się nieustannie tłum złożony z ludzi, krów i psów. Bogate, tkane złotymi nićmi, brokatowe i jedwabne *sari* ocierają się o szmaciane i brudne; ciasno stłoczone kramy oferują

olbrzymie ilości wszystkiego, co produkuje indyjski przemysł, rękodzieło i rolnictwo; jedni ludzie śpią na elastycznych materacach, inni na gołej ziemi, między kupami śmieci, odchodów i trupami padłych zwierząt. W tym miejscu, które można nazwać kontrapunktem współczesnych Indii, luksusowe hotele sąsiadują z miejscem kremacji, a dym palonych zwłok miesza się z zapachem ostrych, korzennych przypraw i różnego rodzaju frytur. Życie i śmierć to w Indiach wyjątkowo bliscy sąsiedzi.

Obok pobliskich świątyń bramini rozdają gotowany ryż siedzącym żebrakom, tak pochłoniętym jedzeniem, że nawet nie widzą przechodzących ludzi, którzy niosą mary ze zmarłym, zdążając na pobliskie pole kremacji. Tuż obok kupuje się drzewo przeznaczone na całopalenie, a pod daszkiem z palmowych liści czekają półnadzy niedotykalni, ostatni ziemscy pośrednicy między życiem i śmiercią.

Na ziemi leży ludzka czaszka. Obok niej siedzą przykucnięci lub stoją krewni zmarłego, który na ich oczach zamienia się w dym i popiół. Gdy ogień dogasa, jeden z niedotykalnych zgarnia nie dopalone resztki na czarną płachtę i wlecze ją po żółtym piasku plaży. Wsypuje do morza. A rodzina schodzi na brzeg i obmywa się rytualnie, aby nawet na ich myślach nie pozostał ślad po zmarłym, który dopóki nie został oczyszczony przez ogień, od momentu ustania akcji serca był nieczysty.

Wszyscy pójdą tą samą drogą. Wszyscy, których będzie stać na kupno stosu drzewa i opłacenie niedotykalnych „palaczy".

Ojciec Marian opłaca hinduistyczne, rytualne „pogrzeby" zmarłych mieszkańców kolonii odrzuconych. Mając tę świadomość wielu z nich żywi nadzieję, że po tradycyjnym spaleniu i połączeniu ich popiołów z wodą, nie powrócą już na ziemię, ale - jako ostatecznie oczyszczeni - pozostaną na zawsze w krainie wiecznej szczęśliwości.

Indie są wielkie. Aż tak wielkie, że zabrakło w nich miejsca dla trędowatych.

Na przykład pan X. Przystojny, wykształcony, ustosunkowany, bogaty. Właściciel sklepu - magazynu. W centrum miasta. Hurtownik i detalista. Ciężarówka i samochód osobowy. Własna willa z dużym, pięknym ogrodem. Żona, czworo dzieci, grono przyjaciół. Gdy zauważył pierwsze ślady choroby na skórze, po prostu wyszedł z domu wiedząc, że nigdy już tu nie wróci. Porzucił wszystko, bo wszystko stracił. Jak bankrut. Skazany na odrzucenie. Jak coś niepotrzebnego. Jak śmieć. Na szlaku swej wędrówki z żebraczą miską trafił gdzieś na misję jezuitów. Został przyjęty. I wyleczony. Po kilku latach pracy przy misji - wiedziony tęsknotą za rodziną - wrócił. Z nadzieją, że będzie mógł zostać. Ale przez te lata wiele się zmieniło. Uświadomił sobie, że jego już tam nie ma, że nikt na niego nie czekał, że został wymazany z pamięci. Więc odszedł znów. Tym razem na zawsze.

Typowe? Tak. Smutne? Oczywiście. Wzruszające! Wcale nie. Po prostu życie. Taki los. Indie! Przeznaczenie bogów. I koniec.

Chłopiec Kobilo Buy uciął sobie język. Myślał tak: jestem trędowaty. Jak sobie utnę język, to wyleczę się z choroby. Ktoś ze starszych tak mu powiedział. Więc chłopiec poszedł do świątyni, aby się pomodlić. Potem wziął ostry nóż - sam go wyostrzył - i obciął sobie język. Następnie usiłował pogryźć ten język i zjeść go. Owszem, pożuł go, ale nie mógł przełknąć. Zwymiotował. Schował język w butelce. Gdy się zaczął psuć- wyrzucił. Był przekonany, że sam Bóg mu poradził, co ma zrobić. Przypadkiem trafił do kolonii. Wyleczono go. Teraz uczestniczy w rozmowie słuchając. I reagując. Gdy chce coś powiedzieć — bełkocze. Ludzie dawniej śmiali się z niego. Teraz się przyzwyczaili i przestali się śmiać.

Pan Sudar Schan Behera jest kierownikiem wytwórni lin, sznurków i powrozów. Urodził się w kolonii. Jeszcze dzikiej. 2 rodziców trędowatych. Uczył się zawsze bardzo dobrze. Wykazywał się ogromnym samozaparciem i siłą woli. Z każdej przykrości, z każdej szykany wychodził mocniejszy. Rodzice żebrali. Syn skończył szkołę podstawową. Rodzice nadal żebrali. Żeby syn mógł skończyć gimnazjum. Ale już studiów wyższych żebraniną opłacić nie mogli. Połowę - tak. Ale nie całość. Drugą połowę opłacał ojciec Marian. To on go zachęcał, mobilizował, dodawał odwagi. W gimnazjum koledzy nie wiedzieli, że ich kolega jest synem trędowatych. Nauczyciele wiedzieli, ale nie okazywali odrazy. Bo wszystko zależy od ludzi. Po uzyskaniu dyplomu ekonomisty, ożenił się. Żona ma na imię Sabita.

Niedaleko szkoły Beatrix jest niewielki, ogrodzony plecionym płotem, placyk. Jego średnica wynosi około ośmiu metrów. W jednym miejscu płotu jest furtka. Taka plecionka na zawiasach. W środku stoją cztery domki z gliny. Mają dachy z liści palmowych. Po każdej porze deszczowej ojciec Marian musi te domki naprawiać. Obok furtki ręczna pompa do wody. To ojciec Marian polecił założyć pompę, aby mieszkańcy tej mini--osady nie czerpali z pobliskiej sadzawki, tylko żeby mieli dobrą wodę. Z głębokiej żyły wodnej, którą sam wyszukał swoim wahadełkiem. Między furtką i domkami, na niewielkim podwyższeniu, jest okrągły klomb. To „święty krąg" - miejsce modlitwy. Wprawdzie Bóg jest wszędzie, ale jednak powinien mieć swoje miejsce. Wtedy łatwiej się z Nim porozumieć.

W tej zagrodzie mieszkają czterej bramini. Trędowaci. Bardzo okaleczeni. Wszyscy czterej nie mają palców u rąk, palców u nóg i mają zdeformowane stopy. Jeden z nich nie ma całej stopy, musi chodzić o ku-

lach. Dał mu je ojciec Marian, aby mu ułatwić przychodzenie do kolonii na badania i po lekarstwa. Przyszli tu w różnym czasie. Jeden z nich mieszka już ponad dziesięć lat. Są. zaleczeni, ale nikt nie potrafi stwierdzić, czy są wyleczeni. Ci bramini byli kiedyś właścicielami ziemskimi na południe od Puri. Sami nie pracowali, bo braminowi nie wolno. Wszakże jedno z głównych przykazań kasty brzmi: „Lepiej źle robić robotę nakazaną przez kastę, niż dobrze robotę przykazaną innej kaście". Ta zasada jest ciężarem dla społeczeństwa, które pragnie szybko przeskoczyć do XXI wieku. Nasi bramini nie oczekują go. Oczekują śmierci. Gdy uświadomili sobie, że są chorzy, porzucili rodziny i domy. Poszli przed siebie. Wędrując jako żebracy dowlekli się do kolonii w Puri i zostali. Ale w swoim mniemaniu pozostali braminami, członkami najwyższej kasty. Dlatego odseparowali się od niższej kastowo reszty i zamieszkali osobno, nawet odgrodzili się plecionym płotem. Ale jednak mają poczucie wspólnoty ze wszystkimi chorymi. Pokutują za grzechy popełnione w poprzednim wcieleniu. Wierzą, że w następnym zostaną za to wynagrodzeni. Będą oczyszczeni cierpieniami obecnego *awataru.* Gdy wychodzimy z ich *aśramu,* zapalają kaganki. Ustawiają je na „świętym kręgu", obstawionym glinianymi doniczkami z zielem, którego unikają kobry. Zaczęli się modlić. Obserwowałem ich przez chwilę. Modlitwa tych strasznie okaleczonych ludzi miała w sobie coś tak głębokiego, że - mimo obcego rytuału - miałem wrażenie, że Bóg odwiedził to przeklęte miejsce. Jeśli nawet nie stał w środku, to w każdym razie był blisko. Może oparł ręce na plecionym płocie...

Puri, dnia 29 listopada 1986. W Polsce sto pięćdziesiąta szósta rocznica wybuchu powstania listopadowego. Tutaj dla kilkudziesięciu najuboższych, najbardziej bezradnych to dzień przydziału żywności z ramienia orgnizacji MCHP, to znaczy *Mother and Child Help Program.* Takiej stałej pomocy patronuje CRS, czyli *Catholic Religion Seruices.*

Peter, kierowca misji, zabiera mnie do domu sióstr szarytek. Trzeba załadować do ambulansu worki z mlekiem w proszku, kwiatem zbożowym i ryżem, kartony z konserwami i bańki z oliwą. To są dary z USA. Cały transport oczekuje już na werandzie przychodni. Peter rozmawia z dwiema siostrami. Stary, drobny mężczyzna, chyba ogrodnik, siedzi w cieniu pod ścianą i patrzy przed siebie obojętnym wzrokiem. Do załadunku przystępują dwie bardzo chude, nieduże dziewczyny, pewnie pomocnice kuchenne. Chyba *siudry.* Worki i kartony są ciężkie, więc im pomagam. Wywołuje to dziwną reakcję; uśmieszek zdziwienia, ale bez aprobaty, ponieważ włączając się do pomocy przekroczyłem kompetencje mojej kasty. Od takiej roboty są *siudry.* A ja w ich pojęciu jestem braminem. W Indiach pogardza się człowiekiem, który robi to, co do niego nie należy.

Towar jest już w ambulansie, ale jeszcze na coś czekamy. Nie \viem na co, ale wiem, że w Indiach pośpiech jest oznaką braku kultury. Ach, Peter nie skończył jeszcze rozmawiać z siostrami. A słońce grzeje coraz mocniej. Stary ogrodnik wstał, zajrzał do ambulansu, poprawił jeden worek i bardzo zmęczony usiadł na dawnym miejscu pod ścianą. Zaglądam do wnętrza przychodni. Jak tu czysto i cicho. Poczekalnia, pokój zabiegowy oddzielony parawanem, aby pacjentom stworzyć atmosferę intymności, szafki z lekarstwami i narzędziami do zabiegów. Są i pacjenci: kobiety z wrzodami na głowach, mężczyzna ze stopą owiniętą brudną szmatą, matka z chorym dzieckiem, które zwisa bezwładnie w jej ramionach. Siostra Petronela robi zastrzyki, zmienia opatrunki, podaje lekarstwa, długo tłumaczy ich działanie i sposób dawkowania. Pastylki są w dwóch kolorach, siostra każe powtórzyć zalecenia, aby mieć pewność, że pacjent dobrze je zrozumiał.

Wreszcie jedziemy do kolonii trędowatych. W kolonii na werandzie przychodni siedzą trzy elegancko ubrane panie. Ich bogate *sari* są ozdobione jedwabnymi pasami o charakterystycznych wzorach, wyróżniających materiały produkowane w stanie Orisa. Czekały na nas. To przedstawicielki tutejszego oddziału Organizacji Pomocy Kobiecie i Dziecku. Na stoliku książka z nazwiskami. Ci, którzy mają być obdarowani, czekają w kolejce. Kalecy, niektórzy o kulach, starcy, matki z dziećmi. Najbardziej okaleczeni czołgają się po ziemi, podpierając się kikutami. Czasem ktoś komuś pomaga, zwłaszcza kiedy trzeba pokonać trzy schodki. Wszyscy upoważnieni do otrzymania żywności podpisują się na przygotowanych wykazach. Czasem coś się nie zgadza, wtedy wybucha krótka, swarliwa dyskusja, sprzeciwy, skargi, tłumaczenia. Emocje jednak prędko mijają. Zdrowi pomagają kalekom, zwłaszcza tym bez palców i bez dłoni, zanieść otrzymany przydział do domu. Czyjaś okaleczona, nieczuła dłoń źle przytrzymała śliską butelkę z oliwą, butelka upadła, pękła. Ciekawe, że złudzenie posiadania palców pozostaje długo nawet po amputacji całej ręki.

Kobiety mieszkanki domów sąsiadujących z'przychodnią, zapraszają moją żonę do siebie. Pokazują dzieci. Są dumne. Jak wszystkie matki. Proszą o zrobienie „foto". Nie rozumiemy, o czym mówią, ale ich gesty i miny pojąć łatwo: „Spójrz na moje dziecko. Czy widziałaś kiedyś coś piękniejszego?" Na progu staje inna kobieta. Wykonuje zapraszający gest: „Chodź do mnie. Ja też mam maleństwo. Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz, jakie jest prawdziwie piękne dziecko". Wiele kobiet przytrzymuje swoje dzieci rękami bez palców, bez dłoni, całują czarne główki ustami o zdeformowanych wargach. I tylko ich oczy wyrażają podziw dla stworzenia, które wydały na świat.

Rozdział żywności trwa kilka godzin. Potrzebujących jest wielu, ale wystarczy dla wszystkich znajdujących się na liście. Około południa obserwujemy powrót żebraków do kolonii. Każdy coś przynosi, przeważnie woreczek z dozowanym ryżem. Pobożni pielgrzymi rzucają go po garści na rozłożoną przed żebrakiem płachtę. Pochód powracających kalek przypomina mi obraz Piotra Bruegla z muzeum Capodimonte w Neapolu.

Wracamy i my. Na miejscu kremacji znów dymi stos. Obok pobliskiej świątyni dwa rzędy żebraków. Niektórzy mają na sobie pomarańczowe opończe. Przed każdym metalowa miska. Ktoś czerpie z wiadra gotowany ryż i napełnia miski. Może wydawanie jedzenia to czyjeś religijne zobowiązanie, może ekspiacja za popełniony grzech, może wyrzut sumienia zamożnego pątnika, który przyjechał do Puri, zamieszkał w bogatym hotelu, dał pieniądze świątynnym braminom, aby przygotowali jedzenie dla żebraków, i ma nadzieję, że w ten sposób jego winy zostaną wymazane z rejestru Pana Wszechświata. A może jest to rodzaj stypy po zmarłym? Żebracy modlą się ze złożonymi rękami. Modlą się do Boga. Nie nazywają Go żadnym imieniem. I może właśnie dlatego On aż tak bardzo jest z nimi.

Trędowaci mieszkańcy kolonii wiedzą, że ojciec Marian jest Polakiem. Ogromna większość z nich nigdy nie uczyła się geografii, o podziale świata na kontynenty, a kontynentów na państwa. Ale dla nich słowo „Polak" znaczy tyle co „dobry", a słowo „Polska" kojarzy im się ze słowem „dobra". Kilka lat temu, gdy ojciec Marian wyjechał na kilkumiesięczny urlop do Polski, trędowaci popadli w rozpacz. Myśleli, że ich opuścił. Nie chcę nawet wyobrażać sobie, co się stanie, gdy pewnego dnia - odstukać - Pan Bóg zechce zobaczyć się z ojcem Marianem osobiście, twarzą w twarz. Czas płynie i na liczniku życia co roku pojawia się większa liczba. Ojciec Marian ma już prawie siedemdziesiąt lat. Gdy wyjechał, praca wprawdzie nie ustała, ale zwolniła tempo. Na szczęście, wrócił po udanej operacji katarakty i znów rozruszył koło napędowe codziennej roboty. Gdy raz nie przyjechał z lekarzem i siostrami do kolonii — z powodu wyjazdu do Rourkeli na trzydniowe rekolekcje - trędowaci pytali z wyraźnym niepokojem: — Gdzie jest ojciec? Dlaczego dzisiaj do nas nie przyjechał? - Uważają go za cudotwórcę, za kogoś o nadprzyrodzonych właściwościach. Podczas pobytu w kolonii stale otacza go gromadka ludzi. Każdy o coś prosi, zwierza się ze swoich kłopotów, domaga się rady, apeluje o interwencję:

- Mego synka nie chcą przyjąć do gimnazjum.

- W naszej chacie po ostatnich deszczach zawaliła się ściana. O, niech ojciec zobaczy. Co robić? Dach lada chwila może się zwalić.

- Obok nas jest pusta chata. Większa od naszej. Czy możemy ją zająć, a naszą odstąpić komuś, kto ma mniej liczną rodzinę?

- Sąsiad trzyma dwie kozy. One nam przeszkadzają i niszczą nasz ogródek.

— Trzeba jakoś zaradzić, proszę ojca, bo po każdym deszczu woda zalewa nam mieszkanie.

Wiadomo, co trzeba zrobić. Nawieźć piasku i zasypać wgłębienie, po prostu podnieść teren i wykopać rowek, który nadmiar wody będzie odprowadzał poza chatę. W Kuchni Miłosierdzia zapas opału wystarczy na dwa, trzy dni. Trzeba posłać wóz po następny transport drzewa. Acha, gdzie naprawić siekierę?

Gdy pewnego dnia wkraczamy na teren kolonii, zauważa nas mały, czarny chłopczyk. Widząc ojca Mariana, biegnie ku niemu i uchwyciwszy jego rękę przytula się do niej z czułością. Ojciec Marian przyklęka, całuje dzieciaka w główkę, a następnie podnosi jego koszulkę i wskazuje mi jedno miejsce na lewym boku, mówi: - Widzisz, tu były dwie małe białe plamki. Ale już ich nie ma. To dziecko jest zaleczone, jest już zdrowe. Miejmy ufność w Bogu, że na zawsze.

Idziemy dalej. Chłopczyk nie opuszcza ojca Mariana. Zagaduje, coś pokazuje, o coś pyta. Obie jego rączki uczestniczą w rozmowie, jakby usiłowały gestami zastąpić brakujące jeszcze w jego dziecinnym słowniku wyrazy, których istnienie przeczuwa instynktownie. Sprawia wrażenie pieska, który bardzo stęsknił się za swoim opiekunem i nie może opanować radości z jego nagłego powrotu. Innym razem, gdy znowu jesteśmy w kolonii, spomiędzy otaczającej nas gromady dzieciaków ojciec Marian podnosi chyba czteroletnią dziewczynkę w perkalikowej sukience. Dziewuszka śmieje się taką frazą, jaką z dziecięcego gardła może wyzwolić jedynie wielka, szczera, niczym nie ograniczona radość.

— Gdybym... - mówi ojciec Marian nie patrząc na mnie, zauważam tylko, że jego oczy jakby przez moment rozbłysły. Równocześnie łowię charakterystyczną dla chwili wzruszenia wibrację głosu. - Gdybym... tobym chciał mieć takie dziecko.

Ale ojciec Marian nie ma swojego dziecka i dlatego one wszystkie tutaj są jego...

Ojciec Marian odwiedza chorych i kaleki skazane na bezruch. Zwłaszcza rany jednej z kobiet goją się wyjątkowo opornie, chociaż doktor poświęca im wiele troski. Ojciec Marian pochyla się nad kobietą, bada jej puls, zagląda pod powieki. Kobieta gorączkuje. Przyjmuje lekarstwa, ale nie może pozbyć się temperatury. Ojciec Marian wyjmuje swoje wahadełko i bada przepływ żył wodnych pod chatą. Już wie, dlaczego leczenie kobiety jest

takie trudne. Jej posłanie znajduje się na skrzyżowaniu podziemnych dróg wodnych. Ojciec Marian nakazuje natychmiast przenieść łóżko na drugą stronę izby, gdzie działanie promieniowania jest dużo mniejsze. Właściwie powinno się tę chatę zburzyć, a nową postawić na innym miejscu.

Trędowaci szorstkimi, zdeformowanymi dłońmi bez palców głaszczą ojca Mariana po twarzy. Tak jak zdrowi dotykają krów lub słoni w nadziei, że udzieli się im część ich świętości lub siły. Ale najwięcej serdeczności okazują dzieci. Pewnie dlatego, że czują jego otwarte ku nim serce.

Ojciec Marian przystaje przed wielką kałużą. Myśli o melioracji całego terenu, bo stojąca woda to nie tylko rozsadnik chorób, ale także wróg ludzkich kości osłabionych trądem.

W kilku prywatnych domach mieszkańcy zawiesili kolorowe oleodruki z podobizną Pana Jezusa i Matki Boskiej obok takich samych oleodruków wyobrażających hinduskich bogów, zwłaszcza Dżagannathy. Większość Hindusów uważa Pana Jezusa za wcielenie boga Wisznu, a Matkę Boską za *awatar* bogini Lakszmi, jego żony. W Kuchni Miłosierdzia Pan Jezus sąsiaduje z portretem Mahatmy Gandhiego.

Po dwóch latach ze szczególnym wzruszeniem spoglądam na postacie i twarze, które utrwaliły się w mojej pamięci dzięki zrobionym wówczas slajdom. Ci znajomi nawet nie wiedzą, że widziały ich w Polsce tysiące ludzi, uczestników moich licznych prelekcji. Nie wiedzą, że ich fotografie nie tylko poruszyły sumienia oglądających, ale że także dzięki nim uświadomili sobie oni, jak drogocennymi wartościami są: zdrowie, sytość, opieka lekarska, dach nad głową i trochę nadziei na przyszłość.

Młoda kobieta popycha przed sobą drewniany wózek. Na wózku mężczyzna, trzyma w objęciach dwoje małych dzieci. To rodzina. Wrócili z żebrów pod świątynią. Ojciec jest kaleką bez obu nóg. Katarakta na obu oczach jest już nie do wyleczenia. Chorego nie chcą przyjąć w żadnym szpitalu. Mówią, że nie ma po co, że i tak wkrótce będzie ślepy, więc nie powinien zabierać miejsca innym. Ojciec Marian daje mu trochę pieniędzy i obiecuje interweniować. To wszystko, co może zrobić. Nie jest cudotwórcą i nie dysponuje specjalistyczną przychodnią okulistyczną. I znów: najbardziej boli bezradność.

Tej babuleńce bez stóp i bez dłoni także już pomóc nie można. Można najwyżej złagodzić jej cierpienia. Babuleńka jest w dużo gorszym stanie niż przed dwoma laty. Prawie nie widzi, ale wie, że ktoś przed nią stoi i uśmiecha się. Ten uśmiech jest jak grymas bólu. Choroba zatarła na jej twarzy ludzkie rysy. Uciekam.

Kaleka na wózku inwalidzkim. Dwanaście takich wózków ojciec

Marian otrzymał z Polski przed dwoma laty. Niektóre są jeszcze w użyciu. Jeszcze służą. Robię zdjęcia.

Każdą ludzką gromadę, wspólnotę, środowisko łączy konieczność, instynkt samozachowawczy albo pragnienie poczucia bezpieczeństwa, którego nie Znajduje się żyjąc w rozproszeniu. Także i kolonia trędowatych ojca Mariana podlega temu prawu. Toteż i tu życie wytworzyło swój własny rytm. Ludzie budzą się rano, myją, iskają dzieci i sąsiadów, jedni idą na żebry, inni przygotowują posiłki, jeszcze inni idą do Kuchni Miłosierdzia lub sprzątają, piorą, pomagają sobie przy zmianie bandaży, zajmują się dziećmi, naprawiają ubrania i sprzęty... Część mieszkańców pracuje w wytwórniach na terenie kolonii, w ogrodzie, na kurzej farmie, przy wznoszeniu czegoś nowego. Niektórzy troszczą się o swoje prywatne przedsiębiorstwa: małe sklepiki, warsztaciki naprawcze, tkalnie. Pewna bardziej pomysłowa rodzina założyła sobie magazyn z drewnem opałowym. Wynajmuje ludzi, którzy dla niej - za opłatą oczywiście - karczują pobliskie nieużytki i w ten sposób zarabia na średnią szkołę dla dzieci. Jest kilku handlarzy opium, ci są bogaczami, mają tajemne kontakty ze światem podziemnym w Puri. Interes prowadzą za użebrane pieniądze, nie przeszkadza im, że mają dwie twarze. W tłumie pobożnych pielgrzymów zawsze znajdzie się paru kombinatorów. Świątynia Dżagannathy to dla nich prawdziwa Mekka. Do najbogatszych w kolonii zalicza się „mistrz żebraniny", prawdziwy wirtuoz, „król proszalników" - w swoim fachu artysta najwyższego lotu. Ci, którzy mają własne warsztaty tkackie, wytwarzają cienkie płótno, odpowiednie na opatrunki, bandaże i pieluszki. Obsługują krosna bezpalcymi rękami. To robi wielkie wrażenie. Swoje wytwory sprzedają po bardzo niskich cenach i ojciec Marian musi dbać, aby ich nie oszukiwano, bo oni sami kalkulują jedynie cenę surowca, zupełnie pomijając wartość pracy i ewentualny koszt amortyzacji warsztatów. Niektórzy trędowaci zarabiają na handlu pieniędzmi. Ci przeważnie zbierają fundusze na wykształcenie dzieci.

W stosunku do tego, co zaobserwowałem na kolonii przed dwoma laty, dużo się tu zmieniło. Przede wszystkim jest światło elektryczne, zainstalowano telewizor, na dachu przychodni ustawiono baterie słoneczne, aby stale była ciepła woda do mycia okaleczonych kończyn, postawiono obok małą kapliczkę z popiersiem Mahatmy Gandhiego, rozbudowano kurzą farmę, zasadzono nowe palmy, powiększono „ogród nadziei". Dzięki pomocy Włochów powstały też nowe domy mieszkalne. Jest dużo czyściej i schludniej.

Ustalony, powolny puls dnia powszedniego zostaje przyśpieszony przed świętami i uroczystościami z okazji, na przykład, czyjegoś małżeń-

twa. Takie wydarzenie mobilizuje większość mieszkańców, zwłaszcza kobiety, a ślub w Indiach to wielka feta wymagająca specjalnej oprawy, w pierwszym rzędzie muzyki i kolorowych świateł. Weselna uczta - choćby najskromniejsza - gromadzi licznych gości, bo liczne są rodziny państwa młodych i rodziny przyjaciół czy znajomych. Ojciec Marian przygotowuje życzenia, prezenty, aranżuje całą uroczystość, wciąga do współpracy sąsiadów.

Raz w roku, w marcu, cała kolonia obchodzi święto *Ostho Prohori*, uroczystą wartę, wspólne czuwanie przez dwadzieścia cztery godziny, aby uczcić Boga, który tego dnia schodzi na ziemię, do ludzi. Przez cały czas mówi się tylko *Ram, Ram, Citaram*, nawet tak brzmią pozdrowienia tego dnia. Jest to wielkie święto. Śmiertelni śpiewają ku czci Boga, przebierają się, urządzają coś w rodzaju przedstawień, w których wszyscy biorą udział z radością, jak zwykle przy takich okazjach rywalizując z sobą.

Ogólne poruszenie wywołuje też za każdym razem przyjęcie kogoś nowego do kolonii. Ci nowi zwykle nocują obok, pod drzewami, starają się zwrócić na siebie uwagę, nawiązują osobiste kontakty, szukają protekcji i z zazdrością spoglądają na tych, którzy już w swoim żebraczym życiu zarzucili kotwicę w tym porcie, i czują się tu bezpieczni. Po pewnym okresie wyczekiwania nowi tracą cierpliwość, awanturują się, chcą, żeby ich wpuszczono do środka, ofiarowano opiekę i dach nad głową. Wreszcie *Panczajat* zostaje zwołany. *Panczajat* zwykle nie chce nikogo przyjąć, ostatecznie i teren kolonii, i jej pojemność są ograniczone. Ale jeszcze mniej pojemne bywają ludzkie serca. Wybuchają kłótnie. Mieszkańcy kolonii żądają, żeby przybysze zobowiązali się przestrzegać praw i zwyczajów kolonii i wpłacili kaucję. Nie zawsze się to udaje. Ludzie, którzy przychodzą, przez wiele lat byli wędrowcami, żebrakami „w marszu", niezależnymi, wolnymi. Teraz ich status musiałby się zmienić, a adaptacja od życia koczowniczego do osiadłego nie przychodzi łatwo. Osiadli i zorganizowani boją się „dzikich", niezależnych indywidualistów.

Rada Miejska także tworzy kolonię trędowatych

Pewnego dnia ojciec Marian otrzymał urzędowe pismo następującej treści: „W związku z zamiarem przeniesienia kilkudziesięciu bezdomnych i nieuleczalnie chorych do wioski Rameshvarpur, wojewoda okręgu Puri zaprasza na zebranie w tej sprawie, które odbędzie się dnia... w sali...". Na

liście zaproszonych widnieją nazwiska najznaczniejszych przedstawicieli organizacji społecznych i samorządowych miasta. Na pierwszym miejscu znajduje się *Father Marian Żelazek, Catholic Church, Puri*. To ma swoją wymowę i o czymś świadczy.

Ojciec Marian uznał, że przed zebraniem powinien zobaczyć to nowe osiedle. Pojechał zabierając panią Wandę Błeńską i nas. Po drodze opowiedział nam historię tego projektu.

Kilka lat temu pani premier Indira Gandhi odwiedziła Puri. Spotkała się z przedstawicielami władz miejskich, ale do świątyni Dżagannathy jej nie wpuszczono. Zaszokowana widokiem tłumu żebraków, w większości trędowatych, postanowiła - po spotkaniu z Radą Miejską - założyć osadę dla tych najbiedniejszych, których nie może pomieścić kolonia prowadzona przez misję katolicką. Koszt dożywotniego utrzymania miałby ponosić rząd stanu Orisa. Chodziło także o to, aby z uwagi na dużą ilość zagranicznych turystów, maksymalnie zmniejszyć liczbę ludzi żebrzących, chorych, kalekich i pozbawionych opieki władz.

Wioska Rameshvarpur leży niedaleko jeziora Chilka, około dwóch godzin jazdy samochodem z Puri. Żeby się dostać do samego osiedla, trzeba odbyć dodatkowo ponad cztery kilometry karkołomnej jazdy po grobli, którą przecina kilkunastometrowa wyrwa. Ojciec Marian zastanawia się, w jaki sposób pokonać tę przeszkodę i czy samochód nie wywróci się, gdy będzie zjeżdżał po stromym nasypie, ukosem, i czy koła nie zabuksują, zanurzone w wodzie rozlewiska, na mulistym dnie. Muszę więc zbadać przejście. Dokładnie tak samo, jak podczas wyprawy do wioski Dobhar, gdzie ojciec Marian buduje nasyp przeciwpowodziowy. Tu nasyp jest stromy, zarówno z jednej jak i z drugiej strony, ale dno nie jest zbyt głęboko i jest w miarę twarde. Ojciec Marian żegna się, mocno ujmuje w dłonie kierownicę i w przeciągu kilkunastu sekund, zmuszając silnik do maksymalnego wysiłku, pokonuje przeszkodę. „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie". Ledwie zdążyłem zrobić dwa pamiątkowe zdjęcia.

Do nowego osiedla już niedaleko. Patrzymy i nie możemy uwierzyć własnym oczom. Wybrano miejsce na zupełnym odludziu, na piaszczystej płaszczyźnie, bez drzew i krzewów. Wybudowano cztery betonowe baraki, parterowe, o oknach zamkniętych okiennicami. To, co widzę, kojarzy mi się z blokami karnego obozu pracy lub więzienia, w żadnym razie nie z azylem dla ludzi chorych i samotnych.

Ojciec Marian mówi: - Nawet jeżeli sprowadzą tu tych żebraków siłą, to wkrótce oni uciekną. Są zbyt nerwowi, wrażliwi i cierpiący, żeby mieszkać we wspólnej sali, jeden obok drugiego, bez swojego kąta. To jest niezgodne z wewnętrzną potrzebą człowieka, ale także z tradycją

hinduską. Tu nawet kawałek szmaty rzucony na pobocze drogi wskazuje miejsce, które ktoś sobie zajął, i to miejsce jest szanowane przez innych.

Ten obiekt jest pozbawiony sensu. Betonowe ściany są wilgotne, małe okienka nie pozwalają na wietrzenie, już teraz, pusty, cuchnie zgnilizną, a co dopiero gdy wejdą tu ludzie z ropiejącymi ranami. Zamiast zbudować kilkadziesiąt tradycyjnych chat z gliny, z dachami z liści palmowych lub słomy ryżowej, zbudowano betonowe bunkry!

Ojciec Marian mówi: - Gdyby to, skoro już jest, przekazać Matce Teresie, to może ona by coś z tego zrobiła. Ale gdyby nawet władze przekazały ten obiekt misji katolickiej, to i tak szybko opustoszeje. Biedacy uciekną do Puri, gdzie mogą żebrać, a więc mają jakieś zajęcie, mają towarzystwo, nie są sami, coś się dzieje dookoła nich, biorą w czymś udział. Przecież to są ludzie!

Gdy wracamy drogą między szerokimi rozlewiskami, pełnymi lotosów i wodnych hiacyntów - pani Wanda Błeńska stwierdza, że tu musi być bilharcja - rodzaj ameby. Ze zgrozą obserwujemy ludzi, którzy w tej stojącej, nagrzanej wodzie nie tylko się kąpią ij piorą bieliznę, ale z pewnością używają jej do picia, gdyż wiele kobiet napełnia pojemniki i niesie na głowach do chat.

Podczas krótkiego postoju pani Wanda łapie na ramieniu ojca Mariana muchę *tse-tse*, dobrą znajomą z Ugandy. Szpital w Buluba nad Jeziorem Wiktorii, założony w roku 1934 przez matkę Kevin Kaerne, OSF, w którym pani Wanda leczy trędowatych, został zlokalizowany na terenach wymarłych, całkowicie „oczyszczonych" z ludzi i zwierząt przez epidemię śpiączki.

Ojciec Marian nie pomija żadnej okazji, aby się czegoś nauczyć, więc pani Wanda rozwija temat o musze *tse-tse*. Mówi o inkubacji owadów i o warunkach, w jakich się ona odbywa, a które należy i można eliminować. Ludzie, niestety, zapominają o tym, pomimo wielokrotnych, tragicznych doświadczeń. Niefrasobliwość Afrykańczyków przypomina lekceważącą zagrożenia postawę Hindusów, którzy piją wodę z rozlewisk. Woda jest ciepła, stojąca i z całą pewnością zakażona odchodami ludzi i zwierząt, zwłaszcza przy brzegu, skąd się ją czerpie do picia. - Ale co ci ludzie mają zrobić? - zastanawia się ojciec Marian - Studnie nie wszędzie jeszcze zbudowano, nie widziałem jej też w tym nowym osiedlu, chociaż jego uroczyste otwarcie przewidziane jest wkrótce. Studni ani ubikacji nie ma, ale z pewnością będą transparenty ze szlachetnymi hasłami, portrety miejscowych przywódców, długie przemówienia, muzyka, tańce i śpiewy, no i oczywiście obfity posiłek dla notabli.

Dzisiejszy wyjazd, zakończony taką pesymistyczną refleksją, był pouczający także i dla mnie. Dowiedziałem się od pani Wandy czegoś więcej o trądzie i o sposobach jego leczenia.

Trąd jest chorobą rozwijającą się przede wszystkim w strefie tropikalnej. Bakterie trądu należą do tej samej grupy co laseczniki Kocha. Atakują i degenerują nerwy człowieka, zaczynając najczęściej od najdalej wysuniętych, to znaczy od palców nóg i rąk. Ropnie, wrzody, a w konsekwencji gangrena to uboczne, chociaż poważne skutki trądu. Jeśli chodzi o leczenie, to najważniejsze są warunki, w jakich ono przebiega. Jeśli są nieodpowiednie, zwłaszcza jeśli nie przestrzega się zasad higieny, to przy stosowaniu leków kuracja się komplikuje. Niestety, takich szpitali jak Matki Teresy w Dżanla jest bardzo mało. Zresztą nie można zbudować szpitali dla dwunastu milionów chorych - to przerasta możliwości nawet tak bardzo bogatego kraju jak Indie. Ojciec Marian więc cały swój długoletni wysiłek kieruje przede wszystkim na maksymalne polepszenie warunków sanitarnych kolonii, nad którą sprawuje pieczę.

„Prócz ciebie nie mam nikogo..."

- Kraj jest bogaty - mówi ojciec Marian. - A jeśli chodzi o nasze osiągnięcia, to w tym hinduistycznym mieście uzyskaliśmy prawo obywatelstwa i szacunek, staliśmy się jego częścią, ważną i widoczną, zaś sam ten fakt stanowi początek dialogu.

Ostatnio - w dowód uznania za pracę - misja katolicka w Puri otrzymała od władz bardzo cenny dar: 15 tysięcy rupii na rozwój wytwórni powrozów oraz 71 tysięcy rupii na uruchomienie w kolonii trędowatych wymarzonej przez ojca Mariana tkalni mechanicznej.

Z Polski ojciec Marian dostaje czasem paczki z odzieżą, obuwiem i lekarstwami od osób prywatnych, dobrowolnie zrzeszonych w stowarzyszenia pomocy. To się przydaje, ale ani odzieżą, ani obuwiem ojciec Marian nie zapłaci doktorowi za jego pracę, nie pokryje też wydatków na Kuchnię Miłosierdzia. Rzeczy przysyłane oczywiście przydają się najbardziej potrzebującym, ale pieniądze są najważniejsze. Przecież zakres świadczonej przez ojca Mariana pomocy stanowi cały kombinat!

Paczki przychodzą też czasem z Czechosłowacji. Jaką drogą, kto tam otrzymał wiadomość o działalności misji w Puri — tego ojciec Marian nie wie. Po prostu: palec Boży

Największą pomoc świadczą stowarzyszenia i osoby prywatne z Australii, z Wiirzburga w RFN, z Holandii. Wspomniani już panowie Bogaart i Bijenen zwrócili się w sprawie pomocy dla ojca Mariana do Fundacji Świadectwa Bożej Miłości, mającej swą centralę w Holandii. Niedawno ojciec Marian dostał pismo tej Fundacji: proszą, by przysłał podpisany prze biskupa wniosek o dotację, z wyszczególnieniem, na co ewentualnie zostanie użyta. Ojciec Marian najpierw się przeżegnał, a potem poprosił o 338 tysięcy rupii na rok. Jest to suma ogromna, ale i obowiązki, jakie ojciec bierze na swoje barki, są tej samej miary. Corocznie wszak przybywa ludzi potrzebujących pomocy. Więc ojciec Marian poprosił, a... Fundacja dała wszystko! Całą kwotę! Ojciec Marian zdeponował ją w banku, odsetki idą na pomoc dla najbardziej potrzebujących.

Pomagają także Włosi. Organizacja *Amid dei Leprossi* z siedzibą w Udine, która już podarowała ojcu Marianowi ambulans i 60 tys. rupii. Teraz zamierza odbudować całe jedno osiedle w wiosce trędowatych: postawić nowe domki rodzinne, według tradycji hinduskiej, ale bardziej wygodne, bardziej higieniczne, trwałe, i - co też istotne - milsze niż obecne, gliniane. Ta wioska, j aką Włosi przyrzekli zbudować, ma już nazwę *Punoruthanpur*, czyli Osiedle Zmartwychwstania. Przystąpiono do realizacji: są już narzędzia do budowy domków i szpitalika oraz dokumentacja całości.

Cierpienie jest podobne do macierzyństwa. Należy do takich doświadczeń, które - aby dostrzec je u drugiego człowieka - trzeba wpierw doznać samemu. Ogromna większość ludzi na świecie wie, co to znaczy cierpieć. Jedni z tej ogromnej większości mówią: „Człowiek nie jest aż taki zły, aby nie mógł być jeszcze gorszy". Drudzy: „Człowiek nie jest aż taki dobry, aby nie mógł być jeszcze lepszy". Ojciec Marian należy do tych drugich. Całe jego życie dowodzi, że człowiek dla człowieka może być człowiekiem. A więc nie wilkiem. - Nie - powtarza z uporem ojciec Marian. - Człowiekiem.

Ojciec Marian rozmawia właśnie z mężczyzną, którego prawa noga została ucięta poniżej kolana. W momencie gdy gestem pocieszenia kładzie rękę na jego głowie, zauważa małego chłopca, który biegnie ku niemu wołając: - Ojcze, ojcze, ona... żeby ojciec zaraz do niej poszedł!

Trzeba się bardzo schylić, aby wejść do wnętrza tej chatki. Jest w niej tylko jedno posłanie i wąskie przejście. Na rozwieszonym sznurku kilka szmat. W rogu jedno naczynie na wodę i metalowa miska.

Na posłaniu stara kobieta, która usiłuje się podnieść. Wyciąga do ojca Mariana ręce bez palców, niewidzącymi oczami spogląda przed siebie. Ojciec Marian przyklęka, a staruszka chropowatymi, kalekimi dłońmi dotyka jego twarzy i głaszcze z wielką czułością.

— Umieram - szepce - idę do Boga, ale ty musisz żyć, tyś mój synek, ty musisz żyć — powtarza z trudem, łapiąc oddech - prócz ciebie nie mam nikogo, nikogo.... Jak już będę u Boga, to Mu o tobie powiem... ty musisz żyć...

Ojciec Marian bierze kobietę w ramiona, przytula, ręką podtrzymując jej głowę. To, co po chwili kładzie na pościeli, jest już tylko ciałem, ale ojciec Marian jeszcze nie zwalnia uścisku, bo wydaje mu się, że jego ręce obejmują Chrystusa. Chrystusa, który pobłogosławił go, umierając.

Dziękujemy Ci, Ojcze Marianie, *namaste!*

I na tym kończy się mój reportaż. Nie wiem, jakie będą Indie za pięćdziesiąt czy za sto lat, kiedy liczba ich obywateli zwiększy się dwu lub trzykrotnie, ale jedno wiem z całą pewnością, że misjonarze, apostołowie miłosierdzia, zarówno znani na całym świecie, jak i bezimienni, będą tam żywym świadectwem Ewangelii Jezusa.

Duszna, czarna, tropikalna noc. Przez okno sypialni ojca Mariana sączy się słaby promień światła. Ojciec Marian pisze list. Po polsku:.

Puri, dnia 21.6.1986.

Kochany Brunonie!

Dziękuję ci za Twój ostatni list, datowany 6.6.86. Przyszedł do Puri dnia 19 czerwca. Bóg zapłać za pamięć. To, że nie pisuję często, nie znaczy, że o Tobie i o drugich moich kolegach klasowych nie pamiętam. O tak, często jestem przy was w moich myślach. Coraz częściej. Ciekawe, na stare lata serce więcej ciągnie do starego kraju i do swoich. Jedna przyczyna to to, że teraz nawet między hinduskimi współbraćmi czuję się czasem jak samotny żeglarz na szerokim morzu. W naszej sambalpurskiej SVD prowincji jest nas tylko sześciu zagranicznych misjonarzy. Jesteśmy mocno oddaleni jeden od drugiego. W grupie przeważa przekonanie, że jeszcze raz pojedzie się na wakacje do domu i już się z nich nie powróci. Moja sytuacja jest trochę inna. Puri to fascynująca praca misyjna, nie tyle obliczona na indywidualne nawrócenia, ile na „dawanie świadectwa Chrystusowi" i Jego Ewangelii. Czy to się udaje? Myślę, że tak. Tu bardzo mało ludzi zwraca uwagę, gdy hinduista *sadhu*, czyli święty mąż, przechodzi drogą. Ale gdy nasz ambulans przejeżdża albo gdy

się przechodzi pieszo, często słyszy się to przyjaźnie wypowiedziane słowo *Father* - Ojcze - i dużo ludzi pozdrawia na ulicy, czego już nawet nie można doświadczyć w Polsce. Największymi naszymi przyjaciółmi są dzieci, szczególnie w rejonie, gdzie jest nasza szkoła dla dzieci z rodzin trędowatych, ale też otwarta dla wszytkich innych dzieci, tych najbiedniejszych. Jak one biegną w stronę przyjeżdżającego ambulansu, ażeby swoimi złożonymi rękami przekazać pozdrowienie i radość! Robią to tak szczerze i odruchowo, że nie można wątpić w ich przyjaźń.

Lata lecą, to cud, że tak się trzymamy i jeszcze pracujemy. Nasze życie to specjalny dar Boży i właściwie nie możemy sobie rościć pretensji do żadnego nowego dnia życia, ale musimy go przeżywać z wdzięcznością, bo jest on nam dany z Bożej miłości. Mówię to myśląc o naszej przeszłości podczas wojny, szczególnie tej w obozie. Mnie się tylko czasem wydaje, że powinienem być jak płomienny cherubin, pełen zapału, apostoł pokoju i dobroci po tym wszystkim, co nam Pan Bóg dał przeżyć w obozie. A że takim nie jestem, a tylko „chciałbym być" - też radosna jest moja dusza, o Boże, który tak często zadowalasz się naszymi szczerymi, dobrymi chęciami [...].

Obecnie u nas pora deszczowa. Cztery dni temu w kolonii trędowatych biedna chałupka całkowicie się zawaliła przygniatając ciężko małą dziewczynkę, uczennicę naszej szkoły...

Są takie noce, kiedy ojciec Marian długo nie może zasnąć. I wówczas, kiedy jest sam z sobą, kiedy nie musi niczego skrywać, jego dusza jest najbliżej Boga. Gdy myślę o takiej właśnie chwili, mam wrażenie, że Bóg - jak matka uspokajająca dziecko - głaszcze duszę ojca Mariana po głowie. I wtedy ojciec Marian zasypia. Ale nigdy i nikomu nie mówi, co mu się śniło. Bo następnego dnia musi być wypoczęty, spokojny i opanowany. Musi być mocny. Aby nie stracić siły, aby nadal dźwigać swój ciężki, kanciasty krzyż. Aby przejść całą tę drogę swego powołania z koroną cierniową trędowatych, drogą zatłoczoną głodnymi dziećmi, kalekami, bezdomnymi i bezradnymi w swej samotności - aż po Golgotę umierających. Bo takie jest jego przeznaczenie. Bo sam z własnej woli wybrał taki los.

Dziękujemy ci, Ojcze Marianie.

Namaste, Namaskar, dhanyawadam, dhanyabad.

Dziękujemy ci za to, że równocześnie jesteś oraczem i siewcą. Ze swoją codzienną pracą spulchniasz kamienistą rolę ludzkich serc i rzucasz w nią ziarno miłosierdzia, współczucia i litości. Z wiarą i nadzieją, że gdy już ani ciebie, ani nas nie będzie na tym świecie, jacyś ludzie zbiorą z twojego zasiewu tak potrzebne im plony.

Dziękujemy ci, Ojcze Marianie, że mogliśmy Cię poznać i pokochać, a najbardziej za to, że od chwili, gdyśmy Ciebie poznali, wiele wątpliwości codziennego życia rozwiązujemy odpowiadając sobie na pytanie: „Jak by w takiej sytuacji postąpił Ojciec Marian?"

A za całą resztę - niech Ci Bóg zapłaci.

Puri, XI1984 i XI1986, Kraków, II-III 1987

Post scriptum: Listy ojca Mariana

Drogi Ojcze Dyrektorze!

O godzinie 2.15 w nocy skończyłem czytać skrypt książki. Jest to nie moja historia, ale historia miłującego Boga w moim życiu. Wiem, że prawdziwym bohaterem książki jest Pan Jezus, który sobie upodobał działać przez nas. Dziękuję Mu za ochotę i radość, że mogę być Jego narzędziem. Dlatego mało jest ważne, że Autor tak często wspomina moje imię na kartkach swojej książki...

ojciec Marian

Warszawa, dnia 15 września 1987

Puri, dnia 8 grudnia 1987 r.

Moi Kochani Przyjaciele i Współpracownicy misyjni!

Mój pierwszy list do Was po pięciomiesięcznych wakacjach w Polsce. Wszystko i wszyscy stoicie mi żywo w wyobraźni. Stary już jestem, i takim powoli się czuję, ale nabrałem nowych sił i zapału do pracy od Waszej życzliwości, modlitw i zainteresowania się pracą Kościoła na świecie. Już jest za mną to uczucie, że opuszczam bezpieczną i przytulną przystań i wracam na to niepewne morze jutra...

Powitanie w domu, tym indyjskim, było pełne podniecenia. Pytał mnie pewien Hindus w drodze, czy mam rodzinę i ile mam dzieci. „Pięćset" - odpowiedziałem. Rozdziawił gębę. A ja myślałem o moich maluczkich z rodzin trędowatych i o tych wszystkich innych, które wychowałem w ciągu moich 37 lat w Indiach...

Największym wydarzeniem po moim powrocie do Puri było otwarcie gabinetu dentystycznego w naszej kolonii trędowatych. Jaki nieprawdopodobny widok! Okaleczony, często cuchnący od ran trędowaty siedzi w fotelu dentystycznym, a przy nim doktor-dentysta, zagląda do jego wykrzywionej buzi i pracuje nad jego uzębieniem posługując się bardzo nowoczesnymi instrumentami medycznymi. Wszystko to stało się rzeczywistością dzięki energicznemu zaangażowaniu się w ten plan pana inżyniera Wiesława Sowińskiego i ks. Proboszcza „Małgorzatki", obydwóch z Bytomia, i dzięki licznym ofiarodawcom, których listę przechowują anieli w niebie. Tym dentystą-aniołem, zaglądającym do ust trędowatych, jest pan Jacek Radda, nie z nieba, ale z Polski, z Żywca.

Pracuje jako ochotnik i poświęcił na to swoje wakacje. Wszystkim składam serdeczne „Bóg zapłać".

Wielką niespodziankę sprawili mi harcerze ze szczepu „Puszcza" z Niepołomic nadesłaną paczką (wielką!) z zabawkami. Paczka przyszła dnia 13. listopada. A właśnie 14. listopada obchodzimy tutaj, w Indiach, Dzień Dziecka. Urządziliśmy losowanie. Każde ze 180 dzieci wylosowało jakąś zabawkę. Czegoś podobnego nie było jeszcze w naszej szkole. Gdybyście Wy, harcerze z Niepołomic, mogli widzieć radość tych dzieci, te ich błyszczące oczy! Bóg Wam zapłać...

Gwiazdka 1987 roku zbliża się szybko. Będę kolędował razem z Wami, będę pamiętał o Was u żłóbka w naszym kościele w Puri. Będę prosił Bożą Dziecinę, ażeby szczególnie błogosławiła tym, którzy przyczynili się i jeszcze przyczynią do budowy naszego kościoła...

Już czas się z Wami pożegnać. Podnieś rękę, Boże Dziecię, pobłogosław i uściśnij miłośnie moją kochaną misjonarską armię w dalekiej Ojczyźnie. Ostatecznie to Ty jesteś ich Królem i Wodzem.

Aszirbado! - Niech Bóg Wam błogosławi.

Wasz o. Marian Żelazek SVD

Spis treści

Przed Białą Pagodą..... 5
Na hinduskim Olimpie 11
Ojca Mariana droga do Indii 15
Wśród Adibasów..... 20
Bracie, czy mogę ci pomóc?..... 25
Misja katolicka w Puri. Jeden dzień ojca Mariana..... 36
„Zwróćcie się do sióstr szarytek”..... 42
Hydrolog z różdżką..... 44
Fundusze ojca Mariana 49
Problemy z czasem. Chrześcijaństwo i hinduizm..... 58
Dialog 67
Budujemy kościół..... 70
Boże Ciało w Puri..... 78
Centrum Poszukiwania Prawdy..... 81
Ojciec Marian i wielki bramin..... 89
Otworzyć drzwi Jezusowi-..... 92
Reporterskie obserwacje..... 94
„Tutaj są tacy ludzie, którzy opiekują się biednymi...”..... 98
Kochać ludzi jak misjonarz..... 111
Odrzuceni..... 114
Tak to się zaczęło..... 117
Kolonia trędowatych organizuje się..... 127
Szkoła Beatrix..... 138
Indyjski Dzień Dziecka..... 144
U ojca Mariana nie brak miejsca dla odrzuconych..... 147
Rada Miejska także tworzy kolonię trędowatych..... 156
„Prócz ciebie nie mam nikogo...”..... 159
Dziękujemy Ci, Ojcze Marianie, *namaste!*..... 161
Post scriptum: Listy ojca Mariana..... 164

BIBLIOTEKA MISJONARZA

Dotychczas ukazały się następujące książki:

•

Hansjosef Theysen
„I nagle spotkałam Boga”

.

Hansjosef Theysen
„Dialog z Nieskończonym”

.

Hubert Fautsch
„Chrystus dotarł też do Papuasów”

.

John Ching-hsiung Wu
„O radości”

•

Henryk Jerzmański
„Kami-sama znaczy Bóg”

.

Helmut S. Ruppert
„David Livingstone”

•

Kathryn Spink
„Łańcuch miłości”

.

Kathryn Spink
„W ciszy serca”

o

Henryk Jerzmański
„Spotkania z misjonarzami”

©

Henryk Kałuża
„Holdek”

Fotografie:
okładka-A. Koszorz SVD, J. Krasicki
wkładka - L. Charewicz, A. Koszorz SVD,
J. Krasicki i Zb. Kwiatkowski

VERBINUM, Wydawnictwo Księży Werbistów
Warszawa 1988. Wyd I. Nakład 10 000 egz. U-49
Druk: Zakład Małej Poligrafii Księży Werbistów
Laskowice k. Swiecia, zam. nr 14/88